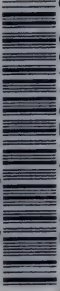


UNIVERSITY OF TORONTO



3 1761 01721196 2

438/204

300l

135, —

Emigracya Polska

EMIGRACYA POLSKA

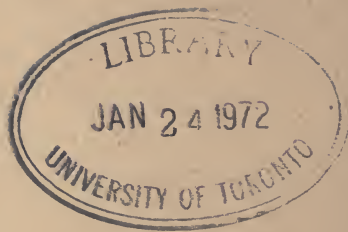
Pierwsze lata
po upadku powstania listopadowego

SKREŚLIŁ

LUBOMIR GADON



W KRAKOWIE
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1901.



DK

412

.2

G3

1901

t.1

POCHÓD

I.

Koniec powstania. — Dwernicki, potem i Ramorino wchodzą do Galicyi. — Wojsko polskie w Austrii. — Generał Bertoletti. — Chłapowski i Roland wchodzą do Prus. — Długa kwarantana. — Upadek Warszawy. — Demoralizacya. — Jęk Belwederczyka. — Rybiński wchodzi do Prus. — Pewien opór. — Ostatni rozkaz dzienny. — Niegodny pogrzeb oręża polskiego. — Kwarantana pod Brodnicą. — Rozmieszczenie wojska polskiego. — Pobyt jego w Prusiech. — Rzekoma amnestya rosyjska. — »Rozkaz« króla pruskiego. — Kilkanaście tysięcy żołnierzy wraca do Polski. — Większa część oficerów czyni to samo. — Druga część zwraca się ku Francyi. — Ruch wychodźczy. — Bem usiłuje wyprowadzić żołnierzy. — Przeszkody. — Zaczny Amerykanin. — Generał Rammel. — Niegodne postępowanie władz pruskich. — Fischau. — Oficerowie kolumnami odchodzą za granicę. — »Emigracya«. — Szkodliwe jej skutki. — Co ją wzmagą. — Co ją tłumaczy. — Co ją prowadzi.

Zaiste, zakończenie powstania listopadowego podaje nam przedmiot ciężkiej wagi do rozpamiętywania, rzucając szczególne światło na dojrzałość całego przedsięwzięcia, na skłonności naszego charakteru i na stopień zdolności naszych wodzów, a nawet na hart ducha i na stateczność żołnierską niektórych pomiędzy nimi. Ku zadziwieniu przyglądającej się Europy, faktem niespodzianym, trudnym do uwierzenia, stało się to, że wojsko polskie, co się tak świetnie biło, ostatecznie na wszystkich punktach... z bronią w rękę, opuściło ziemię, do wyzwolenia której rzuciło się było z takim zapałem, z takim męstwem i poświęceniem.

Tak więc w początkach października 1831 roku, całe wojsko polskie — blisko 50.000 ludzi — znalazło się poza

krajem — jedną częścią na terytoryum austriackiem, drugą na pruskim.

Pierwszy przykład przejścia granicy dał generał Dwer-nicki — dobry Polak, dzielny żołnierz, ale żaden wódz ani kierownik wyprawy. Już 17. kwietnia wszedł on z swym korpu-sem (3.300 ludzi) do Galicyi i tam po krótkiem rokowaniu 6. maja, w Chlebanówce, broń złożył. Żołnierzy jego odpro-wadzono do Stanisławowa a potem do Siedmiogrodu: ofice-rów, w trzech kolumnach, odprawiono do Morawii; sam Dwer-nicki internowany został w mieście Steyer, w Wyższej Austrii. Nadmieniamy jednak, że część jego ludzi, bez broni wpraw-dzie, mogła się wymknąć i dostać napowrót do Polski.

Z większą daleko siłą, bo w kilkanaście tysięcy wybo-rowego wojska, przekroczył granicę austriacką nieszczęsny Ramorino dnia 18. września, pod Borowem do Galicyi; za nim uczyniły to samo małe oddziały Kamińskiego i Różyckiego.

Postępowanie Austrii z Polakami, co w jej granicach schronienia szukali, było nierówne i niepewne: z razu sro-gie i ostre, później łagodniejsze, a następnie znowu surowe i podstępne. Ramorino wszedłszy do Galicyi, zajął klin mię-dzy Wisłą naprzeciw Zawichostu, a suchą granicą, obsaczoną wojskiem rosyjskiem, w którym zamknięty został korpu-sem austriackim generała Bertoletti; ten stał w Leżajsku, i objął komendę nad Polakami.

Z razu wojsko wzbraniało się oddać broń; ale trzymane pod gołym niebem, bez ognia, w słotną porę, po trzydni-owym głodzie, przy braku furażu, podczas którego padła wielka część koni, ujrzało się zniewolone poddać się smutnej ostateczności. Przed złożeniem broni, żołnierze umyślnie ją psuli, lub zakopywali w ziemię ¹⁾. Następnie odprowadzono naszych, trzema kolumnami, od granicy i rozmieszczono między Sanem a granicą Kongresówki, w Ulanowie, Bieleńcach, Rudnikach,

¹⁾ Kapitan Julian Łabęcki sam zakopał, jak powiada, 700 sztuk karabinów. »P. Pamiętnik Emigracyi«. Zeszyt z 15. stycznia 1833 r.

Sokołowie, Nisku i innych wsiach i miasteczkach; sztabowi przeznaczono na pobyt Sieniawę. Oddzielono oficerów od żołnierzy. Generała Ramorino trzymano pod strażą w Rzeszowie.

Pod pozorem kwarantany, którą z powodu cholery dla wszystkiego, co przybywało z Polski w tym czasie, ściśle przestrzegano, broniono wszelkich komunikacji między garnizonami, tak dalece, że oficerowie o sobie, a tem bardziej o żołnierzach, nic nie wiedzieli. Wielu z tych ostatnich nie miało płaszczy lub obuwia, mimo to trzymano ich obozem na otwartem polu przez 38 dni, aż pod koniec października. Około tego czasu nadeszła rzekoma amnestya cara Mikołaja dla żołnierzy i podoficerów i otworzyła pole generałowi Bertoletti oddawać gorliwe służby, nie swemu cesarzowi. On to, pono nawet ponad wolę swego rządu, okazał się szczególnie czynnym w wypieraniu naszych wiarusów w ręce Mikołaja. Część ich zapewne odchodziła do domów dobrowolnie, ale nie wszyscy. Bertoletti oświadczyć kazał, że każdemu zostawia wolność wyboru, gdzie się chce udać, ale, że ze stosunków między rządami wypada, aby żołnierze, którzy nie chcą wrócić do kraju, powtórzyli oświadczenie swoje wobec oficera rosyjskiego, na odebranie ich oczekującego. Uwiedzeni tem żołnierze, w małych oddziałach, pod liczniejszą zawsze eskortą przyprowadzeni na granicę, zastawali tam całe pułki kawalerji rosyjskiej, która otoczywszy ich, natychmiast pędziła w głąb kraju¹⁾.

Po odejściu żołnierzy zaczęto dawać więcej wolności oficerom, którym jednak pobyt w większych miastach, jak w Wiedniu, Pradze, Budzie, Lwowie ściśle był zakazany. Zażądano od nich deklaracyi, gdzie kto udać się zamierza. Stały się jakby dwie partye, zawzięcie sobie przeciwne: jedna z generałami Zawadzkim i Bielińskim, z pułkownikami Ceglińskim i Odolskim, z majorami Porębskim i Fillpowskim

¹⁾ Relacya por. *Janusza Woronicza* w »Aktach misji paryskiej« (»Actes séparés«, Vol. 6, nr 748) w zbiorach Rapperswylskich.

i innymi sztabowymi oficerami na czele, oświadczała się za powrotem do Polski, i ci oficerowie po podaniu prośb do cara Mikołaja, na ręce Paskiewicza, odbierali pozwolenie i wracali do Polski. Druga partya objawiała postanowienie udać się do Francyi, dokąd zaraz po przejściu granicy generałowie Langermann i Ramorino i pułkownik Gallois jęli zachęcać wojskowych. Generał Różycki już z Zatora wysłał dwóch oficerów: Zabiełłę i Horaina do Paryża i Londynu dla szukania informacji i drogi.

We Lwowie mógł działać komitet obywateli, który zbierał pieniądze, wspierał pomocą i wyprawiał rozbitków, czynność, w której odznaczał się szczególnie p. Brandys. Stał też tam komitet Ziem Ruskich (Herman Potocki, Kulczyński i Edward Jełowicki), który odbierał dość znaczne zasiłki z Podola i Wołynia, i znosił się z komitetem galicyjskim i drezdeńskim. Namiestnik Galicyi, ks. Lobkowitz, był przychylny Polakom, i zapraszał nawet emigrantów do siebie. Tych było pełno w Galicyi; jeździli jak chcieli po kraju, i we Lwowie chodzili w mundurach i harcowali na koniach. Ale po zastąpieniu Lobkowitz'a przez arcyksięcia Ferdynanda, rząd wiedeński, wskutek nalegań rosyjskich, stał się surowszym: więził polskich wojskowych, wyganiał z Galicyi a nawet niektórych wydawał Rosyi. Generał Bertoletti otrzymał od cara Mikołaja order św. Anny. Gorliwie wypierał on wiarusów do Kongresówki, odłączwszy ich od oficerów. — W listopadzie zaczęto Polaków odprawiać od granicy w głąb Austrii. Rozmieszczono ich głównie w Morawii; w Bernie znajdowali się generałowie Różycki, Kamiński, Szembek, wojewoda Antoni Ostrowski, Gustaw Małachowski. Niżsi oficerowie dostawali po 2 cwanycygiery, t. j. 2 złp. 24 gr., z wytrąceniem 37 krajcarów miedzianych na mieszkanie. Żołnierze dostawali mieszkanie, chleb, mięso i 6 krajcarów miedzianych. Między Polakami grasowała gra w karty; wymieniano pewnego kapitana G., który przegrał 200.000 złp., zrabowanych w Kąliszu (?). Rząd ponawiał kilkakrotnie żądanie deklaracyi, gdzie kto udać się zamierza.

Naprzód najznacniejsza liczba była za powrotem do kraju, ale model Paskiewicza, do suplik mających się podać Mikołajowi, zawierał wyrażenia poniżające, i wielu odstąpiło. Najwięcej uczestników powstania pozostało w Galicyi, póki ich tam tolerowano, (t. j. aż do lata 1833 roku), wylegając się po dworach i dworkach szlacheckich, polując, tańcząc i dużo miłośkując. Galicya, ożywiona ich pobytem, bawiła się w najlepsze, jakby żadna katastrofa nie była pogrążyła Ojczyznę w pogńębienie i żałobę. »Smutku z powodu upadku powstania tu ani śladu nie było, owszem bawiono się bardzo wesoło, po wszystkich dworach wyprawiano biesiady, muzyki, tańce i bale, a niejedna wierność małżeńska i cnota panieńska padła wtenczas ofiarą» ¹⁾... Niektórzy, nieliczni, zwłaszcza dawni oficerowie, znaleźli umieszczenie w wojsku austryackiem. Inni powrócili do kraju. Część rozbitków nie miała, zachęcona przychylnym listem ambasadora francuskiego w Wiedniu do generała Rożyckiego, postanowiła udać się do Francyi. W grudniu rząd zaczął wydawać paszporty do tego kraju odjeżdżającym, aż do granicy bawarskiej dawano furmanki bezpłatne, ale i eskortę wojskową; w Budweis każdemu wliczano po 246 cwancygierów na dalszą podróż.

Ogółem w granice austryackie weszło było około 20.000 wojska polskiego. Do Prus, jak to zaraz zobaczymy, wkroczyła większa jeszcze liczba.

Jeszcze się walka ważyła nad Wisłą, kiedy Chłapowski i Giełgud (13-go lipca pod Gorzdami), a w dwa dni później i Roland (pod Nowem Miastem) wprowadzili swe oddziały — około 7.000 ludzi — ze Żmudzi do Prus, ażeby tam broń oddać. Na samej granicy pada od kuli polskiej generał Giełgud — i ten ponury epizod zwiększa jeszcze tragiczność chwili.

Ziemia pruska niegościnnie powitała nieszczęśliwych żołnierzy. »Pierwszej nocy zostaliśmy zatrzymani na polu, o pół mili od granicy — opowiada oficer z korpusu Chłapow-

¹⁾ Z. Kaczkowski. »Mój Pamiętnik«. Lwów, 1899, strona 39.

skiego¹⁾ — gdzie, mimo że ziemia była wilgotna, nie mogliśmy otrzymać ani słomy, ani drzewa na ogień dla naszych rannych i chorych. Nazajutrz, zgłodzeni, przybyliśmy na miejsce przeznaczone nam na odbycie kwarantany. Położone było nad strumieniem i nad głębokiem bagniskiem; w pośrodku wznosił się pagórek piaszczysty, który nam wskazany został jako miejsce dla chowania umarłych. Wkrótce też napełnił się on, bo niezdrowe wyziewy i brak najpotrzebniejszych przedmiotów życia, słomy, opału, zabierał szybko rannych naszych i słabowitszych ludzi«. Podobną relację podaje inny oficer, z oddziału Rolanda, który, jak to wzmiankowaliśmy, o kilka mil dalej wkroczył do Prus. »Po wejściu na ziemię obcą — mówi on²⁾ — postępować musieliśmy ciasną drożyną, otoczeni z obu stron, co pięć kroków rozstawionemi, strażami pruskiemi. Po godzinnym marszu zatrzymano nas na błotnistem polu, gdzie i jednego drzewa nie było dla schronienia się przed okropnym upałem, ani kropli czystej wody, by pragnienie ugasić... Po godzinie oczekiwania, zbliżyli się wieśniacy z mlekiem, chlebem, masłem, serem i wodą. Przed chwilą na ziemi Żmudzkiej niesiono nam chętnem sercem pożywienie, nie wymagając żadnego wynagrodzenia; tutaj za kawałek chleba płacić musieliśmy 1 złp., a za szklankę wody 6 groszy. Wtenczas sprawdzili się słowa Jeremiasza proroka: *Wodę kupowaliśmy u nieprzyjaciół naszych!* Znużeni żołnierze zasnęli na wilgotnej ziemi w największym skwarze słońca, napróżno oczekując żywności i słomy. Nazajutrz rozdano żołnierzom chleb, mięso i wódkę, i przeprowadzono nas o milę drogi dalej, pod wioskę zwaną Packomohnen (o dwie mile od Tylży). Wyznaczono nam na obóz miejsce dość obszerne, ale wilgotne, nad małym jeziorem, mające w swym

¹⁾ *M. Mielżyński*. »Bemerkungen zu den Werken des Dr Spazier«. Strassburg, 1833, strona 56.

²⁾ *Konstanty Gaszyński*. »Notatki oficera polskiego o obchodzeniu się rządu pruskiego z korpusem wojska polskiego, w czasie 53 dni trwającej kwarantany«. — Paryż, 1833 r.

obrzebie tylko jedną chatę, którą dwaj generałowie nasi (Roland i Szymanowski) ze swym sztabem zajęli. Dla innych oficerów i żołnierzy rozdano słomę i kilka fur chrustu, z czego wiarusy dla siebie i dla nas naprędce wystawili baraki. Wieś Packomohnen przytykała do naszego obozu, ale ją przegradzały od nas dwa szeregi pieszych i konnych straży pruskich; a nawet z drugiej strony jeziora co pięć kroków stał żołnierz z bronią¹.

Był to rygor kwarantany; oświadczono, że będzie ona trwać dni dwadzieścia. Przejście nagłe z życia pełnego ruchu do zupełnej bezczynności, smutek, tęsknota, niepewność przyszłego losu, dręczyły naszych wojskowych; pocieszała ich tylko myśl, że za dni dwadzieścia, jak skończy się kwarantana, będą mogli, choć bez broni¹), wrócić do Polski. Nadzieja ta nie była zupełnie bezpodstawną. Jeszcze 11. lutego, na początku wojny, wydany rozkaz gabinetowy króla pruskiego stanowił, że w razie przejścia jakiegoś oddziału jednej ze stron walczących na ziemię pruską, dozwala mu się wolny powrót do ojczyzny, z tą tylko różnicą, że Rosyanie broń zatrzymają, a Polacy na granicy ją złożą. Z tego pozwolenia skorzystał nawet pułkownik rosyjski, Bartołomiej, kiedy go w kwietniu Żmudzini przycisnęli. — Zaraz też po przejściu Chłapowski zażądał, aby na mocy owego rozkazu dozwoleńnem było wojsku przejść do Królestwa; władze miejscowe odniosły się do Berlina, a tymczasem trzeba było czekać na odpowiedź.

Ale zakreszony na początku czas minął, a o końcu nieznośnej kwarantany nie słychać nie było. Władze tłumaczyły zwłokę nienadejściem rozkazów z Berlina, ale pochodziła ona raczej z oczekiwania, jak się wojna rozstrzygnie, a pruski generał Stülpnagel, któremu naczelne zawiadywanie Polakami w Prusiech Wschodnich poruczone było, oświadczał im już

¹) Broń polska odesłana została do Tylży, a stamtąd wkrótce wyprawiona morzem do Rygi.

coraz wyraźniej, że nie rychło będą mogli wrócić do Polski. Najrozmaitsze dolatywały stamtąd wieści, najczęściej niedorzeczne, a im były pomyślniejsze, chociaż nieprawdziwe, tem silniej jątrzyły niecierpliwość uwięzionych wojaków i chęć ich dostania się do braci, co jeszcze walczyli. Wielu też oficerów usiłowało rozmaitymi sposobami wyrwać się z tej niewoli i przedrzeć się do Polski, ale Prusacy tak szczerlnie strzegli wszystkie przejścia, że prawie zawsze wymykających się łapali i w fortecach zamykali. Sierpień był bardzo dżdżysty, tak, że baraki, zwłaszcza żołnierskie, ciągle prawie były zalane. Zdesperowani wiarusy, jednej nocy, z własnego natchnienia, porozrzucawszy swe budy słomiane i pobrawszy w ręce kije, napadli na łańcuch straży, by się wydobyć na wolność. Zrobił się wielki alarm; Prusacy stanęli do boju i dali ognia; dwóch Polaków, śpiących spokojnie, zostało rannych od kul karabinowych; część wymknęła się, część pojmana została. Pruska załoga całą noc została na nogach, a nazajutrz rano ujrzeli Polacy z tamtej strony jeziora wyręchtowane na ich bezbronny obóz dwa działa. To dało powód do żartów między naszymi, którzy na znak niby to kapitulacyi, na tykach wywiesili białe chustki, a usypawszy szańczyk z piasku, ustawili na nim dwie próżne beczki od piwa, w odpowiedzi na owe pruskie armaty. Jakby zawstyżone, znikły one następnej nocy, ale odtąd straż jeszcze obostrzona została, a oficerowie w dodatku związani zostali słowem honoru. Tych, co go dać nie chcieli, pozamykano w fortecach.

Podczas kwarantany w obozie, Polacy utrzymywali porządek militarny, a w niedziele kapelan dywizyjny, przy ołtarzu z darni urządzonym, odprawiał nabożeństwo. Żywność dostarczała się w naturze ¹⁾; a obok tego wieśniacy okoliczni i przekupnie podwozili produkta i trunki, sprzedawali je za grube pieniądze, które im wedle ówczesnych ostrożności kwa-

¹⁾ Prosty żołnierz dostawał dziennie $\frac{1}{2}$ funta mięsa, $1\frac{1}{2}$ funta chleba, kwaterek kaszy, 2 łuty soli i pół kwatki gorzałki.

rantanowych, na długich łyżkach, po przepłukaniu w occie, podawano. Mieszkańcy Tylży licznie przybywali przed obóz z ciekawości, dla oglądania wojska polskiego, albo też dla kupowania koni. Dość bowiem dużo pozostawało ich jeszcze przy oficerach, a że furaz był niezmiernie drogi, więc zmuszeni oni byli sprzedawać je choćby za bezcen.

Dopiero po dniach czterdziestu przybył do obozu generał Stülpnagel z zapowiedzeniem bliskiego już końca kwarantany; komisya lekarska odbyła sprawdzenie stanu zdrowia wojska polskiego, a choć znalazła, że był zadziwiająco dobrym, upłynęło jeszcze kilkanaście dni przewłoki. Nareszcie, po pięćdziesięciu kilku dniach tego smutnego biwakowania, zaczęto wyprowadzać naszych rodaków z obozowiska na kwatery.

O dozwoleniu przejścia do Polski nie było już i mowy. Na podanie Chłapowskiego, król nareszcie (5. września) odpowiedział — odmownie. Tłumaczył się, że rozkaz gabinetowy z dnia 11. lutego miał na myśli tylko małe oddziały nie zaś znaczniejszą liczbę wojska, i dodawał, że wojskowi polscy powinni ocenić łaskę monarchy, który nie przychylił się do ekstradycyi, żądanej przez Rosyę.

Po wyjściu z kwarantany Polacy rozmieszczeni zostali w okręgu koło Królewca, Kłajpedy i w okolicy zwanej Samland, w miasteczkach i wsiach — po karczmach, folwarkach i dworach; w samym jednak Królewcu niektórym tylko, głównie chorym i rannym dozwolono zamieszkać.

Życie po garnizonach stało się swobodniejsze i znośniejsze; związały się stosunki z miejscowymi obywatelami, którzy poznawszy Polaków zaczęli im sprzyjać i okazywać wiele uprzejmości i dobroci. Nawet oficerowie młodszy mieli często dla nich sympatyę i życzliwość, niekiedy przyjaźń. Lecz za to władze — generał Stülpnagel, i na ogół wyżsi oficerowie pruscy, nie odznaczali się wcale przychylnością dla nich.

Ale tymczasem, coraz gorsze nadchodziły z Polski wiadomości. Nareszcie przysłała najgorsza: Warszawa upadła...

General Stülpnagel natychmiast z tą wieścią porozsyłał sztafety do wszystkich miasteczek, gdzie stali Polacy, a w Królewcu na rogach ulic kazał porozlepiać o niej ogłoszenia.

Po katastrofie 7. września, na ziemi polskiej, wypadki szybkim, fatalnym biegiem staczały się do ostatecznego kresu. Po nędznej radzie wojennej w Słupnie (23. września) wszystko już kończyło się bez ratunku, bez opory i — bez chwały.

Z jękiem w duszy, jeden ze świadków tej chwili ¹⁾, skreśliła następujący jej obraz:

»Widzieć przed sobą nieprzyjaciela i ustępować w zamieszaniu i rozprzężeniu sił, które mogłyby jeszcze wszystko zbawić, gdyby możebna rzecz była spojrzeć je, złąć w jedno, zaufaniem w wodzów i wiarą w przywrócenie porządku; słyszeć rozpaczliwe projekta, które zdawały się jak gorączka u chorego przyspieszać rozkład fizycznej organizacyi; słyszeć imiona, w które te projekta wcielić się miały, a z których żadne nie wystarczało... i tak cofać się, przechodzić Wisłę, wracać napowrót, i znowu ustępować ku granicy, w swarach, w popłochu, w ciągle rodzących się propozycyach, wśród uczucia bezwładzności moralnej nad zgangrenowaniem ciałem... O Panie! czy też dasz kiedy skorzystać któremu pokoleniu z tych bólów, które dotąd zdają się być tak niepłodne w naukę!

Tak generał Dembiński chce, jeśliby został naczelnym wodzem, opuścić Królestwo, rzucić się na Litwę i Ruś, odciąć armię moskiewską od Moskwy, utrzymać się w zabranych prowincjach przez zimę, uorganizować i na nowo wojnę rozpocząć...

Niech żyje Umiński! Dwóch panów Ostrowskich, w przytomności kilku zaledwie reprezentantów dogorywającego w pochodzie, z uronioną powagą sejmu, ogłasza go naczelnym wo-

¹⁾ Belwederczyk *L. Orpiszewski*. Patrz jego »Kilka Wspomnień« w Roczniku Towarzystwa historyczno-literackiego za rok 1868. Paryż.



Piechota liniowa.

Weteran.

Sierżant gwardyi narod.

WOJSKO POLSKIE Z ROKU 1831.

dzem. Wsiada generał na konia, mnóstwo oficerów otacza go, galopem do obozu dąży! Piechota odrzuca nowego wodza, który chce ją prowadzić za Wisłę.

Spotykam pułkownika Szulca, z rozognioną twarzą: »Bem jeden może jeszcze coś zdziałać. Bema trzeba na naczelnego wodza!«

Spotykam... kogo? Stary mój profesor Zborowski, z którego cała szkoła śmiała się, prześladowając bez litości. Twarz, z orlim nosem, jakby w przedsieniach jakiegoś starego zamku wyglądająca; miał się za potomka Zborowskich... Zatrzymał mi konia na ulicy, i jakby obłąkany zaklinał, że-bym *ja* (dwudziestoletni podporucznik) ratował Polskę. Biedny starzec! Nigdy nie myślał, żartując w szkołach z jego dumnego chodu i czoła namarszczonego, że kiedyś twarz jego, z innym wyrazem jakiejś Szekspirowskiej postaci, w pamięci mi się wycisnie. Zdaje się, że szatan, przedrzeźniając się, chciał w tej dziwnej, fatalnego imienia osobie, złączyć dawne dzieje z rozpaczą ówczesnej chwili i z ironią, przez jej obłąkane usta, zażądać ratunku dla Polski.«

I tak wszelkie ofiary, wszelkie wysiłki męztwa — perły patriotyzmu i waleczności — tonęły w otchłani lekkości, niedołęztwa lub opieszałości. Demoralizacja rosła z każdą godziną. Niezgoda od radzących przeszła do bijących się; zaczęto w wojsku sejmikować; niekarność, nieład, bez boju niszczyły nasze pułki. Niektórzy generałowie i dowódcy pułkowi opuszczali armię; wielu oficerów wyższych, po kapitulacyi, pozostało w Warszawie, a z tych co bardziej wdrożeni w karność wojskową, nie opuścili szeregów, wielu brało dymisye i rozjeżdżało się na wszystkie strony; żołnierze rzucali broń i rozchodzili się. Wojsko polskie cofało się milczkiem, a nie chcąc poddać się wrogowi otwartemu, przeciw któremu krew przelewało, szło szukać schronienia u innego wroga, może gorszego, choć się z nim nie biło.

Rząd i Sejm, a raczej ich cienie, nie czekając na ostatnie minuty skonania, opuścili wojsko i udali się, pod eskortą szwadronu Krakusów, na terytorium pruskie. W wojsku Rybińskiego myślano wysłać deputację do Petersburga. Przeciw temu prezes rządu, przed wstąpieniem na obcą ziemię (w Rybinie 26. września) zaniósł rodzaj protestacji¹⁾, w której zastrzegął, że »cokolwiek wódz naczelny, wyszedłszy z granic swojej władzy, przedsięwzięcie, ani honoru ani sprawy o czystej dotyczyć nie może.« Wódz naczelny *in extremis* nie już ani przedsięwziął ani przedsięwziąć próbował, tylko dnia 5. października, wydawszy do Europy manifest, w którym oświadczał »przed Bogiem i światem, iż każdy Polak jak czuł tak czuje i nigdy czuć nie przestanie...«, główną i ostatnią część wojska polskiego do prus wprowadził.

I to jednak nie odbyło się bez pewnych trudności, bo wielu oficerów i żołnierzy chciało powracać do domów, pomimo, że forpoczty rosyjskie bardzo surowo się obeszły z niektórymi dowódcami, co armię opuszczali. Wszelako częścią perswazyą, częścią przymusem pułki przeredzone dezercją wkroczyły do Prus²⁾. »Dowódca brygady, pułkownik Niewęglowski, odjechał incognito — opowiada jeden z dowodzących w tej przeprawie³⁾ — tylko swego adjutanta Biesiadowskiego przysłał do mnie z uwiadomieniem, że już odjechał do Warszawy i zdaje mi dowództwo tejże. Generał, dowódzca dywizyi, Muchowski schował się w domu jednego obywatela, a rozkaz wydał, aby dywizya ruszyła w marsz.

¹⁾ »Miała być ona ogłoszoną w gazetach, ale Misya paryska wstrzymała się od spełnienia tego, ażeby — gdy Rybiński już wszedł tymczasem do Prus — nie wyglądało to na uwłaczanie honorowi wojska« (List Kniaziewiczza i Platera z Paryża 1. listop. 1831 do księcia Adama Czartoryskiego. Rękopis w aktach Misyi paryskiej).

²⁾ Autobiografia generała F. Breańskiego. Rękopis w Bibliot. Pol. w Paryżu.

³⁾ *Pułkownik Roślakowski*: »Dla własnej pamięci. Szczegóły podług mego zdania na kiedyś potrzebne.« Spisane 1883 w Ypres, w Belgii. (Rękopis w zbiorach Rapperswylskich Nr b. 108).

Lecz gdy kozacy przybyli do tej wsi, pan generał bojąc się, aby ci się z nim nie obeszli jak z innymi podobnymi maruderami, wymknął się pokryjomu i przybył znowu do dywizyi, gdzie czyn jego był już objawionym, a dowództwo tejże było powierzone podpułkownikowi Bobińskiemu. Spostrzegłem więc Muchowskiego i oświadczyłem głośno, w obliczu dywizyi, że on już przestał być dowódcą i co tu robi, zapytałem. Muchowski odpowiedział, że tylko przybył szukać swego służącego z końmi. I tym sposobem przejechał granicę pruską, a ztamtąd w 3 dni cichaczem się wyniósł. Poprzednio jeszcze odeszli z 1. pułku strzelców oficerowie... I do tego stopnia doszła już demoralizacya. Kiedym kazał stawać pod broń brygadzie, to w pułku 16. piechoty liniowej batalion 1. nie chciał stanąć. Przybywam, pytam się podpułkownika Smolińskiego, co to znaczy — odpowiada, że nie może sobie dać rady. Wpadam w kupę żołnierzy — komenderuję, by broń rozbierali z kozłów.

Półowa się udaje do swej broni, a półowa słucha tamburmajora, który im wyklada potrzebę maszerowania batalionu do Moskali i tam złożenia broni. W tej to chwili uniosłem się do wściekłości, rozciąłem kilku głowy; tamburmajorowi rozkazałem łeb w mgnieniu oka ogolić, rozebrać go do naga i do pierwszych forpoczt moskiewskich odprowadzić, a poprzednio pięćdziesiąt kijów wyliczyć. I subordynacya w momencie do pierwszego stanu doprowadzoną została, a batalion za karę przez noc całą stał pod bronią wraz z dowódcą pułku, i w jak najpiękniejszym porządku na trzeci dzień brygada, którą dowodziłem, pod ogniem armatnim przeszła granicę pruską i broń pod wsią Jastrzębiem w kozły złożyła i z płaczem się z nią rozstała. — A tam, wezwawszy wszystkich oficerów, podoficerów i żołnierzy całej brygady, to jest 16. pułku liniowego i 1. strzelców, przysięgłem im w obliczu Nieba, że Ojczyzny inaczej oglądać nie będę, jak tylko z bronią w rękę, i tej to przysięgi było przeszło 143 oficerów sztabowych i niższych oficerów oraz 1897 pod-

oficerów i żołnierzy świadkami, a po wykonaniu tejże, ze łzami rozstaliśmy się od tej broni«...

W wigilią przejścia, generał Wroniecki w imieniu naczelnego wodza z generałem pruskim, komenderującym nadgraniczną 2. brygadą landwery, zawarł konwencyę, która w imieniu króla poręczała polskiemu wojsku »opiekę i bezpieczny bobyt« pod warunkiem, że złoży broń, odbędzie kwarantanę i podda się prawom krajowym.

Tegoż samego dnia z kwatery głównej w Szczutowie, generał Rybiński wydał jeszcze ostatni ten rozkaz dzienny do armii:

»Dnia jutrzejszego opuszczamy ziemię ojczystą, wchodzimy do kraju Pruskiego, który nam przyjazne nastęrcza schronienie. W tej ważnej okoliczności odzywam się do was Towarzysze broni, ażebyśmy godni samych siebie wytrwali do mety. Niechaj sąsiednich siedzib mieszkańcy, którzy skołatanym burzą rycerzom gościnne gotują przyjęcie, ujrzą Was takimi, jakimi Was sława im odmalowała. Niech ile możności ochędożne odzienie, porządna postawa, szyk utrzymany, czysta broń, milczenie, karność w szeregach, chlubne u obcych dadzą wyobrażenie o Żołnierzach wolności. Pochlebiam sobie, że panowie dowódcy wszelkiego dołożą starania, ażeby wszystko odpowiadało chwale imienia polskiego, i że wszelkiego stopnia oficerowie na właściwych znajdując się miejscach, należytego porządku przestrzegać będą. -- Pomni, że świat ma na nas zwrócone oczy, że każdy nasz krok należy do historii, winniśmy w tej stanowczej, w tej uroczystej chwili wznieść się nad losy i szlachetnem postępowaniem całą ich wyświecić niesprawiedliwość; tym jedynie sposobem możemy wpływać jeszcze na przyszłe ojczyzny naszej koleje i przekazać potomności szacunek dla żołnierza polskiego.«

Już późno w nocy z kwatermistrzostwa jeneralnego rozesłano ordynansów do różnych części wojska z rozkazem, by stosownie do zawartej konwencyi, nazajutrz o 7. rano znajdowały się nad granicą, na wyznaczonych punktach.

O świcie dnia następnego (5. października), generał pruski Schmidt, z kilku oficerami udał się do armii polskiej, by ją przeprowadzić przez granicę. Wojsko już zebrane ruszyło niebawem; na czele jechał Rybiński ze swym sztabem, wszyscy obwinieci w płaszczach. Za nimi szła cała kawaleria z pułkiem gwardyi szaserów na przodzie, potem artyleria i na końcu piechota. Krakusy z aryergardy pod Dembińskim, na pożegnanie przekomarzali się jeszcze »ze swymi przyjaciółmi« kozakami, snującymi się nie opodal i wołali: Do widzenia! do widzenia!

Do samej granicy było pół mili drogi, odbytej w posępnej ciszy, wśród której usłyszałeś chyba z rzadka pojedyncze słowo, a częściej ciężkie westchnienie. Na granicy oczekiwało kilka kompanii fizyliarów pruskich; trębacze ich odpowiedzieli na wojskowe powitanie armii polskiej; przyłączyli się oni do niej by iść z nią aż do pola, położonego o ćwierć mili dalej. Tam stał generał von Zöppelin z pułkiem huzarów, kilku batalionami piechoty i baterią armat 12-funtowych, frontem ustawionych. Tu miało nastąpić złożenie broni. Podchodząc do kolumny pruskiej, polscy trębacze ozwali się raz jeszcze hymnem narodowym; muzyka pruska na to nie odpowiedziała. Generał Rybiński z generałem Schmidtem podjechali do generała Zöppelina, który mu ponownie wymienił warunki konwencji. Po rozmowie dość długiej wrócił Rybiński do wojska i na czele 3. brygady jazdy wstąpił na owo fatalne pole. Kawaleria stanęła na lewo, a artyleria i piechota na prawo od gościńca. Kiedy kilka pułków ustawionych zostało, rozpoczęło się... składanie broni.

Wojskowi pruscy, oficerowie i żołnierze, mówili potem jak zostali zadziwieni porządkiem i spokojem Polaków w tej bolesnej chwili. Byli oni przygotowani ujrzeć scenę wrzawy, zamieszania, głośnych złorzeczeń, jak to w innych podobnych wypadkach się zdarzało, i jak to zwłaszcza w armii powstańczej, spiesznie zebranej a teraz karności i rygoru pozbawionej, można było oczekiwać. Ale nic z tego się nie stało.

Pozostała nam ta mizerna pociecha, że w tej okoliczności widok nieszczęścia zapomnieniem godności i powagi nie został sponiewieranym.

Ułani niektórych pułków, w nocy poniszczyli byli ukochane swoje lance; popalili drzewca i zakopali ostrza; te pułki, co tego nie były uczyniły, kładły je cicho i spokojnie przed końmi, razem z innymi częściami zbroi; piechota przed frontem ustawiała karabiny w kozły i zawieszała na nich lederwerki; artylerya oczekiwała na postanowienie, jakie jeszcze nastąpić miało. Wszystkim pułkom pozostawiono ich muzyki; oficerowie zachowali szpady, a żołnierze tornistry.

Gdy się zaczęło składanie broni, zwilżyło się niejedno oko; niejednego ujrzano wiarusa, trzymającego jedną ręką wiernych towarzyszy — konia i szablę — a drugą zasłaniającego twarz pokrytą bliznami, a teraz niemym bólem targaną; niejedno stare, stwardniałe serce żołnierskie, którego żadna przygoda bitwy nie zdołała wzruszyć, teraz zostało złamane.

Wobec tego obrazu, nawet pruskim oficerom i żołnierzom łzy stawały w oczach.

Straszna nauka — wspomnienie do dziś dnia ściskające duszę.

W porządku i milczeniu idą żołnierze. Idą kompanie, bataliony, pułki, konie, armaty, furgony.

Stój! Składaj broń!

I rosną stosy karabinów, lanc i pałaszy — a od czasu do czasu na zakurzoną stal pada łza gorąca.

Niegodny to pogrzeb oręża z pod Grochowa, Wawru, Dętego...

Ale oto stoją Prusacy z bronią do nogi i czekają by Polaków odprowadzić na przeznaczone im miejsca. »Przeszedłszy przez granicę pruską — opowiada przytoczony już wyżej świadek ¹⁾ — odbyliśmy kwarantanę w Golubiu. Zamek, w którym podobno nikt nie mieszkał od czasów ostatniego

¹⁾ Orpiszewski I, c.

starosty Skarbka, otworzył nam swoje szerokie, opustoszałe sale. Stary gmach takiego gwaru dotąd może nie znał. Wewnątrz, po zewnętrznych galeryach, pełno rozmaitego rodzaju pomieszanych mundurów; gdzieniegdzie i surdut cywilny przy wojskowej furażerce; pod zamkiem mnóstwo koni i żydów targujących się o nie.«

»W jednym pokoju ks. Enstachy Sapięha z bratem swym i nadwornym lekarzem. Maurycy Mochnacki, otoczony młodzieżą, z podniesioną brwią do góry, blady, słabym głosem rozmawiał o tem, co już skończyło się przedwczoraj. Oficerowie o Umińskim, Dembińskim, Rybińskim... Inni, i bardzo liczni, grali w karty! Jam leżał w kącie, na sianie, rozmawiając czasem z kolegami od Mazurów. Smutny, nie bardzo i Mochnackiego zaczepiałem, któregom znał dobrze w początkach powstania, kiedyś to myślał, że Moskwa nie może już wrócić do Warszawy... Adolf Łączyński zbierał składkę; mnie kazał dać dukata, a kiedy go schował, uśmiechając się zapytał: »Czy wiesz dla kogo?« --- Nie — Dla tego, co ci przegrał dziesięć. — Istotnie, jeden z kolegów, zbudził mnie w nocy i wyciągnął odemnie te 10 dukatów, które wraz ze wszystkim, co sam posiadał, przegrał. Pierwsza to składka była na obczyźnie...«

Z przejściem Rybińskiego znalazło się ogółem 28,000 żołnierza polskiego na gruncie pruskim.

Po odbytej kwarantanie w okolicach Brodnicy, nie tyle przecie dłużej i uciążliwej, jak dla oddziałów Chłapowskiego i Rolanda, bo trwającej tylko 5 dni, korpus Rybińskiego rozlokowany został ponad dolną Wisłą: generał Rybiński ze sztabem zajął Elbląg; zarząd artylerji poruczono generałowi Bemowi z główną kwaterą w Elblągu; jazdy pułkownikowi Kosko, z główną kwaterą w Tczewie, a piechoty pułkownikowi F. Breańskiemu, z główną kwaterą w Malborgu. W całej tej okolicy ożywienie znacznie się podniosło, a pewnym dostarczycielom i oberzystom zakwitło istne żniwo; pękł u nich niejeden rulon dukatów, wyniesiony z domu i jako zapas

na długi czas przeznaczony; powiadano, że pod »Złotym Jeleniem« w Kwidzynie i pod »Wielkim Mistrzem« w Malborgu nigdy tyle nie tryskało szampana, jak odkąd pojawili się Polacy. Co prawda, niektórzy oficerowie korpusu Rybińskiego trawili czas na zgrywaniu się w karty i na hulankach, całkiem niezgodnych ze smutnymi okolicznościami, które ich do Prus przywiody.



JENERAŁ DEZYDERY CHŁAPOWSKI.

Bezpośrednie zawadywanie Polakami objął generał von Rummel; komisarzem zaś pruskim do spraw wojska polskiego był pułkownik Drygalski. Dowódców polskich odłączono zaraz od żołnierzy, rozmieszczono ich osobno z pozostawieniem jednak z początku po jednym oficerze swoim na kompanię lub szwadron. Podczas kwarantany dostarczano żywność w naturze; w marszu i na kwaterach płacił rząd pruski żołd dzienny ¹⁾, za pomocą którego żołnierze sami sposobem t. zw.

¹⁾ Generałowie pobierali dziennie po 2 talary; oficerowie sztabowi po 1 tal. 5 grosz; oficerowie niżsi po 20 sgr.; podoficerowie

menażu, gotowali sobie strawę lub też stołowali się u mieszkańców. Fundusze te, z pominięciem generała Rybińskiego, wydawane były wprost każdemu z trzech komendantów broni, którzy je wypłacali dowódczom pułkowym. — Oprócz tego rząd pruski wspomógł wojskowych naszych pewną ilością odzieży i obuwia ¹⁾. Szkoda, że tę gościnność zesześcił niegodnym postępowaniem w innym względzie.

W kilkanaście dni po przejściu, zażądał minister wojny z Berlina pismem do generała Rybińskiego (z dnia 20. października), by wszyscy wojskowi, oficerowie i żołnierze oświadczyli, czy chcą wrócić do Polski, czy też wolą wyjść za granicę. Zdawało się więc z razu, że pod tym względem niczyja wola krępowana nie będzie. Ale pod datą 1. listopada (20. października) ogłosił Mikołaj amnystyę dla żołnierzy i podoficerów, rodem z Królestwa Kongresowego, wyłączając z niej oficerów.

Powołując się na ten akt cesarski i ufając jego szczerości, król pruski wydał niebawem »rozkaz« do polskich żołnierzy, by korzystali z ofiarowanego dobrodziejstwa i natychmiast, bez sprzeciwiania się (*unweigerlich*) wracali do kraju ²⁾. Jednocześnie przyrzekał król oficerom wstawić się za nimi i wyjednać przebaczenie tym z pomiędzy nich, którzy się sami zgłoszą do łaski cesarza rosyjskiego. Za tem, bez odwłoki, wyznaczono rozkład marszu i drogi, któremi amnystwowani żołnierze mieli odchodzić i pod specjalnym kierunkiem pułkownika Preusser'a dla oddziału Chłapowskiego-Rolanda, oraz

i żołnierze na kwaterach po 3 sgr. 6 fenigów, a w marszu po 5 sgr. 9 fenigów.

¹⁾ Wedle pruskich źródeł rozdano Polakom, w okrągłych liczbach: 17.000 koszul, 1.200 płaszczów, 9.200 par spodni, 450 czapek i 19.000 par trzewików.

²⁾ Rozkaz gabinetowy króla 6. listopada 1831. — Ogłoszenie generała von Kraffta do żołnierzy i pismo tegoż do generała Rybińskiego 28. listopada.

majora Brandt'a dla korpusu Rybińskiego, zaczęto ich wyprawiać do Polski.

Na tę pierwszą sommacyę, już w ciągu grudnia (od 11 do 25) 12,500 żołnierzy, wiedzionych przyrodzoną tęsknotą do zagrody domowej, wymaszerowało napowrót do Polski. Oficerów zaś zavezowano wszystkich do oświadczenia co każdy ze sobą uczynić postanawia, i otworzono rejestra protokolarne ¹⁾, na których zapisywali się ci, którzy o pozwolenie powrotu prosili. Do 14. grudnia 1831 podało się na tych protokołach submissyi półtora tysiąca oficerów, i ci, otrzymawszy w styczniu żądane pozwolenie ²⁾, wyprawieni zostali do kraju w pierwszej połowie lutego 1832. Nieco wcześniej odeszła już była do Polski część oficerów korpusu Chłapowskiego-Rolanda, oraz 5. pułku strzelców konnych, którym w piśmie Paskiewicza do generała Kraffta, (z 1 [13] grudnia) objawione było szczególne pozwolenie powrotu. Wszyscy ułaskawieni oficerowie wstępowali do Polski przez Neidenburg, gdzie rosyjski generał Seddeler, przy pomocy rotmistrza Wogaka, odbierał od nich ponowną przysięgę poddaństwa.

Ale gdy ta jedna część wychodźców, a mianowicie żonaci, starsi wiekiem lub w służbie dawniejsi, ciągnęła ku domowym ogniskom, druga część — zwłaszcza oficerowie młodzi i polistopadowej kreacyi — spoglądała w inną, przeciwną stronę. Prąd elektryczny wzniecony rewolucją Lipcową nie był jeszcze uśmierzony; wrzało na wielu punktach — nie-

¹⁾ Odbieranie tych deklaracyi poruczone było pułkownikowi Cagnitzowi dla korpusu Rybińskiego i generałowi Stülpnaglowi dla korpusu Chłapowskiego-Rolanda.

²⁾ W piśmie Paskiewicza do generała v. Kraffta 4. (16). stycznia 1832. Pismo to wyłączało specjalnie od pozwolenia powrotu powstańców »z prowincyów Zachodnich Cesarstwa«, którzy z korpusem Rybińskiego do Prus przeszli. Tym, jako i innym oficerom, co dopiero po ogólnym terminie składania deklaracyi submissyę podpisali, król dozwolił przedłużyć jeszcze pobyt w Prusiech, w oczekiwaniu osobnego względem nich postanowienia Mikołaja.

tylko we Francyi, ale i w Hiszpanii, Portugalii, Belgii, we Włoszech i Niemczech; zdawało się, że z zakłóconego stanu Europy niebawem wyniknąć muszą nowe zawikłania: koalicya przeciw Francyi, rewolucya, nowa wojna, która Polakom poda broń tylko co z dłoni ich wypadłą. To wszystko skłaniało młodszych, gorętszych, bardziej skompromitowanych nie składać submisyi, nie iść z pochyloną głową do Polski, dokąd spodziewali się wrócić wkrótce z orężem w dłoni. Naturalnie myśli ich zmierzały ku Francyi. O gościnności jej nie mogli wątpić; toć to niedawna towarzyszka broni; powstanie tak zgubnie zakończone dla samych Polaków, przyczyniło się przecie nie mało do odwrócenia od niej niebezpiecznej wojny; we Francyi, w końcu, znajdowały się zaległe sumy polskie, które na pomoc wychodźcom użyte być mogły. Śród wojskowych rozbudziły się niezatarte jeszcze tradycye 1794 roku.

Z przejściem przez granicę niknie znaczenie naczelnego wodza ostatniej godziny; natomiast uwydatnia się czynność generała Bema. Inni generałowie, po wprowadzeniu swych oddziałów do Prus, zupełnie zapomnieli o żołnierzach i już tylko o własnym losie myśleli. Jeden Bem, ożywiony doskonałym duchem łączności koleżeńskiej, który w korpusie artyleryi panował, powziął pierwszy myśl dostania się do Francyi z pewną zrazu skromną liczbą oficerów swojej broni. Ale ten zamiar rychło wzrósł do szerszych rozmiarów. Kilkunastu innych oficerów, złączonych z Bemem, zaczęło w tej myśli rozwijać propagandę; artylerzyści złożyli pomiędzy sobą 10,000 franków z sum francuskich, na jej wydatki, na rozsyłanie posłańców z rozkazami, na żołd dla tych, którym rząd pruski odejmował płacę i t. p. Bem pobiegł do Królewca znieść się z rodakami tam rozłożonymi; jednocześnie wysłał pismo do Paryża, do generała Pelleta, dyrektora wydziału w ministerstwie wojny, oznajmując, że wojskowi polscy pragną szukać schronienia we Francyi, a z ambasady franc. w Berlinie, otrzymał wiadomości, dające mu pomysłne nadzieje, że Polacy dobrze będą przyjęci we Francyi. Coraz liczniejsi stronnicy

tego kierunku, gorliwie jęli rozkrzewiać hasło emigrowania, wystawiając, że amnestyi carskiej ufać nie można, a że nad Sekwaną czeka Polaków najlepsze przyjęcie ¹⁾). Powstała z tego powodu nader żywa agitacya śród garnizonów polskich, i młodzi oficerowie wołali za swym kolegą Konstantym Gaszyńskim:

»Bracia! namże się dzisiaj namyślać przystało
Między hańbą powrotu a legionów chwałą«.

Z postawienia rzeczy jako kwestyi honoru i patriotyzmu, wynikło rozdwojenie i nawet rozjątrzenie, które w kilku wypadkach doprowadziło nawet do przykrych bardzo scen targnięcia się na niektórych starszych oficerów. Na wahających się usiłowano wpływać i pociągnąć nietylko oficerów ale i żołnierzy. Czynny, bogaty w projekta umysł generała Bema, zbyt bujnymi uniesiony planami, rokował sobie, że zdoła wyprowadzić z Prus do Francyi jeśli nie 15 to 10 tysięcy żołnierza — gotowy kontyngens dla utworzenia legionów polskich, jak sobie marzył generał. Potrzebny na to fundusz — milion franków — liczył znaleźć głównie we Francyi, i w tym celu, w połowie grudnia, wyjechał sam z Elbląga przez Drezno do Paryża. Przed wyjazdem wystosował list ²⁾ do generała von Rummla z wyrzutami za niegodne jego postępowanie z żołnierzami naszymi, ale uczynił to tonem zbyt gwałtownym i prowokującym, ażeby krok ten korzystny wyrzec mógł skutek. W podróży do Paryża, wzywał Niemców do tworzenia komitetów na korzyść Polaków i naznaczał im

¹⁾ Jeszcze podczas wojny, na wniosek generała Paca, uskuteczniiony został akt deklaracyi, którym przystępujący zobowiązywali się pod słowem honoru, nie ustawać w usiłowaniach odzyskania niepodległości ojczyzny, i raczej przenieść śmierć lub wygnanie, niż poddać się prawu moskiewskiemu (*Stan. Małachowski* Wspomnienie z życia mojego. Rękopis w posiadaniu hr. Stan. Tarnowskiego). — W Poznaniu był rodzaj komitetu (*Przepałkowski, Kielanowski*), który ułatwiał sposoby emigrowania (*Goczalkowski*. Moje wspomnienia, tom II, 102).

²⁾ »Constitutionnel« 8. stycznia 1832 r.

oficerów polskich do pomocy. — W Paryżu oczekiwanego skutku od władz nie osiągnął. I od komitetu francusko-polskiego, działającego już tam od kilkunastu miesięcy pod prezydencją Lafayette'a, bardzo mało uzyskał; ten bowiem fundusze, którymi jeszcze rozporządzał, wydatkował na utrzymanie Polaków przybyłych już do Paryża; wysłany zaś agent komitetu, Klejn, z sumą 30,000 franków dla żołnierzy, zrażony trudnościami stawianymi przez Prusaków, przekonany, że ci żołnierzy nie puszczą, dojechał tylko do Saksonii i nie używszy powierzonych mu pieniędzy, wrócił z niemi do Paryża. Natomiast dr. Samuel Howe, prezydent komitetu amerykańskiego, zabrawszy ze sobą podobną sumę, dotarł nieco później do samego Elbląga i tam część jej użył: rozdawał zasiłki żołnierzom, sprawiał im buty i koszule i odwiedzał chorych w szpitalu. Było to pocieszenie dla biednych wiarusów, ale nie trwało długo, bo generał Schmidt wzbronił mu zbliżać się do Polaków, nie pozwolił mu nawet rozdawać im odzieży, choćby w obecności oficera pruskiego, a w końcu kazał go zaaresztować i wywieźć do Berlina ¹⁾. Nie otrzymawszy tam protekcyi poselstwa francuskiego, Howe następnie odstawiony został do granicy i wydany z państwa pruskiego.

Bem, po krótkim pobycie w Paryżu, z »zakrwawionem sercem« — jak sam powiada — opuścił to miasto i wrócił do Niemiec. Jeszcze z Paryża wysłał odezwę do komitetów niemieckich, dziękując im za przychylną pomoc i polecając

¹⁾ Strzeżony w Berlinie przez żandarma, nie miał innego sposobu ukrycia papierów, które mogły być kompromitującymi, jak wtykając je w wydrążenie popiersia alabastrowego Fryderyka, zdobiącego jego stancję. Papiery te zostały w głowie Fryderyka W., gdy rząd pruski Howego do granicy Francyi wyprawić kazał. Z polecenia Howego, przyjaciel jego, słynny autor Fennimore Cooper, zajął się ich sprowadzeniem; wysłał w tym celu osobę zaufaną, która stanawszy w tym samym hotelu, znalazła je jeszcze nienaruszone po kilku miesiącach i szczęśliwie do Paryża przywiozła.

Anegdotę tę opowiadał sam F. Cooper na zebraniu Towarzystwa literackiego w Paryżu, dnia 3. maja 1833 r.

głównie żołnierzy i podoficerów. We Frankfurcie spotkał się z pierwszą kolumną Polaków, dążących do Francyi, i wydał do nich rodzaj rozkazu dziennego, z burą za niektóre usterki. Dla załatwienia interesów przechodniów, osadził we Frankfurcie kapitana Blizińskiego, w Heidelbergu kapitana Łaskiego, wysłał też oficerów do Karlsruhe i do innych miast¹⁾ i sam wrócił już nie do Prus, tylko do Saksonii. Z Lipska wydał odezwę do oficerów z oznajmieniem, że Francya im przyrzeka »protekcję i utrzymanie«, ale zarazem załączył przestrożę, by się w kraju, co im wrota otwiera, godnie zachowali, w stosunki z komitetem polskim, świeżo pod Lelewelem w Paryżu utworzonym, nie wchodzili, i rozkazy generała Kniaziewicza spełniali. — Z myślą wydobycia z Prus żołnierzy i tworzenia legionów jeszcze się nie rozstawał; spodziewał się otrzymać na to znaczniejsze fundusze z Galicyi. Ale i ta nadzieja nie dopisała. Rodacy w Poznańskim, w Dreźnie, w Paryżu, na prędce zebrali wprawdzie pewną kwotę, ale ten grosz wdowi był tylko drobną częścią sumy, jaka mu zdawała się potrzebną do spełnienia zamierzonego projektu; fundusz zaś rządu francuskiego, w ilości 300,000 fr., przeznaczony na zasiłek podróży wojskowych polskich i rozdawany przez agentów francuskich w Gdańsku, Elblągu, Dreźnie, Hanowerze i t. p., użyty był wyłącznie prawie dla oficerów z umyślnem pominięciem żołnierzy; w dodatku, w Prusiech, dziwnym sposobem rozdawany za pośrednictwem władz miejscowych, szedł on w wielkiej części na tych, co do kraju wracali.

Lecz, jeśli po wielorakich usiłowaniach i zabiegach, zamysł generała Bema nie dał się doprowadzić do skutku, to temu nietylko brak funduszków, ale w równej, jeśli nie wyższej mierze, i postępowanie rządu pruskiego stanęło na zawadzie. Ten bowiem chciał, co rychlej, pozbyć się gości, któ-

¹⁾ W pomoc komitetom niemieckim, między innymi wysłani zostali: do Hof Kap. ks. Janusz Czetwertyński, do Plauen Przewdziecki, do Zwickau Czackowski, do Bambergu Ant. Patek, do Baireuth Fr. Skirgiełło, do Karlsruhe podpułk. Paprocki.

rych utrzymanie ciążyło na jego skarbie, — bo Rosya, chociaż po dłuższych negocyacyach przystała była na zwrot kosztów stąd wynikających, od wydania »amnestyi« chciała mieć siebie za zwolnioną od wszelkiej obligacyi w tym względzie ¹⁾. Z drugiej strony, dogadzając Mikołajowi i własnej polityce, nie chciał gabinet berliński dopuścić, by za granicę wyszła znaczniejsza liczba ludzi, mogących w Europie zwiększyć żywioł ruchu i agitacyi, oraz utworzyć jakąś zbrojną formacyę, coby w razie wojny stała się punktem atrakcyjnym dla wojskowych polskich z pod trzech zaborów. To tłumaczy osobiwą usilność, z jaką w Prusiech zmagano żołnierzy i podoficerów do powrotu; ²⁾ nęcano biedaków namową, groźbą, brutalnem obchodzeniem się; starano się ich znużyć, bałamucić fałszywymi wiadomościami lub podstępными odezwaniami; grożono, że im przestaną dawać utrzymanie ³⁾, że jako dezterterów wydadzą ich Rosyi ⁴⁾. Wszystkie te sposoby przypisywano głównie

¹⁾ Gazeta *Schwäbischer Merkur*. Korespondencya z Berlina 15. stycznia 1832.

²⁾ Oficerowie pruscy, którzy odprowadzali żołnierzy do granicy polskiej, nie tylko byli upoważnieni, ale mieli nakaz użycia siły oręża w wypadkach sprzeciwiania się. »Der preussische Echellon-Offizier ist nicht allein authorisirt sondern hierdurch angewiesen, bei offenen Widersetzlichkeiten die Gewalt der Waffen anzuwenden«. (Instrukcyja generała von Krafft 29. listopada 1831.)

Rozkaz dzienny tegoż generała do żołnierzy polskich, z dnia 18. stycznia 1832, zawiera następujące wyrazy: »Podoficerowie i żołnierze z Królestwa Polskiego! Nie doprowadzajcie do tego, by wykonanie rozkazów Najj. Pana musiało być osiągnięte środkami przymusowymi. Wiedziecie, że nieposłuszeństwo, którebyście okazali ponowną i daremną odmową powrotu, nie będzie w żaden sposób tolerowane. Słuchajcie co wam oświadczam w sposób stanowczy!... Jako żołnierze powinniście wiedzieć, że rozkaz raz otrzymany, musi być spełniony, i wiecie na jakie kary byście się wystawili w razie trwania w nieposłuszeństwie«.

Próbki to, wykazujące wartość zaprzeczeń pruskich, że ze strony ich władzy żadnego nacisku na żołnierzy polskich nie wywierano.

³⁾ Pismo generała Rummla do Rybińskiego 1. grudnia 1831.

⁴⁾ Pismo tegoż do pułkownika Breańskiego 9. grudnia 1832.



WOJSKO POLSKIE Z ROKU 1831. — SZTAB GŁÓWNY.

W środku wódz naczelny, za nim szef sztabu, adjutant, oficer kwaterymistrzostwa i ordonanse. Przed frontem stoi kompania doboszy z tamburmajorem na czele, za nimi piechota.

(Wedle oryginalnego rysunku J. Kossaka z dzieła *Album wojska polskiego z r. 1831*, wyd. K. Kozłowski, Poznań 1887).

rozporządzeniom generała von Rummla i majora Brandta, (dawnego kapitana Legii Nadwiślańskiej), którzy podobno w swej gorliwości, przekraczali nawet zamiary swego rządu. Stary, dobrotliwy król pruski, niechętnem okiem patrzył na te gwałtowne środki, i może to w skutek tego, po pewnym czasie Rummel został zastąpiony przez generała Schmidta, a Brandt przez urzędnika cywilnego. Obaj otrzymali dekoracye rosyjskie.

Paszporta za granicę wydawał rząd pruski wyjątkowo tym tylko żołnierzom, których zaliczał do kategorii »skompromitowanych«, tj. na których ciążyły szczególne przewinienia; ażeby się do niej dostać niektórzy sami siebie oskarżali o niepopelnione zbrodnie lub wymyślali je jeden na drugiego. Po pewnym czasie odjęto żołnierzom tych nielicznych oficerów polskich, którzy im z początku przy kompaniach lub szwadronach rostawieni byli; poddano ich pod pruską komendę i pruski regulamin, dzielono ich na małe grupy, odłączono »skompromitowanych« od t. zw. »upartych i krnąbrnych« i ustawicznie przemieszczano — i właśnie te przemieszczania budziły zwykle między wiarusami nieufność i obawę i dawały powód opierania się rozkazom pruskim. Mimo to wszystko niektóre oddziały, jako to: Krakusy, Czwartaki i Artylerzyści dziwnie uporczywie trwali w postanowieniu nie wracać do Polski. Odłączeni od swych oficerów, w obcym kraju, niedostatecznie żywieni, nędznie odziani, to nęceni obietnicą dobrego obejścia się z nimi w Rosyi, to straszeni, że Francya nie myśli ich przyjmować, opuszczeni, bez nadziei ulgi w swych cierpieniach, ci biedacy opierali się jednak wszelkim usiłowaniom Prusaków i korzystali ze wszelkich sposobów ujęcia do Francyi.

System wypierania w ręce wroga ludzi, którym schronienie było uroczyście zapewnione, żadnym argumentem nie da się usprawiedliwić. Nic dziwnego, że wywoływał on niekiedy sprzeciwiania się ze strony tych biedaków, których — rzec można — pozbawiono wzroku, odjąwszy im ich natu-

ralnych przewodników. A jednak w takich zdarzeniach represya była dziwnie bezwzględna i nieludzka; ciemna plama pada na postępowanie pruskie za sceny zaszłe np. w Elblągu, w Neuteich, Tczewie, a zwłaszcza w Fischau: dla przełamania oporu i nieposłuszeństwa, wynikającego głównie z nieznamomości języka, z niedowierzania Prusakom i z obawy że ich podstępem Rosyi chcą wydać, wojsko pruskie nie wdrygnęło się uderzyć na bezbronnych, na nieszczęśliwych, którzy w ręce króla pruskiego złożyli swe bezpieczeństwo. Polała się krew. Padli ofiarą ranni i zabici!

Na dzień 27. stycznia major pruski Szwejkowski, dla formowania listy »skompromitowanych«, zwołał do Fischau żołnierzy naszych z jazdy, w okolicy rozłożonych. Wyłączywszy pewną niewielką liczbę jako skompromitowanych, reszcie nakazał marsz na nowe leże, ale w kierunku zbliżającym ich do granicy. Żołnierze podejrzewając w tem zamiar wydania ich Rosyi głośno oparli się; rzucili się na pewnego oficera polskiego, który ich nakłaniał do powrotu, wołali że żądają paszportów do Francyi i że pójdą tylko w kierunku przeciwnym ku Malborgowi. Perswazye żadne nie pomogły. Znajdujący się tam szczupły oddział pruski stanął im w poprzek drogi, a kiedy z krzykiem i wywijając kijami na kilkanaście kroków do niego się podsunęli, dał ognia do kupy. Ośm ofiar legło na miejscu ¹⁾, kilkunastu padło rannych. Pozostałych to jednak nie zawróciło; powstrzymani przez podoficerów od rzucenia się na Prusaków, rozprószywszy się ruszyli dalej i z innymi żołnierzami, co nadbiegli z sąsiednich kwater, w liczbie kilkuset przybyli pod Malborg. Zatrwożyło to mieszkańców, którzy mogli obawiać się pomsty od wzburzonych. Komenderujący tam, mając tylko bardzo szczupłą załogę pruską, wezwał wtedy do pomocy pułkownika Breańskiego. Ten, wyszedł do nich, znalazł ich na polu, w porządku, bez

¹⁾ Ciborowski, Wędołowski, Jancewicz, Małachowski, Grabowski, Sierzpichowski z 3 pułku strzelców konnych; Łubiński z 2 pułku strzelców konnych; Pietras z 13 pułku ułanów.

żadnych złych zamiarów, tylko stanowczo odrzucających »amnestyę«. Na głos od swojego, odpowiedzieli uległością i spokojnie weszli do miasta. Umieszczeni tam, tymczasowo w dawnym zamku krzyżackim, po kilku dniach poszli na nowe kwatery.

Pod wpływem tak usilnego nacisku, po odejściu głównej masy już w grudniu i później, mniejszymi partjami odchodził żołnierze do Polski, tak że po upływie czterech miesięcy w granicach pruskich pozostało ich tylko około 4000. Chcąc i tych nakoniec się pozbyć, wydał król nowy rozkaz¹⁾, gło- szący, że »ci, co jeszcze trwać będą w uporze nie wracania do Polski, uważani będą za ludzi, na których ciążyą szczególnie, osobiste zbrodnie, albo też którzy się noszą z niebezpiecznymi zamiarami, zagrażającymi spokojowi i bezpieczeństwu własnej ojczyzny lub innych państw«. Niesłychany ten rozkaz groził zarazem, że niepoprawni będą odtąd wzięci pod szczególnie ostry i ścisły nadzór. Po tej zapowiedzi zmaganie jeszcze się wzmogło. Zatem odeszło jeszcze 3000 do Polski i pozostało już tylko tysiąc kilkaset, którzy bądź co bądź trwali przy swoim i w ręce rosyjskie wzbranieli się wrócić. I tych to rzeczywiście zamknięto w twierdzach w Gdańsku, w Piławie, w Grudziądzu! I długo jeszcze trzymano ich w jasyrze, gdzie zaprzężeni do taczek, użyci byli do ciężkich robót. Następnie, latem 1832, kilkuset »skompromitowanych« rząd pruski wy- prawiał morzem z Gdańska i Piławy do portów francuskich.

Z oficerami postępowanie rządu pruskiego było inne. Na emigrowanie oficerów patrzył zapewne bardzo niechętnie, ale tym, co oświadczyli, że do kraju wrócić nie zamierzają, nietylko wyjazdu za granicę nie bronił, lecz przeciwnie ich śpiesznie przed innymi, tj. przed tymi, co do Polski wrócić mieli, z Prus wyprawiał i do drogi przynaglał. Czynił to i dla oszczędzenia kosztów ich utrzymania, i dla usunięcia co rychlej ich wpływu na młodszych towarzyszków broni. Niektórzy

¹⁾ Królewski *Cabinets-Ordre* z 25. maja 1832.

oficerowie, jak mianowicie pułkownicy Breański, Bobiński, Roślakowski, majorowie Świącicki, Mejnzer, Żyliński, Żebrowski, kapitanowie Bansemer i Nieszokoć, co się gorliwie żołnierzami opiekowali ¹⁾, wynajdywali różne preteksty, ażeby jak najdłużej w Prusiech przy żołnierzach się utrzymać; byli tacy, co dla tego umyślnie ran swoich nie goili. Ale policya pruska nie dawała im spokoju i bez względu na otwarte rany, na trzaskające mrozy, przez żandarmów do wyjazdu ich zmuszała, Po dwakroć pisał Rybiński do króla, żaląc się na zmuszanie żołnierzy, na gwałcenie praw gościnności obiecanej, ale nigdy nie otrzymał odpowiedzi.

Już od połowy grudnia 1831 zaczęły odchodzić z Prus przez Frankfurt n/O. jedne po drugich, oddziały, czyli tak zwane kolumny wychodźców, udających się do Francyi. Każdemu rząd pruski wydawał osobisty paszport i płacę dotąd pobieraną, obliczoną aż do granic królestwa. Oprócz tego dostarczał kolumnom podwód oraz kwater na noclegach. Na każdą furę czterokonną siadało zwykle po 5 osób. Kolumny były różne i obejmowały od 50 do 100 i więcej osób ²⁾, wyłącznie prawie oficerów lub podchorążych wyższego wykształ-

¹⁾ Oprócz wymienionych wyżej, jeszcze inni oficerowie odznaczali się szlachetnem i szczerem zajęciem się losem żołnierzy, mianowicie: z piechoty pułkownicy Antoni Paszkowicz; z kawaleryi podpułkownik Janowicz, major Bystrzonowski, por. Kałuski, podporucznicy Patek, Skirgiełło, Marylski, Turski, Uszyński.

Z artyleryi maj. Masłowski, kapitanowie Bagiński, Płodowski, Zawadzki, Bielski, Hauke, porucznicy Ekielski, Przeddziecki, Duchowski, Brzozowski, Koss Józef, Wasilewski; podporucznicy Strzemieczny, Wierciński Ant, Kowalski Nep., i kap. Szbicki od saperów.

Korpus Giełguda, rozmieszczony koło Króleweca, znosił się głównie z Bemem przez kapitana Janusza Czetwertyńskiego, który najwięcej się przyczynił do zachowania żołnierzy z tamtego oddziału. Nie mało zasłużyli się też w tej sprawie pułkownik Jackowski, maj. Mackiewicz, kapitanowie Ośrodkowski i Załuski, porucznicy Wierzbłowicz Mich., Pol, Dąbrowski i Stawiarski.

²⁾ Oficerom, udającym się w podróż o własnym koszcie, wolno było jechać w liczbie nie większej, jak w ośmiu lub dziesięciu.

cenia i młodych powstańców litewskich, którym przyznane były przy wejściu do Prus lub później stopnie podporucznikowskie. Żołnierzy prostych, jak już mówiliśmy, do Francji nie puszczano; że jednak oficerom wolno było mieć służących, więc pod tym pozorem odjeżdżający mogli wywieźć ze sobą pewną liczbę najlepszych podoficerów i instruktorów, wybranych po plutonach i przedstawionych niekiedy, dla obejścia kontroli, pod innym nazwiskiem.

Tym sposobem wy dostał się do Francji i kapitan Skulski, który na granicy zastrzelił był generała Giełguda i którego policja pruska czynnie poszukiwała. Komendantów tym podróżnym oddziałom nieznaczano wcale, ale sama kolumna obierała sobie z pomiędzy zaufanych oficerów »przewodnika« na całą drogę. Ze strony pruskiej dodawano tylko do każdej kolumny oficera dla utrzymywania porządku podróży, do znoszenia się z władzami po drodze i zarządzania podwód i kwater. Byli to zwykle ludzie dobrze wychowani, uprzejmego obejścia i mówiący po francusku albo po polsku; jechali oni osobno, ale często, dla kompanii, zapraszali do swego wozu jednego lub dwóch Polaków, i towarzyszyli kolumnie aż do granicy francuskiej.

Ale nietylko kolumnami szli nasi wędrowcy; liczniej jeszcze dążyli w rozproszeniu — pojedynczo a częściej we dwóch albo kilku, jak komu wypadło: dyliżansem, ekstra-pocztą, koczem, wózkiem lub piechotą; jedni mieli podróż zwyczajną i prozaiczną, inni spotykali się z przygodami; wielu jechało wygodnie, ale byli i tacy, co szli w biedzie, o kiju tułaczym. »Nigdy nie zapomnę — pisze już wzmiankowany wyżej Howe¹⁾ — młodego chłopaka od Krakusów, którego spotkałem na gościńcu. Był to dzień zimny i on trząsł się cały w wytartym swym mundurku; nogi miał spuchnięte a twarz bladą i wychudłą; nie miał ani grosza w kieszeni

¹⁾ List z dnia 25. maja 1832 do Tomasza Campbell, znanego poety angielskiego.



KSIĄŻĘ ADAM CZARTORYSKI
jako prezydent rządu narodowego z roku 1831.

i nie umiał ani słowa języka krajowego. Ale on szedł wciąż ku Zachodowi, pytając tylko o drogę do Francji. Nieboraczysko! Szedł już tak długo — myślał więc, że ona już o kilka mil tylko, a on był dopiero nad brzegiem Odry.

Już od października, acz nie gęsto jeszcze, widzimy wychodźców polskich przemykających przez Europę, pod własnym lub pod przybranym nazwiskiem. Bonawentura Niemojowski w asystencji kilku »Kaliszanów« przybywa do Paryża w październiku; Lelewel, przejechawszy Niemcy pod imieniem Neumana, staje tam tuż za nim w asystencji kilku członków klubu warszawskiego; z kwarantany w Golubiu, wygrawszy tam kilkadziesiąt dukatów, Maurycy Mochnacki, niecierpliwie ostrząc swe pióro, pospiesza też nad Sekwanę, ale dziwnie krętą drogą — przez Szczecin, Lipsk, Hanower i Brukselę. O tym samym czasie wyjeżdża z Podgórze ksiądz Adam Czartoryski. Kiedy w Warszawie szepcą sobie o nim, że umarł w Krakowie, były prezes Rządu narodowego, możny niedawno mecenas puławski, o szczupłym tłómaczku wygnańczym przediera się przez Niemcy. Towarzyszy mu Karol Sienkiewicz. Dwaj ukryci podróżnicy tu i owdzie w swej drodze natykają się, niepoznani, na innych rodaków. Ale któż ich wszystkich wyliczy! Kto podoła im wszystkim towarzyszyć — kiedy wkrótce nie będzie szlaku, wiodącego przez środek Europy, na którym byś nie spotkał Polaków zmierzających ku Zachodowi

Z tego to zastępu rodaków naszych, co wyszedłszy z ojczyzny, nie chcieli czy nie mogli do niej wracać teraz wytworzył się odrębny korpus wychodźstwa czyli emigracji polskiej — fakt doniosły w następstwach i bezpośrednio mający nie obojętne znaczenie dla stanu wewnętrznego kraju naszego. Bo w chwili, kiedy Polska skołatana i wyniszczona burzą wypadków, potrzebowała bardziej niż kiedy spokojnej, pracy, skupienia i trzeźwego liczenia się z rzeczywistością, ta garstka braci na tułactwie, z oddalenia, nietylko swem działaniem, ale samym bytu swego urokiem, utrzymywała jakiś nieokreślony niepokój, wzbudzała jakieś wyczekiwanie

i nadzieje, które, odwołując umysły społeczeństwa od najważniejszych spraw domowych, zwracały je ku ułudom zewnętrznym.

Obok tego emigracja uprawiała ze sobą kwiat młodzi i wierzchołki inteligencji, i ubożyła w ten sposób na dłuższy czas kraj z dzielniejszych żywiołów, z wyższych sił umysłowych, w które on i tak nie obfitował, a które na długoletniem wychodźstwie bez pożytku dla kraju po największej części zwiędnieć miały. Pomnijmy bowiem, że wychodźstwo utworzyło się z wyboru ludności, z czoła narodu; obejmowało ono senatorów, posłów, ministrów, generałów, uczonych, profesorów, poetów, literatów, możnych panów, większych i mniejszych właścicieli, urzędników i cały tłum oficerów starszych i młodszych, oraz akademików i uczniów szkół wyższych, a w całej ogólnej jego liczbie — 9.000 do 10.000 głów w przybliżeniu — szeregowcy i prostaczkowie stanowili stosunkowo małą t. j. czwartą część zaledwie.

Surowe ukazy Mikołaja, rzekome amnestye wyłączające całe kategorie uczestników powstania ¹⁾, wiarodłomne postępowanie z tymi, co w kraju pozostali, lub doń wracali ²⁾, niszczyło wszelką wiarę w carską „łaskę i przebaczenie“; szereg zaś krzywd i gwałtów, urąganie zwyciężonemu narodowi, umyślnie zadawane mu zniewagi i upokorzenia ³⁾ zbyt dotkliwie prze-

¹⁾ 2 października (20. września), 9, października (27. września), 13. października (1. października) 1831 roku.

²⁾ Generałowie polscy, co pozostali w kraju, byli wywiezieni w głąb Rosyi, a mianowicie: Iz. Krasieński, Zółtowski, Krukowiecki, Morawski, Milberg, Tomicki, Czyżewski, Redel, Ruthié, Rohland, Niesiołowski, Mroziński, Zawadzki, Bontemps i Dziekoński do Wołogdy; M. Radziwiłł do Jarosławia; Turno, Bogusławski i Müller do Permu; Wejssenhof do Kostromy; Prądyński do Petersburga.

³⁾ Porywanie i wywożenie dzieci do kolonii wojskowych w „Kantonisty“; rozkaz deportowania masami drobnej szlachty na Kaukaz; wcielenie żołnierzy polskich, wbrew amnestyi, do armii rosyjskiej (na 15 lat); zniesienie uniwersytetów w Warszawie i Wilnie i szkoły krzemienieckiej; zabór ich biblioteki i gabinetów; zamknięcie Towa-

konywały Polaków, że cesarz Wszechrosyi to dla nich nie monarcha, który po burzy pragnie przywrócić ład i spokój, to nie ojciec swych ludów, co po zadanych ciosach stara się je goić i łagodzić, że to nie tylko groźny zwycięzca, ale twardy, namiętny wróg rodu polskiego, dążący do zdeptania jego praw i jego bytu. To wszystko, oczywiście, musiało niemało przyczynić się do wzmożenia prądu emigracyjnego.

Wszelako emigracya nie przybrałaby znaczniejszych rozmiarów, żeby nie czynność, zachęta i organizacya generała Bema. On też powinien być uważany za właściwego ojca emigracyi. Zaraz za przybyciem z wojskiem na ziemię pruską, powziął on myśl wyprowadzenia wojskowych naszych do Francyi; w tym celu przybrał kilkunastu oficerów, i z nimi, jakby sposobem tajnego związku, ukrytym przed Prusakami, którzy mu stawiali różne trudności, szpiegowali, przejmowali listy i pieniądze, rozpoczął propagować i przysposabiać ruch wychodźczy. Posłańce biegali do garnizonów polskich, rozdawali hasło, odzew, zmieniane co tydzień, a wielu nie wiedziało nawet od którego z generałów wychodzą rozkazy.

Znane znalezienie się Bema pod Ostrołęką w chwili stanowczej, kiedy Rosyane masą przez most przechodzili i gotowali armii polskiej straszną klęskę, Bem, pod wpływem zuchwałego natchnienia, zrywa się ze swego stanowiska, na czele swoich dwunastu armat leci naprzeciw kolumnom rosyjskim i miazdży je *à bout portant*, a wskutek tego nasi mogli spokojnie wykonać odwrót. Od tej szarży, o nim tylko mówiono w Niemczech, i to mu ułatwiało urządzenie Komitetów Przyjaciół Polski, na przestrzeni od Saksonii do Renu, na kilku szlakach, którymi mieli ciągnąć Polacy. Przy nich,

rzystwa Przyjaciół Nauk i wywiezienie do Petersburga jego zbiorów; konfiskaty majątków prywatnych; rozdawanie krzyża polskiego *Virtuti militari* wojsku rosyjskiemu; nadanie Paskiewiczowi tytułu »Kniaź warszawskij«; zabieranie kościołów i kasata klasztorów; nieludzkie postępowanie z jeńcami; katowanie żołnierzy polskich w Kronsztadzie Janowie i t. d. i t. d.

dla pomocy i znoszenia się, osadzał oficerów polskich, odbierał od nich raporty; innych jak na przykład kapitanów Bansemera, J. Czetwertyńskiego, Mikuckiego, Wincentego Pola, rozsyłał do objeżdżania etapów i do rozwożenia dostarczanych pieniędzy, bielizny, odzieży. Wysłańce ci, mimo rygoru pasportowego, łatwo dostawali się z jednego miejsca na drugie; przewozili ich akademicy lub obywatele miejscowi, a zwykle tam, gdzie rząd był nam najnieżyczliwszy, tam właśnie znajdowali najlepszych przyjaciół, tam było najłatwiej o pasport, o przejazd bezpieczny, i, w danym razie, o ukrycie pewne. Zdarzało się, że o niebezpieczeństwie ostrzegali sami żandarmi. Nieraz jeden komitet z drugim nie chciał wprost traktować, wtedy trzeba było pośrednictwa Bema, do którego kwitów, z jego podpisem, przywiązywano szczególną wartość pamiątkową.

Trzeba było przeprowadzić kilka tysięcy ludzi przez całe Niemcy, z małemi stosunkowo środkami, spotykając się często z niechętnymi lub wrogimi władzami; trzeba było przewidzieć, co gdzie przygotować i zrobić należało — wszystko jednak odbyło się dziwnie porządnie, po żołniersku — doraźnie, trafnie, bez zwłoki — i tu Bem pokazał, że był nie tylko dzielnym przed frontem, ale i dzielnym organizatorem.

Wojaki nasze, wygodnie przebywając drogę od Elby do Renu, nie zawsze wiedzieli, że wyższa ręka nimi kieruje, i dopiero, gdy się spotkali z chłodniejszym przyjęciem we Francyi, zaczęli pojmować, że nie z przypadku w Niemczech znajdowali wszędzie tak dobre przyjęcie, i że ktoś obmyślił ten pochód dziwny i tłumny.

Zapewne, aby zanieść protestacyę za granicę, na to nie trzeba było tłumy; wystarczyłoby na to kilka najwybitniejszych osób rządu i sejmu; i któż dziś nie uzna, że liczna emigracya kraj osłabiała? Ale ci wszyscy, co się oddalili od granic ojczystych, ani przypuszczali, że je żegnają na długo; rozłąkę tę brali tylko za chwilowe zawieszenie walki, tak bowiem byli pewni bliskich zawikłań i »nowej wojny« w Euro-

pie, i tak byli przejęci zgrozą zadanej nam krzywdy, iż im się zdawało, że świat, skoro się lepiej o niej dowie, wyszle nam na pomoc legiony mścicieli. »Podobni do stada strzałamii pomieszanych żurawi — mówi jeden z ówczesnych tułaczy — wszyscy czuliśmy jakby instynkt jesiennego odlotu, dla wrócenia w lepszą porę«. A inny znów dzielny, Stary Żołnierz ¹⁾, po czterdziestu latach wychodźstwa powiada: »Niejeden z nas, gdyby przeczuwał, że ta droga nasza była drogą na długie wygnanie bez chwały; niejeden, powiadam, może wszyscy, byliby się bili do ostatka i raczej zginęli, aniżeli przystali dobrowolnie na los, który nas czekał«...

Rzecz ludzka i naturalna, że w tym ruchu emigracyjnym i zmysł samozachowawczy musiał przemawiać, i nie dziw, że niejednemu chwilowe schronienie w krajach cywilizowanych mogło wydać się ponętniejszem, niż koniec na śnieżnych pustyniach Sybiru lub wśród skał Kaukazu; może też romantyczna żyłka natury polskiej, chciwej wrażeń i przygód, odezwała się w niejednej młodej duszy. Ale to pewna, że w wielkim ogóle wychodźstwa nikły drobniejsze względy, i że w wszystkich przenikała myśl głębsza i uczucie wznioslejsze: troska o los ojczyzny, żądza służenia jej i walczenia za nią jeszcze. Nienawiść obcego ucisku, ocalenie niepodległej myśli narodu, afirmacya praw jego do udziałnego bytu, protestacya przeciwko krzywdom — oto były wyższe pobudki, dla których, jak przed 38 laty tak i teraz, Polacy porzucali kraj i wychodzili w dal, na obczyznę. Nadzieja, ta nieugaszona a tak zawodna nadzieja serc polskich, jak błędne światło wśród posepnego zmierzchu i wśród dróg nieznanych, wyprowadzała ich na tę pielgrzymkę.

Gdy nad grobem ojczyzny cała Polska płacze,
My z drogiej ziemi przodków wygnańcy, tułacze,
Idziem na świat szeroki, by ścigać nadzieję

¹⁾ *Mikołaj Kamiński*. »Wspomnienia Starego Żołnierza«. Poznań, 1872 r.

I łzami opowiadać smutne nasze dzieje...
Teraz dążym wiedzeni świetną Francyi gwiazdą,
Białopióremu orłu nowe uwić gniazdo,
Byśmy go jeszcze kiedyś, może w krótkiej chwili,
Na mściciela ojczyzny krwią swą wykarmili.

Tak marzył i śpiewał w przeddzień wyruszenia w drogę
jeden z młodych poetów obozowych.

II.

Mundur polski w apoteozie. — Entuzjazm w Niemczech. — Przed 50 laty, a dziś. — Sympatye prywatne w samych Prusiech. — Komitety niemiecko-polskie. — Gościnność; pomoc; zapał. — Przyjęcie w Lipsku. — Czynność komitetu lipskiego. — Urok wojaków. — Chwile uniesienia i rozrzewnienia. — Drogi od Prus. — Droga od Austryi. — Bolesna decyzya. — Z Igławy przez Czechy. — Kwarantana bawarska. — Uprzejmość w Ratysbonie. — Obojętność w Augsburgu. — Serdeczne przyjęcie w Ulm, Reutlingen, Tübingen; studenci. — Zapał we Freiburgu. — Jeszcze owacya w Mülheim i Lörrach. — Oziębła Bazylea. — Wjazd do Francyi przez St. Louis.

Nastąpił epilog nieszczęsnego dramatu. Ujrzano niezwykle w kolejach ludzkich widowisko: Szczery głośny hołd oddany sprawie czystej, ale w upadku. Od brzegów Odry aż poza Atlantyck powionął głos żalu i jakby czci pośmiertnej, okazanej temu, czego nie zaćmiły ani gromy, ani gruzy, ani własne nasze błędy i grzechy: wrodzonej nam miłości ojczyzny i niezrównanemu męstwu żołnierza naszego. Obszarpany mundur wojaka polskiego zajaśniał jakby w blasku apoteozy. Nietylko we Francyi ale i gdzieindziej — w Belgii, Szwajcaryi, Anglii, Norwegii, Ameryce — poruszyło się współczucie dla zwyciężonych i stawały komitety na rzecz wychodźców; w Niemczech zaś objawił się istny wybuch zapału i uwielbienia dla Polski i Polaków.

Tak jest w Niemczech — bo w tej krainie poważnych uczonych i myślicieli, w epoce, o której mówimy, nie panował ów duch wyłączności, nietolerancyi i ten »dogmat nienawiści«,

który ogarnął Niemcy równocześnie z ustaleniem się w nich pruskiej supremacji i ze wzrostem ich państwowej potęgi. Ówczesny liberalizm niemiecki — młody, szczerzy, szlachetny w swych marzeniach, zgoła nie był podobny do dzisiejszego, do owego liberalizmu sfałszowanego, który przენiewierzywszy się własnym pierwiastkom, stał się aliantem silniejszego przeciw słabemu, jurgielnikiem »złotego internacyonału« i chętnym sługą siły, depcącej prawo. A idea narodowości, wyrastająca przed pięćdziesięciu laty na gruncie uszanowania każdego organizmu narodowościowego, mającego w sobie normalne warunki życia i rozwoju — jakże się różni od tego jak ją obecnie w Niemczech praktykują.

Dzisiejsi koryfeusze niemieccy, postawiwszy »państwowość« ponad społeczeństwo i wszelkie inne jego cele, zasadę narodowości wykrzywiają na jakiś wybujały a drapieżny nacjonalizm, posługujący się fałszem i gwałtem, i gdy z jednej strony dla siebie wyzyskują ją aż do najskrajniejszych konsekwencji, z drugiej strony, innym mniejszym i słabszym narodowościom, odmawiają prawa bytu i cynicznie skazują je na zaginięcie i wytępienie.

Co za dni żelaznego kanclerza berlińskiego i jego następców uciemieża się i prześladowuje w Polaku, jako niebezpieczna i występna agitacya, to w epoce Rottecków, Welckerów, Blumów, Heckerów szanowano w nim jako cnotę. Podówczas przed Niemcami Polak uzmysławiał ideę walki za wolność i narodowość; z sympatycznym podziwem patrzyli oni na bohaterckiego żołnierza, wstrząsającego przez dziesięć miesięcy potęgą despoty, którego ciężka dłoń dawała się czuć i światłej ojczyźnie Schillera i Goethego. A gdy ten szermierz upadł w nierównym boju, społeczność niemiecka głęboko westchnęła, i uczuła potrzebę uczcić jego nieszczęście.

W samych Prusiech, gdzie władze były nam stanowczo nieprzyjazne, od prywatnych mieszkańców, od kobiet, doznawali Polacy wiele uprzejmości i dobroci. Zeznawały to dziękczynne oświadczenia, umieszczane przez nich po gazetach

w chwili odjazdu. »Nigdy nie będziemy się skarżyć na obywateli Prus Wschodnich — zapisują cytowane już »Notatki oficera« — z którymi obcowaliśmy kilka miesięcy w największej zgodzie: owszem miłe nam zawsze zostanie wspomnienie dobroci ich serca i gościnności«. Powiadano, że w samym Berlinie wśród rodziny królewskiej ukrywały się niejako dla nas sympaty; przypisywano je bratu stryjecznemu króla, księciu Frydrykowi, zwanemu dysseldorskim, oraz ówczesnemu następcy tronu. I sam król, jak już nadmieniliśmy, przeciwny był gwałtownemu obchodzeniu się z żołnierzami, bo też musiała mu nasuwać się uwaga, że tym samym uczuciom, które popchnęły Polaków do niewczesnego wybuchu, on zawdzięczał swój tron i odrodzenie swego Królestwa.

Zbliżeni do króla, a nam przychylni marszałek Śląska, hr. Maltzau, i słynny chirurg Dr Graefe, nieraz wstawiali się za Polakami. Zresztą, w samym Berlinie znajdowało się grono przyjaciół Polski (*Polenfreunde*), złożone głównie z uczonych, które się zbierało zwykle w cukierni Steheli. Z niego utworzył się pierwszy, słaby zarodek liberalnej opozycji — jak twierdzi Treitschke ¹⁾. Ten przychylny Polakom nastrój uczonego świata, wywierał w cichości wpływ niemały ²⁾. Pismo Raumera »O upadku Polski« wyglądało prawie jak oskarżenie, wymierzone przeciw Fryderykowi II., i ministrowie zamysłali już pozwać autora przed kratki sądu karnego. I giełda berlińska witała zwykle podwyżką wszelkie powodzenie oręża polskiego. Nawet w wojsku pruskiem usposobienie umysłów było do pewnego stopnia podzielone: brutalność całego postępowania Rosyi mocno zniechęcała pruskich jak i austriackich oficerów.

¹⁾ *Deutsche Geschichte* IV. 207.

²⁾ Nadmienimy tu, że kiedy nieco później, w 1832 r., wytoczono proces wszystkim Poznańczykom, co należeli do powstania, to publiczność w Prusiech patrzyła na to niechętnie. Sądy ociągaly się z przyzwaniem obwinionych i prawie jednogłośnie oświadczyły rządowi, że nie można ich sądzić na podstawie rozkazu gabinetowego. Utworzono wtedy w Wschowie osobny dla tej sprawy trybunał (*Stadt- und Landgericht*).



WOJSKO POLSKIE Z R. 1831. — PIECHOTA.

1 i 2) Pułk V (dobosz i szeregowiec). — 3) Pułk VI. — 4) Pułk VII (podchorąży). — 5 i 6) Pułk X (oficer i szeregowiec). — 7 i 8) Pułk XIV i XV. — 9 i 10) Pułk III i IV strzelców pieszych.
 (Rysunek oryg. Walerego Eliasza z dzieła *Albumu wojska polskiego z r. 1831*, wydał K. Kozłowski, Poznań 1887).

Pismo *Militär-Wochenblatt* ogłosiło kilka artykułów majora Willisena, które strategię rosyjską nie tylko ostro ganiły, ale zarazem Polakom tak wyraźnie podawały przychylnie rady i wskazówki, że minister Ancillon, mocno tem przerażony, żalił się przed ministrem wojny i zniewolił go do powstrzymania tego »nieporządku«.

W Elblągu mieli Polacy kilku mieszkańców szczególnie im przychylnych. Znany był zwłaszcza z tego p. Jakób von Riesen; nie zrażał się, że miejscowi urzędnicy na niego krzywo i zbyt bacznie patrzyli ¹⁾, komunikował się z Bemem, oddawał Polakom różne usługi, razem z Amerykaninem Howe odwiedzał chorych w szpitalu, i za jego to może przyczyną Elblążanie podali petycję, wstawiając się za naszymi rodakami. Ale nawet pod sztywnym uniformem pruskim, gdzie niemiłosierna *Staats-Raison*, rzekoma racya stanu, nie wyziębiła do szczętu tkliwszych uczuć, Polacy odkrywali nieraz spółczujące im serca. Generał Zöppelin, sam osiwiwały w bojach za ojczyznę, kiedy przyjmował Rybińskiego na granicy, okazał sympatyczną i szlachetną postawą, że umie uszanować nieszczęście walczących. Komendant twierdzy Weichselmünde obejściem swem znać zjednał wdzięczność Polaków, kiedy ci mu na pożegnanie złożyli puchar srebrny. Porucznikom v. Buttlerowi, Khallowi i Magen-Hefferowi, przeprowadzającym kolumny od Królewca do Eisenach, przy rozstaniu się wręczono pierścienie złote z listami dziękczynnymi; innemu oficerowi, porucznikowi v. Goltzowi 11. kolumna, dojechawszy wspólnie aż do granicy francuskiej, ofiarowała na pamiątkę parę pięknych pistoletów ze stosownym napi-

¹⁾ W liście pod datą 1 marca 1832, pisze on do generała Bema: »Zresztą nawet w mieszkaniu mojem otoczony jestem szpiegami, jak to niedawno odkryłem. Takie haniebne rzemiosło, odkąd jesteśmy prusakami, nigdy tu się nie praktykowało. Byłoby niesłusznem rząd nasz o to obwiniać, jest to tylko zła i głupia gorliwość służby (*der schlechte, dumme Diensteifer*) niektórych niższych urzędników, którzy tym sposobem chcą się odznaczyć«. (Rękopis w Zbiorach Biblioteki Polskiej w Paryżu).

sem. A czy podobnych przykładów nie było i więcej, tam, gdzie ludzie do ludzi się zbliżyli, gdzie lepsze struny ich duszy o siebie się potrafiły?

Już w tak zwanej prowincyi saskiej, należącej do Prus (wcielonej do nich dopiero od roku 1815), coraz lepsze usposobienie publiczności czuć się dawało Polakom. Ale począwszy od granicy Królestwa Saskiego i dalej, w środkowych, południowych i zachodnich Niemczech, nastrój podnosił się do wysokiej nuty gorącego entuzjazmu. Ruch wychodził od klasy najoświecenijszej i popierany był głównie przez warstwy średnie społeczeństwa, przez profesorów, literatów, prawników, księgarzy, kupców itp. W mgnieniu oka utworzyło się mnóstwo kół i komitetów dla podejmowania i wspomagania wychodźców polskich. Oto są znaczniejsze miejsca, gdzie takowe stanęły: Altenburg, Braunschweig, Baireuth (prezes, kupiec Georg Kolb), Bamberg (prezes Dr v. Hornthal, adwokat), Brema (Rösing), Augsburg, Culmbach, Calv, Darmstadt, Drezno, Eisenach, Esslingen, Frankenthal, Frankfurt nad Menem (prezes Mack), Freiburg (komitet damski pani Welcker), Fürth, Gera, Giessen (Dr Bansa), Gotha, Göppingen, Hanau, Hanower, Heidelberg, Hof, Jena, Kaiserslautern (damski), Karlsruhe (prezes Baron Fahnenberg, dyrektor poczt), Kiel (prezes G. Balemann, adwokat), Laar, Landau, Lipsk, Lubeka, Manheim, Moguncya (komitet panien), Monachium, Neuburg, Norymberga (damski), Pforzheim, Plauen (Böhler, senator, Karol Braun), Rastatt, Rattysbona, Reutlingen (Mobel), Spir, Stuttgart, Tübinga, Türkheim, Ulm (prezes Moser), Wildbad, Würzburg, Zweibrücken.

Zważając, że prawie cała Emigracya przeszła przez Niemcy, i że wszyscy potrzebujący otrzymali hojne wsparcia, użyte przez te komitety sumy musiały być nie małe.

Wyszędłszy z Prus, od samej granicy saskiej, Polak mógł już dostać się do Francyi, wcale nie sięgając do tułaczkiej kalesy: popasy, noclegi znajdował wszędzie bezpłatnie; opatrzwszy jego potrzeby odsyłało go z miasta do miasta i zaśpiewano mu na drogę: »Jeszcze Polska nie zginęła«. Pieśń ta

była w Niemczech prawie równie popularną, jak między nami samymi. Miasta i miasteczka prześcigały się w gościnności dla Polaków. Za ich przybyciem miejscowość przybierała postać i ruch świąteczny; na twarzach mieszkańców malowało się niezwykle ożywienie. Nietylko o ich potrzebach pamiętano, ale starano się również ich rozweselić i uświetnić ich pobyt. W wielu miejscach spotykano Polaków tłumnie, uroczysto, z chorągwiami, ze śpiewami lub muzyką, przemowami i wierszami okolicznościowymi, wystrzałami z moździerzy, okrzykami: »Niech żyje Polska! Niech żyje wolność! Precz z tyranami!«

Gdy Polak wstąpił do sklepu jakiego, często kupiec wzdragał się przyjmować zapłatę za przedmiot wybrany. Na ulicach matki pokazywały dzieciom Polaków, i kazały biedz ku nim i ścisnąć im ręce. Wieczorem iluminowano domy, wystawiano transparenty, wyprawiano dla nich koncerta, bale, »reduty«, sute — niekiedy nawet zbyt sute — libacze i hulanki. Pod oknami wyższych oficerów polskich urządzano serenady, a gdy się pokazali w teatrze lub na innem publicznem miejscu, witano ich grzmiącymi oklaskami i wiewatami. Przy odjeździe żegnano naszych rodaków z rozczuleniem, wtykano do wozów cygara i butelki, zaklinano się, że Polska odżyć musi i że odżyje z pomocą Niemców, proszono o ładajakie upominki, rzucano im kwiaty, życzenia, błogosławieństwa.

W Lipsku kolumny idące z Prus spotykały pierwsze owacye i tłumne, świetne przyjęcie; tutaj działał jeden z głównych i najczynniejszych komitetów. Składali go: Fryderyk Brockhaus, Bodenhausen, Bergmann, kapitan Brochowski, radzca dr Kind, radzca dr Seeburg, prof. Schellwitz, dr Stieglitz, dyrektor Streubel i profesor dr Wendler. Już 16 listopada odezwał się on, wołając o pomoc dla »mężów, którzy z zakrwawionemi sercami opuścili teatr walecznych czynów, i spieszą przez Lipsk szukając pod łagodniejszym niebem schronienia, którego im ojczyzna odmawia«.

Ofiary wnet zaczęły napływać, a nietylko z okolicy, ale i z dalszych miejsc, jak n. p. z Bremy, Lubeki, Kilonii, Brun-

świuku¹⁾, kędy Polak rzadziej przechodził; wielka ich część pochodziła od ludzi niezamożnych, biednych, ale znać, że składowana była z ciepłem i rzewnem uczuciem; tak n. p. na wykazie spotykamy datek »Od kilku głuchoniemych, gorących przyjaciół Polski«, inny »Od klasy małych dziewcząt szkoły mieszczańskiej«, lub »Od kwaków z osady Herrnhuth«, z dopiskiem: »Boże, pomóż biednym Polakom!«

W niespełna 10 tygodni, od 8 stycznia do 13 marca, przeszło przez Lipsk 2130 Polaków, którymi, w ten lub ów sposób, komitet się zajmował; z tego łatwo pojąć, że miał on niemało zatrudnienia. Jedni członkowie, jak Brockhaus i Bergmann zbierali ofiary i utrzymywali fundusze, drudzy trudnili się sprawianiem i rozdziałem odzieży, ci rozmieszczeniem po oberżach, inni przyjmowaniem meldunku prywatnych kwater dla wędrowców, inni znów załatwiali dostarczenie powozów oraz sprawy policyjne i paszportowe; dr Schellwitz był sekretarzem komitetu. Artyści i dziennikarze z gotowością przychodzili mu w pomoc. Na dochód komitetu odbył się 4 stycznia koncert w słynnym *Gewand-Haus* pod kierunkiem dyrektora Polenza; sprzedano tysiąc kilkaset biletów, a sala i przedsionki były przepełnione. Grono muzyczne *Euterpe* urządziło następnie drugi koncert, stowarzyszenie zaś *Literarisches Museum* wydało wiersz Mosen'a *Die letzten zehn vom vierten Regiment*, z muzyką Augusta Schustera, i sprzedawało go na rzecz Polaków. Pisma publiczne nie szczędziły zachęty artykułami, ogłoszeniami i wierszami. Tygodnik *Unser Planet* obfituje zwłaszcza w te ostatnie i podaje różne rymowane utwory jak n. p. *Des Polen Engel! — Der Waller durch Polen's Schlachtgefilde — Rybiński und seine Getreuen auf preussischem Gebiet* itp., a gazeta *Leipziger Tageblatt*, na powitanie Nowego Roku 1832 ogłasza strofy, zaczynające się wierszami:

¹⁾ Tutaj byli czynnymi księgarz Vieweg i jego syn F. H. Vieweg który w r. 1887 umarł w Paryżu.

*Seht ihr dort das Roth im Osten?
Das ist Polen's Heldenblut!*

Damy lipskie także były czynne i urządziły na korzyść komitetu wielką loteryę robót kobiecych.

Przez kilka miesięcy swego trwania komitet lipski wydał 10.405 talarów i między innemi sprawił 253 płaszczów, 206 par spodni, 460 koszul, 562 par butów itp., a na lekarstwa użył tylko 6 tal. i 12 sgr.

Mimo tak znacznej liczby Polaków wędrujących przez Lipsk, przejście ich przez to miasto odbywało się porządnie i nie powodowało starć i trudności z władzami; owszem, ze strony rządu, który na ten czas wydelegował do Lipska nadzwyczajnego komisarza, komitet doznawał wszelkich możliwych ułatwień, a kiedy pewne pismo błędnie doniosło, że niektórym rodzinom polskim w Lipsku zostało odmówione schronienie, urzędowa gazeta *Leipziger Zeitung*, dała tej wiadomości oficjalne, energiczne odparcie.

Przybywające z Prus kolumny spotykane były przez komitet lipski we wsi granicznej Taucha, gdzie na nie czekały cztero i sześciokonne wozy oraz oficerowie sascy, którzy tu się do nich przyłączali i potem przeprowadzali je aż do Lützen. Wjazd do samego Lipska zwykle bywał huczny. Gwardya mieszczańska w mundurach, poprzedzona przez 24 poczylińców grających na trąbkach, występowała na ich spotkanie. Młodzież, akademicy, wyrobnicy wyprzęgali konie i sami ciągnęli Polaków przez ulice, wśród ciżby mieszkańców rozmaitego wieku i stanu. Otoczeni tłumem stawali na jednym z placów miasta; tam znoszono ich z powozów, ściskano jak braci i rozmieszczano w najlepszych oberżach lub domach prywatnych.

Oto, jak jeden z ówczesnych wędrowców, Wincenty Pol, wjazd do Saksonii i do Lipska opisuje:

»Granica Saska — słupy malowane na zielono i biało. — Za mostkiem na lewo, w szeregu, pluton strzelców pieszych,

na prawo a naprzeciwko niego pluton dragonów — prezentują broń — kapitan wyjechał i powitał wojskowo. Przystąpił prezydent komitetu z 2 delegatami, a kiedy strzelcy odstąpili i złożyli broń w kozły, a dragoni zsiadli, waliła się nasza wiara hurmem przez mostek, powitana przez wojskowych: *Hoch Polen!*

»Wojskowi nasi i sascy ściskali się serdecznie.

»W pawilonie, przy granicy, w pięknej salce, przygotowane śniadanie. — Ozdobiona: połączone herby Korony i Litwy z Saskimi; portrety Augusta II. i III., króla Saskiego, księcia Warszawskiego, infantki Saskiej, Kościuszki, Poniatowskiego, a nieco niżej litografowane portrety Skrzyneckiego i Dwernickiego, w wieńcach ze świeżych kwiatów. — Toasty.

»Z Lipska przysłano bardzo ozdobne ekwipaże i omnibusy — także furgon z bielizną i odzieżą; przybył lekarz dla opatrzenia rannych, i nawet fryzyer do kompletowania toalety.

»Po śniadaniu ruszyliśmy drogą ku Lipskowi. Zbliżając się do miasta, na błoniu ujrzelśmy całą gwardyę narodową w szeregach, oczekującą na nasze przybycie. Powozy nasze wstrzymały się na chwilę; gwardya oddała honory wojskowe, a komendant jej, Brockhaus, jechał przy powozie Polaków aż do bramy miasta.

»Tu czekała młodzież uniwersytecka z rozwiniętymi chorągwiami, a muzyka grała pieśń o Starym Wodzu. Zrobił się serdeczny zamęt; tłum obywateli zmieszał się z naszymi wiarusami; tłumnie weszliśmy do miasta, poprzedzeni szeregiem akademików z muzyką, która nas aż do sali komitetu odprowadziła. Tu rozproszyła się wiara po mieście, i dopiero wieczorem ujrzelśmy się znowu w teatrze, gdzie grano *Staro Wodza*.

Niektóre kolumny zatrzymywały się po kilka dni w Lipsku; Polacy szli z pielgrzymką do pomnika księcia Józefa Poniatowskiego i na pole bitwy z roku 1813; wieczorami ugaszczano ich biesiadą, ucztą lub balem, w salach przybranych w dekoracye zastosowane do Polski i Polaków.

Wiadomo każdemu, że uczucie, które w danej chwili ożywia wielką masę ludności, na zebraniach, przy wystąpieniach tłumnych, dziwnie wzbiera, rozżarza się i podnosi niekiedy do niesłychanego stopnia zachwyty i uniesienia. Psychologiczny ten fenomen powtarzał się niejednokrotnie po drogach kędy szli Polacy, i wydarzały się czasami objawy gościnności trudne do opisanja, i nie mniej trudne do uwierzenia. Poprzedzało Polaków powszechne zajęcie podczas trwania walki, poprzedzała sława świetnego męztwa; zjawienie się tych nieustraszonych zuchów, znanych dotąd tylko z tysięcznych opisów, a wychodzących prawie wprost z ognia bitew morderczych, obok sympatyj, budziło i żywą ciekawość. Któż nie wie, że działwie marsowej od wieków i wszędzie, służy przywilej wywierania szczególnego uroku na płeć piękną. Nie darmo, podobno, powiada starodawna piosenka:

Ułani, oj ułani, malowane dzieci,
Niejedna panienka za wami poleci.

Owe ułańskie giętkie postacie o dziarskich a ugrzeźnionych ruchach, z chmurą smętku na czole a uprzejmym uśmiechem na ustach, miały właściwy sobie wdzięk. Ci młodzi Sarmaci, co poetycznej wyobraźni niejednej jasnowłosej główki przedstawiali się jakby bohaterowie balad rycerskich, co dzisiaj witani, żegnani jutro, znikali na zawsze w niepewnościach tułactwa, nie mogli nie poruszać tkliwej duszy córek Germanii. To też nasi wojacy, którym w nagrodę za krew przelewaną los odmówił ojczystych wawrzynów, teraz w obcym kraju zbierali obfite plony niezapominajek, któremi ich darzyły czułe cudzoziemki. »Nie wspominajcie o naszych ofiarach, wy silni — mówiły one do Polaków. — Nie zawstydzajcie nas za to, że my tylko niepotrzebne ozdoby ofiarujemy walecznym, którzy za nas, za wolność Europy walczyli, jak gdyby słowo »śmierć« było im nieznanem¹⁾.« W wielu

¹⁾ List komitetu panien (*Mädchen - Verein*) w Moguncyi do Komitetu Narodowego w Paryżu, z dnia 1. lutego 1832 r.



POMNIK KSIĘCIA JÓZEFA PONIATOWSKIEGO W LIPSKU.

Pomnik ten, sporządzony w roku 1813, staraniem generała Roźnicckiego w ogrodzie Reichenbacha nad Elsterą, przeniesiony teraz na Lessingstrasse, odnowiony został staraniem i kosztem galicyjskiego Wydziału krajowego w r. 1876.

(Wedle rysunku Al. Lessera z r. 1832).

miejscach stało się niejako zwyczajem lub raczej obrzędem, że publicznie na zebraniach, wobec rodziców, krewnych, przyjaciół, młode kobiety — mężatki i panny — podchodziły do polskich wygnańców i ściszały ich mówiąc: »Drogi bracie! Nadzieja! Wytrwałość!«¹⁾). Był to jakby symbol uroczystego uczczenia waleczności nieszczęśliwej, jakby najwyższy znak braterstwa dwóch narodów.

Zdarzało się, że serdeczni gospodarze ofiarowali gościowi polskiemu, by osiadł stale przy ich ognisku, połączwszy się z nimi węzłem rodzinnym. Nie wiemy, ażali który z naszych poruczników uwiązał w tych jedwabnych sidłach Hymenu; znane nam tylko inne przykłady, gdzie nęcąca przyszłość — acz z żalem może — została odsuniętą, bo w pojęciu tych zakonników swojego rodzaju, śluby wyższe wzywały ich gdzieindziej. »Musimy spieszyć — odpowiadali oni — nie wolno nam ostać. Nam głoszą, że Moskwa już w wojnie z Francuzem i że legiony tylko na nas czekają«. I szli dalej na to hasło, które było pierwszym w szeregu tylu innych, następnych złudzeń; i rzucali dach gościnny, i życzliwych przyjaciół, i słodkie przyjaciółki jednej doby, którzy ze łzami w oczach żegnali ich na progu domu, i u bramy miasta, i za miastem jeszcze. A wśród ogólnego rozczulenia i ich samych żalność ogarniała; na widok tych dobrych ludzi, tych rzewnych kobiet i dziewic, stawały im na myśli własne matki i siostry, i stary ojciec, i zagroda domowa, i pola nad Wisłą lub lasy nad Niemnem, i cała ta ziemia opuszczona, a droższa nad wszystkie...

I oto — serce się ścisza, głos w piersi więźnie i po opalonej twarzy zahartowanego wojaka, spływa kropla daremnie wstrzymywana.

(Główna droga, którą polskie kolumny posuwały się z Prus do Francji, wiodła na Frankfurt n. M. i dalej na

¹⁾ List Bohdana Zaleskiego z Strasburga 19. lipca 1832 r.

Worms, skąd jedne z nich szły na Metz, a drugie przez Landau na Strassburg. Jadący nie kolumnami, z Frankfurtu obierali raczej trakt na Darmstadt, Heidelberg i Rastadt. Oto jest szczegółowa marszruta jednej z kolumn z Królewca aż do granic Francyi: Królewiec (wyjazd 3. stycznia) — Brandenburg — Braunsberg — Elbląg — Malborg — Tczew — Starogard — Czersk — Chojnice — Jastrau — Wałcz — Friedberg — Landsberg — Kistrzyn — Frankfurt n. O. (18. stycznia) — Beeskow — Lübben — Luckau — Herzberg — Torgau — Lipsk (25. stycznia) — Lützen — Naumburg — Eckartsberge — Buttstadt — Erfurth — Gotha — Eisenach — Vacha — Hersfeld — Alsfeld — Friedberg — Frankfurt n. M. (17. lutego) — Oppenheim — Worms — Frankenthal — Speier — Candel (wieś graniczna) — Lauterbourg (Francya) — Bischwiller — Strasbourg (24. lutego).

Cała ta podróż zabierała zwykle dni 40 do 50. Oprócz tego ciągnęli Polacy od pruskiej granicy i innymi drogami, np. na Płauen — Hof — Baireuth — Bamberg — Würzburg, oraz przez Hildesheim i Hanower, lub przez Göttingen i Solingen na Belgią, i wtenczas wstępowali do Francyi przez Valenciennes.

Innymi drogami, oczywiście, przybywali do Francyi wychodźcy nasi z Austrii dążący; i oni szli w części kolumnami, ale mniej licznymi i szczuplejszemi. Przyłączmy się do jednej z nich, by bliżej jeszcze przypatrzeć się tej dziwnej pielgrzymce. Ułatwią to nam kartki, które mamy przed sobą, kartki zawierające skrzętne, zebrane za świeżej pamięci zapisy ¹⁾ jednego z ówczesnych wędrowców. Pójdziemy więc za nim, przyspieszając jednak kroku, skracając niekiedy drogi i omijając niektóre popasy i etapy. Oto jest jego opowiadanie, które, streszczonym sposobem, postaramy się tu oddać:

¹⁾ *J. M. Mazurkiewicz*: Krótki rys Pamiętników podróży z Galicyi Austriackiej do Francyi południowej, w r. 1832 odbytej. Spisany w czerwcu 1832. (Rękopis w Bibliotece Polskiej w Paryżu).

»Okolo 10. grudnia nadeszły z Wiednia do Igławy rozkazy, abyśmy po raz ostatni zdeklarowali się, czy chcemy wrócić do Polski, pozostać w Austrii lub wyjść za granicę. Długo wahałem się -- powrót na łono rodziny miał pociąg niewypowiedziany, ale obawiałem się zemsty cara, i poniżająca rota podania do Paskiewicza wstręt mi sprawiała. W pierwszym więc entuzjazmie zażądałem paszportu do Francji. Ale kiedy wróciłem do siebie, kiedy wspomniałem, że dobrowolnie zrzekłem się ojczyzny mojej, że może już jej nie ujrzę — wyznaję — łzy puściły mi się z oczu. Twardy jestem do łez i od wielu lat nie pamiętam abym płakał, ale w tej chwili płakałem jak dziecko. Kiedy tak siedziałem nieporuszony, wchodzi Zakrzewski, jął badać, pocieszać, ale i on sam, jak drugi raz spojrział mi w oczy, gorzko także zapłakał... Pobiegliśmy na ratusz, ażeby odwołać deklarację, ale, niestety, już było zapóźno — deklaracje odeszły do Wiednia. Stało się — idźmy za wolą losów, my zginęmy marnie, bodaj tylko Polska wolną była.

»Dnia 16. grudnia, po odbytych formalnościach, znów z tą niegodziwą eskortą wojskową, ruszyliśmy na Neustein, drogą przez południowe Czechy. Wieczorem 20. grudnia stanęliśmy w Budweis. Wygodnie i bardzo tanio pomieściliśmy się w kilku hotelach. W hotelu Wiedeńskim, gdzie stałem, doskonała kolacya z Niemcami uciesznymi — dziewczyna przy arfie śpiewa po niemiecku »Jeszcze Polska nie zginęła« — hojność Polaków — Czechy się dziwili, żeśmy tak suto pieniędzmi rzucali. — Tutaj otrzymaliśmy paszporta do Francji, nadto wypłacono każdemu z osobna po 246 ewancygierów na koszt aż do granic Francji. Dwa dni spędziliśmy w tem pięknem mieście; hulanka, birbantka, hazardowna gra naszych, po otrzymaniu tyle pieniędzy. Uprzejmi mieszkańcy, a jeszcze grzeczniejsze miłe Czeszki. Dalej na bezpłatnych furmankach jedziemy przez Klattau, Neugedaus, Thauss i Klentsch. W dwóch ostatnich mięscinach spędziliśmy 26 dni; trzeba było przeczekać, bo w kwarantanie, na granicy bawarskiej,

nie było miejsca. W Thauss wszyscy mieszkańcy byli dla nas bardzo serdeczni; z kolegą Adamonisem, z 3. pułku szaserów, stałem u starej poczciwej wdowy, Czeszki; jej macierzyńskie do mnie przywiązanie; piękna Elżbieta Pr.....; romans, pamiątki, czułe pożegnanie. Nareszcie 24. stycznia i my wyruszyliśmy do granicy bawarskiej. Kolumnę naszą, z 24 oficerów, pod eskortą kirasyerów czeskich odwieziono do wsi Hölli. Tutaj, po odbyciu jeszcze na komorze niektórych formalności, skończyła się opieka cesarza Austrii.

»Zaprowadzono nas na drugą stronę granicy, do zakładu kwarantanowego. Było to obszerne miejsce, opalisdowane do koła, z zabudowaniami w pośrodku i małą przestrzenią do przechadzki. Zewnątrz palisad rozstawione czaty wojskowe. Przy wnijsciu odebrano papiery i wszelkie efekta, które po okadzeniu oddano nazajutrz. Potem zamknięto nas w małych, ciasnych izdebkach po 12 razem. Nie było jednak tak źle, jak mówiono; czystość i usługa regularna, pościel wygodna, ogień cały dzień w piecu i na kominie, życie tanie. Jedzenie podawano przez otwory we drzwiach na długich łopatach. Nudne tylko było codzienne okadzanie osób i rzeczy, i oględziny doktora. Odbywał z nami kwarantaną młody Poniatowski, syn naturalny ks. Józefa; jest kapitanem w naszym wojsku, a poprzednio, jako porucznik, służył we Francyi i odbył kampanię w Algierze.

»Po upływie pięciu dni, udaliśmy się do urzędu zdrowia, gdzie stary, dekorowany kapitan bawarski i doktor ordynujący, przyjęli nas po przyjacielsku i wydali paszporta nasze i świadectwa. Tu po raz pierwszy usłyszeliśmy szczerzy głos życzliwości i uwielbienia dla polskiego imienia. Jakże to było miło po twardem austryackiem traktowaniu. Tego samego dnia, już bez straży, konwoju, policyi, udaliśmy się do Waldmünchen, gdzie dopełniliśmy wizowanie naszych papierów; grzeczność i uprzejmość urzędników; młodzież wybiegała wołając: Niech żyją Polacy! Ugodziliśmy furmanki aż do Rattysbony i ruszyliśmy przez Rötz, Neunkirchen, Brück. W Nit-

tenau nocleg; chciwość oberżysty; ładna Basia; śnieg i mróz. — Nazajutrz stanęliśmy w Ratysbonie; na rogatkach stojący oddział wojska oddawał nam honory, mieli na to rozkaz; odtąd przez całe Niemcy aż do Francyi wszędzie to czyniono. Tu znaleźliśmy pierwszy komitet dla wspierania Polaków. Uprzejmość, radość i szacunek Bawarczyków; teatr bezpłatny; życie doskonałe w hotelu Polskim, choć nieco przydrogie; portrety naszych generałów na ścianach w sali jadalnej; trwarzystwo z oficerami bawarskimi. Komitet miejscowy daje nam furmanki aż do Augsburga i każdemu talara na drogę. — Ruszamy dalej na Abbach, Abensberg (dobre przyjęcie, śpiewy), Geisenfeld, Kühebach; przenocowawszy w Aichach, gdzie stary oberżysta-pocztmajster zdarł nas niemiłosiernie pod pretekstem, że zajmowaliśmy stancję, w której poprzednio mieszkał generał Ramorino; nazajutrz śród dnia przybyliśmy do Augsburga. Przejechaliśmy całe miasto bez obudzenia najmniejszej uwagi. Wygodny hotel; spaliśmy w pierzynach po uszy. Redaktorowi tutejszej gazety, znanej w całej Europie, car Mikołaj udzielił niedawno order św. Anny za to, że nie żałował pocisków na nas. I tutaj komitet polski dał nam bilety na przejazd do Ulmu i po talarze każdemu. Chcieliśmy spocząć jeden dzień w tem mieście, ale władze nie zezwoliły. Wyjechaliśmy więc nazajutrz raniutko w wygodnych komitetych koczach, po czterech w każdym.

»Wieczorem o 8., śród nocy ciemnej i dżdżystej, stanęliśmy w Ulmie. Ugrzeczniejsi strażnicy na rogatkach wręczyli nam zawiadomienie od komitetu, gdzie na nas czeka kwatery. Zawieziono nas do wspaniałego hotelu, w środku miasta. Zaledwie zgniecione członki przy kominku wyprostować zdołaliśmy, wszedł zacny p. Moser, prezes komitetu, i najuprzejmiej nas powitał. Za nim, w kilka minut, przyszło mnóstwo innych obywateli. W ogromnej sali zastawiono stoły, do których zasiadło przeszło 250 osób i rozpoczęła się uczta i porządna pijatyka, która trwała aż dobrze po północy. Uprzejmi nasi gospodarze byli nam niezmiernie radzi: śmiali się, płakali,

śpiewali: były mowy, toasty, deklamacye, pochwały Polaaków, zapisywanie imion naszych do księgi komitetu. Siedziałem przy p. F. M. Stacklu, kupcu i bankierze w Ulmie, który mnie usilnie zaprosił, abym nazajutrz był u niego na śniadaniu. Nazajutrz od rana samego hotel napełnił się tłumem odwiedzających nas. W ulicach przyległych ruch niezwykły i okrzyki: Niech żyją Polacy! Damy wyglądały z okien i powiewały chustkami, jak się który z nas pokazał. Mój łaskawy p. Stackel od 7. już czekał na mnie w hotelu. Zaledwem się ubrał, porwał mnie całując, i szczęśliwy, jakby jakiego króla złapał, prowadził mnie do swego domu. Zmiesziałem się nieco, zastawszy tam kilkanaście dam zebranych. Obstały mnie i jeły się wypytywać z najżywszym współczuciem. Nastąpiło żądanie pamiątek; guzika od munduru, kawałeczka wstążki od krzyża polskiego. Stary Stackel tak był uradowany, że swym dwóm córkom kazał mię pocałować. Nie opuścił mnie już ani na chwilę, pokazywał ciekawości miasta, a kiedym się żegnał, wsunął mi w rękę rulonik złota. Nie mogąc mnie nakłonić do przyjęcia go, dał mi na pamiątkę fajkę w srebro okutą, i puszkę cygar. Opuściliśmy to przyjazne miasto przy okrzykach tłumu; komitet dostarczył bezpłatnych pojazdów aż do Freiburga i udzielił każdemu po 3 talary i po dwie koszule. Następną nocleg w Urach. Na drugi dzień koło południa zatrzymaliśmy się nieco w Münsingen, dla popasu koni. Ale na wieść, że Polacy przejeżdżają, w mgnieniu oka oberża napełniła się przyjaznymi Niemcami. Prośby usilne, ażebyśmy zostali na noc; wymawialiśmy się, że nie możemy nadużywać udzielonych nam pojazdów. Skończyło się tem, że musieliśmy przyjąć ogromne śniadanie; gotowe już konie wyprzężono — i znowu toasty, śpiewy, pijatyka, entuzjazm, złorzeczenia Mi-kołajowi. Dopiero po kilku godzinach mogliśmy ruszyć dalej śród rozczulenia i okrzyków, obsypani podarunkami: puszkami cygar, kapiuchami z wyborynym tytuniem, fajkami.

»Pod wieczór stanęliśmy w Reutlingen. I tu wzruszające przyjęcie. Czekano już na nas. Wysłaniec na koniu, skoro

nas nadjeżdżających spostrzegł, dał znać w mieście. Wnet zebrała się masa publiczności; wśród okrzyków i śpiewów wjechaliśmy do miasta; burmistrz i ławnicy witali nas. Zapal ogólny. Uczta wieczorna z toastami i mowami. Pod koniec jej wchodzi dwie małe dziewczynki, ubrane w bieli, niosą chorągiew polską i składają nam wieniec z liści dębowych. W tej chwili wzruszenie nasze i entuzjazm gościnnych Niemców doszedł do wysokiego stopnia. Przyłączyły się i damy z poważną panią Mobil, żoną prezesa komitetu na czele; obok mnie znalazła się młoda panna Karolina Weissen; ze zdziwieniem spostrzegłem, że wiedziała na pamięć imiona naszych generałów i miejsca bitew naszych, i wiedziała o wszystkich naszych dzielnych czynach. I dzień następny zeszedł na przyjęciach i bankietowaniu. Komitet ani słyszeć chciał o wyjeździe naszym. Zastaliśmy tu dra Leopolda Müllera, który w kampanii polskiej był lekarzem batalionowym 12 pułku I. Szczęśliwy! po wojnie wrócił do swej matki. Dopiero trzeciego dnia popołudniu pozwolono nam jechać dalej. Komitet wydał nam po pięć talarów i po trzy koszule.

»Tegoż samego dnia o zachodzie słońca przybyliśmy do Tübingen, gdzie, z powodu żeśmy w Reutlingen dłużej nad zamiar zabawili, oczekiwano nas już od dwóch dni. Publiczność, a zwłaszcza młodzież tutejszego uniwersytetu, wita nas z niesłychanym zapalem. Przeciskaliśmy się przez istny tłok, żeby dostać się do hotelu. Za nami weszli członkowie komitetu polskiego, burmistrz, rektor i kilku profesorów. Prosiłi, abyśmy się zgodzili zamieszkać pojedynczo po prywatnych domach, nie zaś razem w hotelu — a to w celu zapobieżenia jakimkolwiek ekscesom, mogącym wyniknąć z wielkiego entuzjazmu bardzo podnieconej młodzieży. Mnie zaprosił do siebie szanowny Henryk Sigwert, profesor historii i filozofii. Światły ten człowiek znał dobrze historię i stan naszego narodu, i tłumaczył mi lepiej jakbym ja to umiał uczynić, zasady, cele i upadek naszej rewolucji; wielbił, co było godnem pochwały, wytknął co było błędem; badał o edukacji u nas,



WOJSKO POLSKIE Z R. 1831.

- 1) Pułk V strzelców konnych b. gwardyi. — 2) Pułk grenadyerów b. gwardyi — 3 i 5) Pułk I, II, IV, strzelców konnych. — 6) Pułk XVI piechoty. — 7) Pułk III strzelców konnych.

(Rysunek oryginalny K. Motty'ego z dzieła: *Album wojska polskiego z r. 1831*, wyd. K. Kozłowski, Poznań 1887).

o uczonych i literaturze. Kiedy tak bawiliśmy się zajmującą rozmową, studenci kupami, z pochodniami, śpiewając patryotyczne pieśni, wołając »Niech żyją Polacy!« chodzili po mieście i zatrzymywali się przy domach, gdzie który z nas stanął. Przyszli i do p. Sigwerta i prosili, by im pozwolił obaczyć Polaka. Ściskali mi ręce, płakali, rzucali się w objęcia, złożyli Moskwie i Prusom. Był między nimi wygnaniec, Węgier, Fryderyk Schwarz, uczeń prawa; żądał pamiątki; dałem guzik i gwiazdkę porucznikowską ze szlify.

»Już po północy udałem się na spoczynek, ale nie mogłem usnąć, tak byłem wzruszony wypadkami dnia i tymi wszystkimi dowodami sprzyjania sprawie naszej. Zrana wszedł do mnie zacny p. Sigwert i nieśmiało mówi mi: »Ja głęboko spółczuję waszej sprawie, jesteś wygnaniec — jam nie bogaty, ale proszę rozporządzaj mną«. Dziękowałem mu, z całej duszy dziękowałem, i mówiłem, że jestem zaopatrzony, ale na pamiątkę przyjąłem pugilares z własnoręcznymi jego notami o Niemczech. Rozstaliśmy się ze łzami w oczach. O godzinie 10. wsiedliśmy do pojazdów; zdawało się, że cała ludność wysypuje się na nasze pożegnanie; młodzież akademicka rzuciła się wyprzęgać konie; ażeby temu się oprzeć wysiedliśmy i szliśmy pieszo aż do bramy miasta; tutaj jeszcze przemówienia, wiwaty, rozrzewniające pożegnania i odjazd. I tu jak wszędzie komitet zaopatrzył, nas dając każdemu po 4 talary. Tak więc całą drogę przez Niemcy odbywaliśmy zupełnie bez kosztu. Na noc do Horb; serdeczne przyjęcie, bal. Dalej Oberndorff, kraj wciąż górzysty i malowniczy; dzień jasny i mroźny; jedziemy szybko i wygodnie. Popas w Schramberg; uprzejmość księdza katolickiego i pastora ewangelickiego; ich wzajemny szacunek i przyjaźń; czułe pożegnanie.

»Wjechaliśmy w Księstwo Badeńskie. Nocleg w Hornberg, wśród gór Czarnego lasu (Schwarzwald); bankiet, toasty, kielichy aż późno w noc. Przez Elzach, Waldkirch o 8. wieczór stanęliśmy w Freiburgu. Trudno opisać radość i entuzjazm przyjęcia tego miasta. Skoro tylko wysiedliśmy, zaczęli

nadbiegać nasi przyjaciele. Prezes komitetu powitał nas słowami: »Niech będzie błogosławiony dzień, w którym do nas zawitaliście, waleczni Polacy«. W pół godziny później obszerna sala hotelu zaledwie mogła pomieścić zebranych: starszych miasta, profesorów, urzędników i cały tłum akademików. Po uściskach i przemówieniach siedliśmy do kolacyi. Bankiet to był, nie kolacya; trwał do północy, jak zwykle ze śpiewami, mowami i rzęśistymi toastami. Gdy nareszcie trzeba było spocząć, komitet odchodząc prosił, abyśmy się kilka dni w Freiburgu zatrzymali. »Jesteście pierwsi — mówili — którzy tędy przechodzicie. Całe miasto chce was widzieć i powitać«. — Nazajutrz od rana masa ludzi koło hotelu. Zdawało się, że widokiem naszym nie mogli się nacieszyć; starcy wspierali się na kijach, matki podnosiły do góry małe dzieci, ażeby nas pokazać. Za każdym spotkaniem życzliwe okrzyki. Była to niedziela, i jakby dla większego uświetnienia dnia, niebo się zupełnie roz pogodziło i słońcem jaśniało. Wieczorem w teatrze przedstawienie, umyślnie dla nas urządzone. Sami akademicy grali sztukę »Kościuszko nad Sekwaną«. Mimo podwojonych cen cały gmach przepelniony. Do wielkiej łoży, ubranej w dywany i wieńce laurowe, wprowadzono nas wszystkich razem. Za naszym ukazaniem się, przyjęci zostaliśmy grzmiącymi i przeciągłymi okrzykami. Po skończonej sztuce odśpiewano hymn, ułożony umyślnie na ten dzień przez profesora Reichlina. Śpiew ten osobno wydrukowany, rozdany był w kilkuset egzemplarzach między publiczność, która chórem powtarzała ostatnie zwrotki. Po teatrze bal. Kiedy już zgromadzenie bardzo liczne zebrało się, przyszli po nas członkowie komitetu i przedniejsi obywatele miasta. Z wnijsciem naszym orkiestra ozwała się polonezem i przy jego odgłosie po trzy razy oprowadzano nas dokoła sali, wśród oklasków i okrzyków »Niech żyją Polacy! Niech żyje Polska!« Damy powiewały szarfami, chustkami, rzucały kwiaty przed nami. Była to chwila do głębi wzruszająca; pamiętać ją będę do śmierci. Po raz pierwszy od opuszczenia ojczyzny uczułem

się dumnym z imienia żołnierza, wygnańca polskiego. Bal był wspaniały; ogromna sala ustrojona była w trofea i w chorągwie polskie i badeńskie.

»Dnia trzeciego koło południa pułkownik z oficerami 2 pułku piechoty badeńskiej, tu garnizonem stojącego, przyszli oddać nam wizytę i zaprosić na koleżeńską biesiadę. O 4. udaliśmy się wszyscy razem na miejsce zebrania, położone na przedmieściu. Kiedy przechodziliśmy koło koszar, dano 21 wystrzałów armatnich, muzyka wojskowa zagrała »Jeszcze Polska nie zginęła«, a żołnierze rażno wydali na naszą cześć zwykłe okrzyki. Uczta trwała do 11.; poseł Grodecki, który był z nami, dzielnie odpowiadał na przemówienia i bardzo wymownie skreślił obraz naszej ojczyzny. Koło 9., kiedy w najlepsze przy stole siedzieliśmy, kilkuset akademików z pochodniami, z muzyką, z chorągwią polską uwieńczoną laurem, podeszło pod okna i po długich okrzykach odśpiewało hymn na cześć Polaków, który dnia poprzedniego w teatrze słyszeliśmy. Wracając do miasta, nowe zdumienie. Iluminacja i pełno ludu na ulicach.

»Czwartego dnia dopiero, 7. lutego o 1. popołudniu opuściliśmy to gościnne i przyjacielskie miasto, gdzie nas tak serdecznie, świetnie i tryumfalnie przyjęto, jak nigdzie. Otrzymaliśmy mnóstwo pamiątek i obfite prowizycy wysmienitych cygar i tytoniu. Byli tacy między nami, co wywieźli po kilka, po kilkanaście fajek w upominku. Komitet dał na kolumnę pewną ilość bielizny i odzieży, oraz pewną kwotę pieniędzy. Wyruszyliśmy z hotelu *Zum Goldenen Engel* wolnym krokiem przez miasto; na czele postępował prezes komitetu, niosąc chorągiew polską; okna od ulicy wysłane były kobiercami, i z nich kobiety rzucały na nas kwiaty i wstęgi. Ze wszystkich stron słano nam serdeczne słowa pożegnania i życzenia, które nam do głębi duszy trafiały. Wszyscy byliśmy poruszeni i mieliśmy łzy w oczach. Przy bramie miasta zebrała się młodzież akademicka i chciała wyprząść konie, czemu prawie gwałtem oprzeć się musieli-

śmy. Nareszcie po ostatnich wiwatach i wystrzałach, ruszyliśmy drogą, która nas coraz bardziej ku Renowi zbliżała. Kalwakata nasza składała się aż z 60 pojazdów, a oprócz tego towarzyszyło jej kilkudziesięciu członków gwardyi obywatelskiej na koniach, by nas aż do granicy francuskiej przeprowadzić. — Sute przyjęcie na popasie w Grötzingen zatrzymało nas aż do zmierzchu, a kiedy siedliśmy do powozów spostrzegliśmy ze zdziwieniem, że cała droga, wiodąca do Mühlheim, oświecona była pochodniami. Wieśniacy zwabieni taką nowością przybiegali, stawali nadedrogą i witali nas radośnie.

»Mülheim zastaliśmy całe w iluminacyi; tu i owdzie transparenty z Orłem i Pogonią i napisami: *Es leben die Polen! Hoch das Vaterland Polen!* — okrzyki, które od Bawaryi prawie nie przestawaliśmy słyszeć. Z powozów wprost nas wprowadzono do sali, gdzie już ze 400 osób było zgromadzonych. Dwie śliczne dziewice, panny Judith i Mary Kraft, w imieniu dam miasta, złożyły nam wieniec dębowy. Serdeczny entuzjazm; odcięte nasze guziki, wzięte na jedwabne wstążeczki, damy zawieszały zaraz na szyi. Zabawa trwała aż do rana. — O południu wyjechaliśmy w takim samym, jak dnia poprzedniego orszaku i zawsze z naszymi gwardyakami freiburgskimi. Nad wieczorem stanęliśmy w Lörrach; bankiet 300 osób, a potem bal; na nim dużo szlachty okolicznej. Stąd do Solury w Szwajcaryi, gdzie Kościuszko życie zakończył, tylko 7 mil; wielu też tymi czasy wygnańców polskich zbaczało tam, aby złożyć hołd ceniom wielkiego patryoty. We wsi granicznej Kleiheimingen kończyły się dla nas gościnne i przyjazne Niemcy i ten piękny a tak serdeczny kraj Badeński. Jak tam, nigdzie nas tak przyjaźnie i tak świetnie nie przyjmowano. Dalsza droga prowadziła nas na chwilę przez Bazyleę i kątek Szwajcaryi.

»W Bazylei obojętnie i zimno na nas patrzano, nikt do nas nie przystąpił i nie witał. Mówili nam Badeńczycy, że w tem zamożnem mieście dużo zwolenników Mikołaja. Krótko tam

bawiliśmy, i zjadłszy w hotelu Genewskim ostatni, wesoły obiad z naszymi towarzyszami badeńskimi, zaraz ruszyliśmy dalej do bliskiej już granicy francuskiej.

»Niebawem też ukazała się oczom naszym Francya, ta upragniona Francya. Było to dnia 9. lutego o godzinie 3. Wstąpiliśmy do niej w miasteczku St. Louis, punkcie wskazanym nam w naszych paszportach, wydanych przez ambasadę francuską w Wiedniu. Zaci nasi Badeńczycy odprowadzili nas jeszcze do oberży, i tam po serdecznych uściskach, po najgorętszych życzeniach, rozstali się z nami«.

III.

Przychylne oznaki niektórych dworów. — Ks. Ernest Gothajski. — Kapral z kulą w czole. — W. księżna Wejmarska i mniemana Plate-równa. — Dwór Saski najprzychylniejszy. — Drezno. — Klaudya Po-tocka. — Nieogłębność niektórych Polaków. — Usuwanie Polaków z Sa-ksonii. — Jeszcze żywsza sympatya nad Renem. — Oppenheim. — Mo-guncya. — Worms. — Studenci w Giessen. — Hanau. — Orzeł Biały na wodach Menu. — Nieszczęśliwy pojedynek. — Zajęcie się nami w lite-raturze niemieckiej. — Poezye. — Śpiew o »Czwartym Pułku«. — Frankfurt nad Menem. — Uchwała jego Senatu. — Kronikarz frank-furtski o Polakach. — Pogrzeb porucznika Lange. — Pożar. —
Ludwik Börne.

Wylew sympatyi dla Polaków był w Niemczech istotnie tak powszechny i porywający, że władze państw i państewek Rzeszy, zwłaszcza w pierwszych miesiącach, nie starały się czy nie mogły, stawiać mu tamy. Niektóre nawet dwory nie-mieckie, ulegając ogólnemu prądowi, okazywały naszym prze-chodniom niekiedy uprzejme usposobienie. Między innymi książę Ernest Gothajski musiał żywić dla Polaków pewien interes, jeśli sądzić mamy z opisu gościnnej bardzo uczt, przygoto-wanej na zamku książęcym w Gotha, dla jednej z przecho-dzących kolumn. Już na granicy księstwa została ona powi-tana i wprost do pałacu zaprowadzona. W dziedzińcu straż wystąpiła i przy odgłosie trąbek i bębnow prezentowała broń. W wielkiej sali jadalnej zastawione stoły czekały już na gości. Kiedy po obiedzie oprowadzano Polaków po pałacowych komnatach, nad wejściem do jednej ujrzeli oni ze zdumieniem

herb polski, Orła z Pogonią. Było to istne muzeum historyczne naszej rewolucyi: na ścianach wisiały portrety polskich generałów i mnóstwo obrazów i rycin w związku z ostatnimi w Polsce wypadkami; oprócz tego była tam starannie ułożona kolekcya mundurów, tornistrów, karabinów, pałaszy i t. p. wojska polskiego, zbiór guzików mundurowych różnych naszych pułków, oraz monet i asygnat, bitych w Polsce podczas powstania — a śnać księżę wciąż starał się uzupełniać kolekcję, bo i teraz przez adjutantów poszukiwał niektórych guzików (zwłaszcza 4. pułku liniowego, 2. pułku kosynierów i krakusów) i pieniędzy polskich. Ten i ów podchorąży, w którego chudej sakiewce zatrzymała się jeszcze jaka złotówka lub grosz polski, zrobił przy tej sposobności »złoty interes«, otrzymawszy w zamian za każdą blaszkę z stępem narodowym, po dwa ważne luidory.

Piękne to przyjęcie u księcia Gothajskiego zostało zakłócone smutnem wydarzeniem. W kolumnie, o której mowa, znajdował się kapral 5. pułku liniowego, który zachował osobliwszy ślad otrzymanej w kampanii rany: kula karabinowa trafiła go w sam środek czoła, ale tylko do połowy utkwiała w kości, a porośszy skórą, wyglądała jak naroś jaką. Gdy go przedstawiono księciu, ten żywo zainteresowany, jął go zachęcać, by się zgodził na wydobycie kuli i by mu ją podarował, a za nią ofiarował mu stopień podoficera w swej straży. Zrazu nasz kapral wahał się rozstać z »swą najdroższą pamiątką«, ale namawiany przez oficerów przystał narazie na operację. Chirurg księżęcy i nasi doktorowie Kolesiński i Ratayski, przystąpili do niej natychmiast i szybko i z łatwością ją wykonali. Ale po kilku minutach pacjent zerwał się nagle z krzesła, wyrwał z rąk szwajcara halabardę, i stanąwszy z nią na pozycyi, jakby przed nieprzyjacielem, groził i krzyczał: *Nix pardon! Nix pardon!* — Nie biorę pardonu! Biedny wiarus wpadł w zupełne obłąkanie; musiano go ująć siłą i odnieść do oficyn pałacowych, gdzie, lubo po-

wierzony staraniom najbieglejszych lekarzy, nie wróciwszy do przytomności, tej samej nocy ducha wyzionął.

Nazajutrz kolumna wyruszyła dalej, opatrzona pieniężnym sukursem, który głównie miał służyć podchorążym i akademikom, bo ci jako nie pobierający oficerskiego żołdu, najbardziej potrzebowali zasiłku ¹⁾).

Wspomnieć wypada, że w Gotha pszechodzących Polaków zachęcano, by się do armii belgijskiej zaciągali. Istotnie brat księcia Ernesta Gothajskiego, Leopold, nowy król Belgów, zamyslał temi czasy formujące się swe wojsko wzmocnić znacznieszą liczbą Polaków i w tym przedmiocie zaczął nawet komunikować się z księciem Adamem Czartoryskim i z byłą naszą misją w Paryżu. Ale gdy tymczasem szanse utrzymania pokoju znacznie się powiększyły, zamiar ten został zaniechany.

W Weimarze, gdzie znajdował się wielki nasz przyjaciel Saurée, nauczyciel młodego księcia, wydarzyło się inne zetknięcie Polaków z dworem. Z jedną kolumną szła przy mężu młoda kobieta, żona podoficera, w męskim, wojskowym ubraniu. Za przybyciem kolumny do Weimaru, rozeszła się pogłoska, że wśród niej znajduje się i panna Emilia Platerówna, rozgłośna amazonka litewskiego powstania. Na tę wieść W. księżna Weimarska przesłała owej podoficerowej duże pudło, zawierające cały przybór stroju kobiecego, od kolczyków do trzewików. Że jednak dawczyni była z urodzenia księżniczką rosyjską (Marya Pawłowna, siostra Mikołaja), kolumna uznała, że daru nie wypada przyjąć i że należy go

¹⁾ Powyższy opis przyjęcia w zamku gothajskim napotkaliśmy we współczesnych »Notatkach« J. Potrykowskiego (Rękopis w Arch. ks. ks. Czartoryskich). Na miejscu jednak w Gotha, ani w tradycyi zamkowej, ani w pismach miejscowych wzmianki o nim nie znaleźliśmy. Co zaś do wzmiankowanej kolekcji polskiej księcia Ernesta, to potwierdzono nam, że takowa istotnie istniała i że następnie do arsenału w Koburg została przewieziona.

odesłać z podziękowaniem a zachowaniem tylko pary rękawiczek, na pamiątkę uprzejmej intencji.

Najprzyjaźniej jednak usposobionym był dwór saski dla Polaków; dobry stary król Antoni, jak i pierwszy jego minister, zacny, nieskazitelny Lindenau, dawali im wiele dowodów przychylności. W Dreźnie, w samym otoczeniu dworskiem znajdowało się kilku Polaków: pani Ewa Dobrzycka z Koszutkich, (główne ognisko polskości) była damą honorową, Tödwen szambelanem królewskim. Mieszkali tu: Józefowie Łubieńscy, generałowa Dąbrowska, Kossakowska, Czacka, Sapiehowie, Komarowie. Mieliśmy tu dobrych i wpływowych przyjaciół, jak np. Falkensteina, bibliotekarza króla, znanego biografą Kościuszki, lub dr Hedeniusa, uczonego i filantropa. Posłem francuskim był Reinhard, przychylny Polakom. Kruszyński (b. wyższy urzędnik w Min. Spr. Zagr.) ułatwiał stosunki z nim, jak i z władzami saskimi.

Na przestrzeni między pruską a francuską granicą Drezno stało się jakby główną przystanią dla rozpierzchłych i wędrownych Polaków. Zawsze to miasto miało dla nas szczególnie powab i już przed powstaniem niejedna rodzina polska stale w niem zamieszkała. Zaraz po ostatecznej rozsypce zebrała się tu pewna liczba członków Sejmu, kilku generałów (przez pewien czas zetknęło się tu jednocześnie aż trzech ekswodzów naczelnych: Małachowski, Dębiński i Rybiński) i mnóstwo innych wojskowych i cywilnych uczestników powstania. W tym czasie znalazł się w Dreźnie i Mickiewicz i razem z nim Garczyński, Domeyko i Odyniec. Przybyła tu Klaudyna z Działyńskich Potocka, uwiózłszy z sobą z Polski, jakby służących swoich, Włodzimierza Potockiego, Wincentego Tyszkiewicza i Józefa Tańskiego; z nią przybyła w ubraniu pokojówki nieodstępna jej towarzyszka, Emilia Sczaniecka. Okok komitetu niemieckiego stanął w Dreźnie i komitet polski pod prezydencją pani Dobrzyckiej, z udziałem generałowej Barbary Dąbrowskiej, Klementyny z Tańskich Hoffmannowej, jej męża, Józefa Łubieńskiego i innych. Klaudya Potocka

stała się jego duszą. Młoda ta kobieta wątłej postaci a wielkiego serca, jak była aniołem opiekuńczym rannych i chorych w Warszawie i Modlinie, tak teraz w Dreźnie stała się nieustrudzoną w niesieniu ulgi i pomocy wygnańcom¹⁾.

Kiedy pod koniec grudnia 1831, generał Bem wpadł z Elbląga do Drezna i zażądał środków na wyprowadzenie żołnierzy, Klaudyna wyczerpawszy już całkowity swój zapas gotówki, sprzedała dwa kosztowne szale, żeby zasilić składkę: za jej przykładem inne Polki spieniężyły klejnoty i w 24 godzin zgromadzono między rodakami 40.000 złp., które nazajutrz do Elbląga na ręce pana Riesen wyprawione zostały. Potem powtórnie zebrany w Dreźnie inny fundusik, przyczynił się do ściągnięcia do Francji trzystu żołnierzy z korpusu Ramoriny, którzy wtłoczeni z Galicyi do Polski, uchodzili stamtąd i przybywali do Krakowa. Tym wojskowym jak innym, idącym od Austrii, rząd saski wyjątkową łaską pozwolił przechodzić przez Dreźnie, bo inne stolice, jak Berlin i Wiedeń, ściśle były zamknięte Polakom. W najętem na ten cel pomieszczeniu znajdowali oni nocleg i utrzymanie i dostawali od komitetu bieliznę, buty i płaszcze, a poseł bawarski wydawał im na dalszą drogę paszporty. Poseł francuski w Dreźnie, baron Reinhard, miał 50.000 franków z funduszów swego rządu na zapomogę idącym do Francji. Ta względnie szczupła suma rychło się wyczerpała, tak że już w lutym mógł on tylko po 2 talary dawać oficerom na dalszą ich drogę.

Dreźnie położone nie zbyt daleko od granic Polski, utrzymujące dość ożywione stosunki z Wrocławiem, Krakowem i Warszawą, stało się dogodnym dla wychodźców punktem znoszenia się krajem i rodziną. Policya rosyjska czujnie prze-

¹⁾ Pomiedzy weteranami 1831 r. imię Klaudyny zostało otoczone rzewnem uwielbieniem. Ze składek wychodźców zebrany fundusik, znajdujący się w zawiadywaniu *Tow. Czi i Chleba*, służący do wspomnienia sieroty lub dziecka biednej rodziny, a noszący nazwę »Funduszu Klaudyi Potockiej« jakby skromnym, moralnym nagrobkiem uwiecznia jej pamięć.

mowała listy wprost do nich adresowane; za pośrednictwem bankiera Kaskela, lub pod kopertą innych mieszkańców drezdeńskich, niejednen z nich odbierał z domu wiadomości lub przesyłki pieniężne. Względne i ludzkie postępowanie rządu saskiego z Polakami, gniewało Mikołaja, który przez swego posła w Dreźnie, pana Schroedera, nie poprzestawał czynić w tym względzie reklamacyi, a na nieszczyćście płoche i nieogłędne zachowanie się niektórych Polaków w Dreźnie podawało do tego pożądaný pretekst.

»Na starym rynku, koło południa schodzili się rodacy wszelkich stanów. Gwarno i hałaśliwie dyskutowali, radzili, sejmikowali, czytali, deklamowali, a nawet śpiewali i gwizdali«. Na jakąś płonną, wiadomość o formowaniu ogromnej armii franko-belgijskiej. Nakwaski wnosił już zebranie ogólnego zgromadzenia, utworzenie komitetu i napisanie memoriału dla tymczasowego rządu¹⁾. Gabinet drezdeński nie w siłach opierać się, rad nie rad, od czasu do czasu musiał obostrzać przepisy względem Polaków, to zabraniał nosić publicznie mundur polski, to wypowiadał pobyt bardzo niespokojnym albo głośniejszym osobistościom. Między tymi generał Bem, po powrocie z Paryża, pod koniec stycznia, otrzymał wkrótce rozkaz opuścić najprzód Drezno, potem Lipsk, i musiał w końcu przenieść się do Altenburgu i stamtąd kierować dalszym przechodem kolumn przez Niemcy. Przedstawienia i wymagania petersburskie i berlińskie, stawały się coraz natarczywsze, i pod ich naciskiem, latem 1832, prawie wszyscy Polacy zostali z Saksonii wydalen; i Mickiewicz wtenczas Drezno opuścił, i Klaudyna potocka sędziwą matkę odjechać musiała.

Sympatyi żywionej w Saksonii dla Polaków nie ustępowały uczucia okazywane im w dalszych stronach, a zwłaszcza nad Renem. Owszem — widzieliśmy już — że czem bardziej zbliżały się kolumny do zachodnich krańców Niemiec, tem

¹⁾ Mańkowska, »Pamiętnik«, str. 278.

żywsze spotykały oznaki spółczucia dla siebie. Nad Renem, gdzie temperament ludności jest gorętszy, tam też i objawy jego stawały się żywsze. Tam z okolicznych wsi zjeżdżali się nawet niekiedy włościanie długim szeregiem wózków, z chorągwiami i krzyżami, spotykać i pozdrawiać braci w wierze, wygnanych i prześladowanych przez cesarza schizmatycznego. Miasta nadreńskie prześcigały się w uprzejmości i wylaniu się dla naszych rodaków.

W Oppenheim Polacy przeprawiali się przez Ren, na promie. O ich pobycie piszą z tego miasta: »Znikła wszelka różnica stanu, wieku, języka, majątku; ludzie, jak się trafiło, prowadzili się pod rękę, ściskali sobie dłonie, jakby wszystko dawni, starzy przyjaciele. W biednych nawet domkach przy ulicy, z każdego okna świeciła lampa lub świeca z uprzejmem pozdrowieniem dla przechodniów. Wszędzie tylko jeden głos o dobrem zachowaniu się i o wdzięczności tych walecznych«.

W Moguncyi oprócz grona męskiego, zajmującego się przyjmowaniem Polaków, istniał i komitet panien (*Mädchen-Verein*) pełen entuzjazmu i zapału; ale nietylko to: utworzono tam stowarzyszenie dziatwy (*Kinder-Verein*), w którym mali nasi przyjaciele od 10 do 12 lat, znosili w ofierze swoje zabawki, by z nich urządzić loteryę na dochód komitetu polskiego. O przyjęciu w tem mieście donosi berlińska *Vossische Zeitung* pod dniem 24. stycznia 1832:

»Przy zbliżaniu się pierwszej kolumny Polaków, ogromne mnóstwo ludzi z pochodniami w rękę, zgromadziło się o godzinie 6. nad tegostronnym brzegiem Renu. Zabrzmiała muzyka, tysiące zgromadzonych z uniesieniem śpiewali znajomą pieśń polską: »Jeszcze Polska nie zginęła« w języku niemieckim. Na środku Renu, na moście łyżwowym odpowiadał tąż samą pieśnią w języku ojczystym oddział Polaków, po większej części z oficerów młodych się składający. Gdy się do brzegu zbliżyli, powstało między mieszkańcami szlachetne współubieganie się, gdyż każdy się dobijał o zaszczyt przyjęcia do domu swego gościa polskiego. — Wczoraj do przyjęcia drugiego

oddziału jeszcze świetniejsze poczyniono przygotowania. Wzdłuż brzegów wspaniałego Renu, na pagórkach winną macicą zasłanych, rozłożono ognie na znak radości, które razem z pochodniami całą oświecały okolicę. W bliskości miasta rzesistem jaśniał światłem transparent alegoryczny. Między wychodźcami tymi było też kilku starców i dama jedna, jeszcze w mundurze porucznika, która na całej wyprawie mężowi swemu jako adjutant towarzyszyła.

Nazajutrz tj. 25. stycznia donoszą z Worms:

»Przyjęcie Polaków w mieście naszym było istotnie rozrzewniającem i prawdziwie braterskiem. Chociaż Frankenthal było ich pierwszym noclegiem, zatrzymano wszelako tu pierwszą kolumnę, z innemi już popołudniu trzeba się było rozstać. Magistratura wcześniej już wystarała się o kwatery dla gości przybywających i w tym celu rozdała dniem przedtem bilety kwatery — ale ta staranność, jak się pokazało, była tą razą niepotrzebna: każdy mieszkaniec miasta chciał mieć bilet, nawzajem karteczki takie z rąk sobie wydzielali i jeden zazdrościł drugiemu honoru umieszczenia w domu swoim kochanych przybylców. — Kiedy wóz jaki stanął przed domem mu wyznaczonym, właściciel przyjeżdżającym ani tyle czasu nie pozwalał, aby zsiąść mogli — w ścisłym znaczeniu słowa powiedzieć można, że ich z wozów zrywano i prawie mimowolnych do domów zabierano. Niepodobną jest rzeczą opisać tę radość i wesołość, która teraz u nas panuje.

W niektórych miejscach manifestacje przyjazne, okazywane Polakom, przybierały charakter takiego ożywienia, że władze, zapobiegając zakłóceniu porządku i spokoju, widziały się spowodowane odmieniać ich marszrutę. Dla tego przez Freiburg, gdzie się wedle wyrażenia gazety *Schwäbischer Merkur* objawił niewidziany dotąd entuzjazm (*noch nie gesehener Enthusiasmus*) dla naszych rodaków, dalsze przejście kolumn zostało wstrzymane. — W mieście hessenkiem Giessen, akademicy i obywatele przy pojawieniu się Polaków wpadli też w najwyższy zapał. W mgnieniu oka,

wszystkie mieszkania studenckie zdawały się przemienione w grzmiące bastiony; z otwartych okien następowały salwy po salwach. Mieszczanie poszli za przykładem młodzieży, i można było sądzić, że na ulicach Giessen odbywają się mordercze utarczki. Wszelkie władze znikły: nie było widać ani miejskiej ani uniwersyteckiej policji, i całe utrzymywanie porządku podczas tej »tumultuarnej« nocy przeszło w ręce studentów. Ale ci, rozgrzani winem, poszli przed dom barona v. Arensa, prezydenta sądu i kanclerza uniwersyteckiego, i złożyli mu hałaśliwe *Pereat!* W skutek tego zajścia rząd heseński wzbronił dalszego przechodu kolumn przez Giessen i odwrócił ich drogę na Friedberg, z umyślnem ominięciem Marburga, gdzie akademicy również gotowali dla naszych gorące powitanie. Ten sam rząd nie chciał dozwolić na przejście Polaków przez Hanau inaczej jak tylko pod warunkiem, że w mieście tem nocować nie będą. Woli zwierzchności stało się zadość — noclegu nie było, bo nikt się spać nie położył; ale mieszkańcy hanausey na prędko urządzili bal w przyległym miejscu kąpielowem Wilhelmsbad, i tam aż do dnia z gośćmi polskimi przetańcowali. Rankiem Polacy siedli na wielką łódź towarową i w towarzystwie komitetu, wśród wystrzałów z moździerzy, z muzyką grzmiącą na pokładzie i z Orłem Białym powiewającym na maszcie, Menem popłynęli do Frankfurtu. Nadmienmy, że w Hanau wychodziło skrajnych opinii piśmko *Die Neuen Zeitschwingen*, które wierszem i prozą podawało ogniste artykuły o Polakach.

Przyczyną zakazu zatrzymywania się w Hanau stało się smutne wydarzenie, które w całej okolicy sprawiło głębokie wrażenie. Zwykle kiedy nie dawano jakiej ogólnej fety dla Polaków, mieszkańcy oddzielnemi gronami rozbierali pomiędzy siebie naszych rodaków; każde grono chciało mieć »swego Polaka« i ugaszczało go bądź w miejscu publicznem, bądź w kole domowem. Wtenczas trzeba było spełniać toasta i rozpowiadać, dobrą czy łamaną niemieczyzną, lub nawet na migi, o przygodach ubiegłej kampanii. Podczas przejścia jednej

z pierwszych kolumn przez Hanau, pewna grupa już późno w nocy odprowadzała oficera polskiego, porucznika Dzwonkowskiego, z kawiarni do kwatery. Idących tak i śpiewających patryotyczne pieśni, nadybał patrol, zatrzymał ich i jął strofować, że hałasują na ulicy o nocnej porze. Na to, podobnie Niemcy, hardo odpowiedzieli. Dzwonkowski został ciężko znieważony, to dało powód do pojedynku nieszczyśliwego, w którym młody oficer huzarów heskich, nazwiskiem Niemeyer, padł na miejscu.

Jednocześnie z rozbudzonemi uczuciami u publiczności, pojawia się i interes dla Polaków w literaturze niemieckiej. Gazety, nie wyłączając wychodzących pod cenzurą pruską, podają liczne sprawozdania i szczegóły o pobycie Polaków. Na polu ruchu księgarskiego przechód naszych tułaczy staje się przedmiotem »aktualności«, znajdującej swój odgłos w broszurach, muzykaliach, sztychach i litografiach różnorodnych. Jeszcze przed kilkunastu laty nie trudno było spotkać się w Niemczech z którąkolwiek z ówczesnych rycin, wyobrażających np. przyjęcie Polaków w Lipsku, albo pożegnanie Polaków z ojczyzną. Na wzgórzu, u stóp słupa granicznego siedzi młodzieniec w mundurze ułańskim z ramieniem w temblaku, z utopioną w dłoniach twarzą; przy nim stoi starzec o białym wąsie, o pięknej, poważnej postaci, z ręką na głowie nieutulonego syna. Nad nimi szare niebo, w dali równina z biegiem rzeki i niskimi chatami. Obrazek ten z podpisem: *Der Polen Abschied vom Vaterlande*, miał w swoim czasie największe powodzenie; mimo banalności swego stylu, nosił wyraz szlachetnego smutku i przemawiał nim do uczuć i wyobraźni wielkiej masy.

Patryotyzm, waleczność i niedola Polaków, dostarcza poetom niemieckim treści do różnych wylań lirycznych. Pomijamy owe mnóstwo rymów okolicznościowych i jednodniowych, którymi w każdym prawie mieście witano Polaków; mamy tu na myśli utwory poetyczne wartości wyższej, uznanej szerszym i trwalszym rozgłosem. Platen - Hallermünde pała

gniewem i uburzeniem nad krzywdami naszymi, śmiałym i namiętnym głosem piętnuje cesarza północy i złorzeczy przemoc tryumfującej i pysznej. Jego *Polenlieder* należą do początków owego rodzaju poezji politycznej, która następnie nie małego w Niemczech znaczenia nabiera. W chwili, kiedy wojsko polskie wychodzi za granicę, odzywa się on do następcy tronu pruskiego gorącym i silnym wierszem (*An einen deutschen Fürsten*), w którym woła:

Ich flehe für das Volk der Leiden,
Das aus der Heimath auszuscheiden
Gedrängt die Zeit;
Ich flehe für umsonst ermannte,
Für flücht'ge Helden und Verbannte,
Um einen Funken Menschlichkeit.

Wie auch des Gegners Groll sich steigert,
Werd' ihnen kein Asyl verweigert,
Kein Trost im Schmerz.
Und wo ein Gast sich eingefunden
Beträufle Balsam seine Wunden
So lange schlägt ein deutsches Herz.

.

Inni poeci jak Maltitz, Mosen, Lenau, Ortlepp, Buchner, prof. Reichlin, Gauby, Millinghofen, Weiss etc. wylewają patetyczne skargi i żal głęboko poczuty nad niedolą Polski i nad losem wygnanych jej synów. Niektóre z tych wierszy weszły, rzecz można, w skarbiec poezji ludowej, i do dni naszych zachowały całą swoją popularność. Do takich najbardziej może zaliczyć się daje znany wiersz Juliusza Mosena: *Die letzten Zehn vom Vierten Regiment*. Czwarty Pułk liniowy! Wspomnienie jego zawsze w nas budzi jakąś dumę żalowaną, jakieś uwielbienie tęskne — a jednak ten hufiec walecznych nad walecznymi dotąd nie znalazł u nas ręki mistrza, coby oddał wierny i pełny jego obraz. Dzieło to byłoby godne pędzla autora »Ogniem i Mieczem«. Przypomnijmy sobie tymczasem,

jak w chwili kiedy i Czwartaki z innymi szli na tułactwo,
 śpiewał o nich poeta niemiecki:

Die letzten Zehn vom Vierten Regiment.

In Warschau schwuren Tausend auf den Knien:
 Kein Schuss im heil'gen Kampfe sei gethan!
 Tambour schlag an! Zum Schlachtfeld lasst uns ziehen;
 Wir greifen nur mit Bajonetten an!
 Und ewig kennt das Vaterland und nennt,
 Mit stillem Schmerz, sein Viertes Regiment.

Und als wir dort bei Prag blutig rangen,
 Hat doch kein Kam'rad einen Schuss gethan,
 Und als wir dort den Blutfeind zwaͤngen,
 Mit Bajonetten ging es drauf und dran!
 Fragt Praga, das die treuen Polen kennt:
 Wir waren dort, das Vierte Regiment!

Drang auch der Feind mit Feuerschländen
 Bei Ostrolenka grimmig auf uns an;
 Doch wussten wir sein tückisch Herz zu finden,
 Mit Bajonetten brachen wir uns Bahn.
 Fragt Ostrolenka, das uns blutend nennt:
 Wir waren dort, das Vierte Regiment!

Und ob viel wack're Männerherzen brachen,
 Doch griffen wir mit Bajonetten an,
 Und ob wir auch dem Schicksal unterlagen,
 Doch hatte Keiner einen Schuss gethan.
 Wo blutigroth zum Meer die Weichsel rennt,
 Dort blutete das Vierte Regiment!

O weh, das heil'ge Vaterland verloren!
 Ach, fragt nicht, wer uns dies Leid gethan?
 Weh Allen, die im Polenland geboren!
 Die Wunden fangen frisch zu bluten an;
 Doch fragt Ihr, wo die ärgste Wunde brennt:
 Ach, Polen kennt sein Viertes Regiment!

Ade, ihr Brüder, die, zu Tod getroffen,
 An unsrer Seite dort wir stürzen sahn!

Wir leben noch, die Wunden stehen offen,
 Und um die Heimath ewig ist's gethan!
 Herr Gott im Himmel, schenk' ein gnädig End'
 Uns Letzten noch vom Vierten Regiment!

Von Polen her, im Nebelgrauen, rücken
 Zehn Grenadiere in das Preussenland
 Mit dumpfem Schweigen, gramumwölkten Blicken;
 Ein »Wer da?« schallt — sie stehen festgebannt —
 Und Einer spricht: — »Vom Vaterland getrennt,
 Die letzten Zehn vom Vierten Regiment!«

1) Wiersz ten został przez *J. N. Kamińskiego* przetłumaczony na polskie. Tłumaczenie to brzmi jak następuje:

Pułk czwarty.

Walecznych tysięcy opuszcza Warszawę.
 Przysięga klęcząc: Naszym świadkiem Bóg!
 Z bagnetem w rękę pójdziem w świętą sprawę,
 Śmierć naszym hasłem; niechaj zadrży wróg!
 I doboż zagrzmiał, już sojusz zawarty,
 Z panewką prózną idzie w bój pułk czwarty.

Wiadoma światu ta sławna Olszyna,
 Gdzie murem twardym nieprzyjaciół stał!
 Paszcz tysięcy ziele, rzeź się krwawa wszczyna,
 Już mur zwalony, nie padł ani strzał:
 Okropny przestach poniósł tłum rozszarty,
 Spokojnie wrócił do Pragi pułk czwarty.

Pod Ostrołęką wróg się dumny zżyma,
 Otacza wolnych dzikiej hordy wał;
 Śmierć albo życie — tu wyboru niema!
 »Z bagnetem naprzód!« — nie padł ani strzał!
 I już dla naszych odwrót jest otwarty,
 I któż to zdziałał? — O, był to pułk czwarty!

On to po ciężkiej i krwawej rozprawie,
 Jak groźny piorun, jako bitwy pan,
 Ponuro wraca ku tęsknej Warszawie,
 Krew obmyć w Wiśle z przyschniętych już ran;

Zapewne więcej ich było jak dziesięciu, kiedy z czołem ponurem, ze zgrzytem zębów przez rów graniczny wkraczali do Prus. A jednak natchnienie poety nie omyliło go. Z dawnych, starych Czwartaków, w owym dniu nieszczęsnym, 5. października, pewno chyba już kilku zaledwie pozostawało. Bo iluż to ich legło na wszystkich polach! Z każdej bitwy czwarty pułk liniowy wracał poszarpany i zdziesiątkowany, ale jak istny Feniks pobojuwiska, z ognia i z krwi wciąż się odradzał i odnawiał. Ile razy chodziło o to, by zapełnić w nim szczyrby, na każde zawołanie, ponad liczbę i potrzebę, przybiegali mu nowi ochotnicy.

Obok Lipska i Freiburga, Frankfurt n. M. był jednym z tych miast, gdzie rodakom naszym szczególną okazywano

Czerwono płynie w morze prąd niestarty —
Krew to walecznych — przelał ją pułk czwarty.

Daremne męztwo! Ojczyzna zgubiona!
Ach, nie pytajcie, kto ten spełnił czyn;
Zabójczy potwór wyszedł z matki łona,
Ojczyzny zgubą jej wyrodny syn!
W kawałki znowu kraj polski rozdarty,
Krwawemi łzami zapłakał pułk czwarty.

Żegnajcie bracia, których nam przy boku
Za świętą sprawę wzięła śmierci dłoń!
Wam lepszy udział dostał się z wyroku,
Nam chytra zdrada wzięła z ręki broń.
Jak biedny tułacz na kiju oparty,
W kraj obcy idzie nasz dzielny pułk czwarty.

Dziesięciu mężów błakanyim krokiem
Przychodzi chwiejno pod graniczny słup;
Ciekawem zewsząd patrzą na nich okiem,
Z nich każdy idzie jak bez życia trup.
Kto idzie? stójcie! — krzykną pruskie warty.
My to dziesięciu, cały to pułk czwarty!

gościnność. Mimo obradującej tu Rady Rzeszy Niemieckiej, od początku wojny istniała tu wielka życzliwość dla naszej sprawy, i już w czerwcu 1831, od grona miejscowego wyszło wezwanie do publiczności z prośbą o dostarczenie płótna, szarpi i datków pieniężnych na rzecz rannych i chorych po lazaretach w Polsce.

Na jednym z posiedzeń Senatu frankfurckiego (dnia 31. marca 1831), kiedy sprawozdawca przedstawił, że na przyjęcie Polaków skarb miejski wydał już przeszło dziesięć tysięcy złr., i zarazem wykazał potrzebę przeznaczenia dodatkowych dwadzieścia tysięcy złr. na dalsze ich podejmowanie, i przewóz, wniosek tego samego dnia jednogłośnie i bez wszelkiej dyskusyi został przyjęty.

Przy rozdawaniu biletów kwaterunkowych Polakom przybyłym, komitet uprzedzał ich, że wydatki ich życia z góry pokryte i prosił, by sobie wygody w niczem nie odmawiali. Wyłącznie prawie pomieszczano ich po oberżach i hotelach, gdzie gospodarze z żonami i dziećmi radośnie wybiegali. witać gości i nieustannie uprzedzali ich życzenia, kiedy ci starali się ograniczać swe potrzeby, ażeby nie nadużywać hojnej gościnności Frankfurczanów. »Nic nie mieliśmy do rozkazywania — czytamy w pamiętniku podróżnym — a żyliśmy przez kilka dni w Frankfurcie jakby jacyś bogacze świata.« Zaraz po przybyciu kolumny, komitet zapytywał przewodnika o jej potrzeby, lecz że już w poprzednich miastach troskliwie zaopatrywano naszych podróżnych, przeto we Frankfurcie nie wielu się zgłaszało z żądaniami. Wszelako wśród wielkiej liczby, acz bardzo wyjątkowo i rzadko, znajdowali się »pewni szulerzy i niektórzy ludzie chciwi,« którzy korzystali ze sposobności zwiększenia swych zapasów ponad istotną potrzebę.

Nie będziemy się rozwodzić nad szczegółami przyjęcia i nad demonstracyami, których Polacy w Frankfurcie, podobnie jak w innych miejscach doznawali. Wolimy natomiast przytoczyć kilka ustępów pióra miejscowego kronikarza o ich

tam pobycie. Znajdujemy je w piśmie *Frankfurter Jahrbücher* (8 lutego 1832); oto co one nam mówią:

»Na tych kartach nie wolno nam zamilczeć o owych dniach, w których obywatele frankfurtscy ujrzeni pośród siebie ocalonych Polaków. Słyszeliśmy z ust poważnego męża, że te dni należą do najpiękniejszych w życiu jego. To, cośmy uczuli przyjmując tych rozbitków bohaterskiego narodu, Frankfurczanie winni zachować w wdzięcznej pamięci dla siebie i dla wnuków. W tych wojownikach rycerskich czciliśmy łagodność, płynącą z prawdziwie moralnego ducha, i miłość ojczyzny. Kto zdolny jest wielbić patriotyzm cudzoziemca, ten i sam okazuje się godnym mieć ojczyznę niemiecką«.

»Rząd naszego Wolnego Miasta poszedł za pięknym przykładem, danym przez inne rządy niemieckie, a zwłaszcza przez rząd Królestwa Saskiego i sąsiedniego W. Księstwa Heskiego. Polacy, przyjęci na granicy przez tutejszych urzędników, otrzymywali mieszkanie i pożywienie w przedniejszych hotelach. Grono poważnych obywateli wzięło na siebie zapobiegać ich potrzebom, wynikłym z trudów wojny i długiej podróży. Skromność i bezinteresowność odbierających pomoc, była istotnie wzruszającą i ułatwiała jej udzielanie. Ów duch łagodności i miłości ojczyzny, o którym chlubnie wzmiankowaliśmy powyżej, znalazł należyte uznanie w entuzyaźmie naszych współobywateli przy powitaniu Polaków i w serdecznym, rozczulającym sposobie, w jaki się z nimi żegnali. Na każdym kroku Polaków otaczała przyjaźń mieszkańców, a w oczach kobiet i dziewic ujrzeni oni nieraz łyż szczerego spółczucia dla siebie«.

»Nie mówiąc o licznych darach, składanych przez bogatych i biednych w ręce komitetu, — co nas najwięcej uderzało, była to głębokość spółczucia, cechująca chęć niesienia pomocy. Ci rzemieślnicy, którzy odsuwali wynagrodzenie za robotę, a w zamian prosili o jakiś znak pamięci, dla zachowania jakby relikwii; te biedne praczki, które się cisnęły, ażeby także usłużyć sposobem, na jaki ich stać było, i które

za jedyną zapłatę żądały, aby im wolno było nie brać jej wcale; owe uczennice, które robiły pończochy, szyły koszule i były szczęśliwe, kiedy same mogły wręczyć rycerskim gościom pracę rąk swoich; ów nieznajomy, który zarzuciwszy płaszcz swój na ramiona zziębniętemu, uszedł spieszenie przed podziękowaniem i znikł w tłumie¹⁾ — oni pojedynczo wyrażali to usposobienie, które przejmowało wszystkich. Ale nikt w tej okoliczności nie zachowywał się godniej, jak sami Polacy. Ich skromność, łagodność, ich szlachetny i serdeczny charakter, nawet ich piękne postacie i ich przepyszne żołnierskie wzięcie, porywały serca wszystkich. — Nasz orzeł nasze barwy, przypominały im ojczyznę!

»Kiedy młody oficer od artylerji polskiej umarł tutaj, tysiące ludzi, w skupieniu i cichej boleści szły za jego ciałem, jakby miasto straciło w nim jednego z własnych, najszlachetniejszych synów swoich«.

Śmierć skróciła drogę wygnania dwudziestoletniemu porucznikowi Ludwikowi Lange; przybył on już ciężko chory do Frankfurtu i tam, w hotelu »Pod Łabędziem« umarł d. 27 stycznia, a pogrzeb jego stał się nowym powodem wspaniałego objawu uczuć niemieckich dla Polski. W dniu poprzedzającym zwłoki zostały wystawione; na martwe czoło młodzieńca »niewiasty niemieckie« złożyły wieniec ze świeżego lauru; za trumną postępowali oficerowie polscy, oficerowie niemieccy i kilka tysięcy ludu; stowarzyszenie śpiewackie wykonało kantatę nad grobem; kapitan Leski przemówił w imieniu kolegów; oddział wojska liniowego oddał zmarłemu ostatnie honory. Na grobie jego został postawiony duży pomnik z czerwonego kamienia z orłem polskim i napisem: *Ein*

¹⁾ Oficer polski szedł przez most w dzień zimny, w bardzo lekkim odzieniu; obaczył to Niemiec jakiś, który właśnie szedł w pięknym, nowym płaszczu; zaczaja się więc gdy już z mostu w ulicę wchodził, rzuca mu z tyłu na ramiona płaszcz swój, a sam tak ucieka szybko, że go wdzięczność Polaka nigdzie dostrzedz już nie mogła. (Pamiętniki Klementyny z Tańskich Hoffmanowej.)

flüchtender Pole, Ludwik Lange, Lieutenant bei der Artillerie, fand hier eine Ruhestätte am 29. Jänner 1832.

Zaszło inne jeszcze wydarzenie, które roznieciło zapał dla Polaków we Frankfurcie. Za przybyciem trzeciej kolumny do tego miasta, po północy wybuchł pożar. Między pierwszymi, co przybiegli na ratunek, ujrzano mundury polskie. Nasi żwawo rzucili się w ogień i nie szczędzili siebie, a dwaj między nimi, Zawadzki i Wodziński, wynieśli z płomieni dwoje nagich dzieciątek.

Pisma frankfurckie, jak i te, co wprawdzie redagowane we Frankfurcie, dla względów cenzuralnych wychodziły w pobliskim Hanau, tchnęły dla nas zgodnie z publicznością, najgorętszymi uczuciami. Funk, Sauerwein i Freieisen, literaci frankfurtscy, wszyscy trzej oddani ówczesnemu prądowi liberalnemu, poświęcali przechodnim Polakom strzeliste artykuły, w których pośrednio i sprawę wolności i jedności własnej ojczyzny starali się dotknąć.

Marianna von Willemer (Sulejka), przyjaciółka Göthe'go, pisze do niego z Frankfurtu dnia 29. stycznia 1832 roku: »Na teraz Polacy poruszyli żyłę poetyczną dobrych Frankfurczanów; połowa miasta zupełnie zwaryowała (*die halbe Stadt ist rein verrückt*). Nie poznałbyś je w obecnym stanie jego podniecenia«¹⁾.

Ludwik Börne, sam Frankfurczanin, ale w owym czasie przebywający w Paryżu, na wiadomość, że rodzime jego miasto tak zacnie z Polakami postępuje, nie posiada się z radości i w jednym ze słynnych swoich listów paryskich¹⁾ pisze do swej przyjaciółki (dnia 30. stycznia 1832):

»Co mi o Polakach donosisz i wspaniałem ich przyjęciu we Frankfurcie, do łez mię poruszyło. Temu panu, który na moście zawiesił Polakowi płaszcz swój na plecy i odszedł

¹⁾ *Creizenach*. »Briefwechsel zwischen Göthe und Marianne von Willemer«. Stuttgart, 1877, strona 307.

²⁾ »Gesammelte Schriften von Ludwig Börne«. Tom X.

w milczeniu, temu na temże miejscu należałoby pomnik postawić. Starożytne dzieje piękniejszego rysu serca nam nie podają«.

A w kilka dni później (w liście z dnia 3. lutego), gdy się dowiaduje, że Frankfurczanie, wyprząc konie, sami wciągnęli do miasta pojazdy, w których siedzieli oficerowie polscy, pisze on: »Czy też to wszystko prawda, co donosi gazeta stuttgardzka, jak Frankfurczanie podczas przejścia Polaków niejednem pięknem słowem, piękny sposób myślenia objawili? I tak czytam, że jeden z tych, co ciągnęli powóz Polaków, odezwał się do towarzysza: »Zaczekaj Filipie — i ja ci pomogę. Co mię tam obchodzi cesarz, czy król. Ja wiem tylko, że ci Polacy, to są dzielne chłopcy«. Inny zaś wołał: »Chcieliście przecie ciągnąć panią Sontag (słynna śpiewaczka ówczesna); ci tutaj Rosyanom piękniejsze arye śpiewali«. Trzeci znów wykrzykiwał: »Pokażmy tym młodym ludziom, żeśmy nie Prusacy!« — »Pochód Polaków przez Niemcy — kończy autor rzeczony — wyda najpiękniejsze owoce... Przemądrzy wy ludzie! Przebiegli mężowie stanu! O krzywdach i o zdradach zadanych przez Austryę i Prusy Polakom, nie pozwalaliście pisać gazetom, a teraz puszczacie na kraj tysiące kaznodziejów, którzy rozpowiadają co wycierpieli i nauczają nas, jak się cierpieć przestaje«.

IV.

Wpływ przejścia Polaków na Niemców. — Duch narodowości. — Polacy go krzewią. — Podniecenie opinii publicznej w Niemczech. — Nadzieje rozbudzone, nie ziszczone. — Rzekome posłannictwa. — *Sturm-vögel der Revolution*. — Orszak żałobny zmieniony w pochód tryumfalny. — Szlachetna postawa spółczującej Germanii. — Nie zawsze »człowiek człowiekowi wilkiem«. — Czekamy na sprawiedliwsze uznanie. — Wędrówka polska trwa jeszcze długo. — Władze niemieckie stają się surowsze. — Współczucie publiczności nie ostyga. — Towarzyszy wygnańcom aż do granicy. — Powitanie Francyi. — »Starsza siostra« odwraca się od młodszej.

Cierpieć, niestety, nie przestaliśmy — ale skądinąd przewidywania Börnego nie zupełnie chybiły. Myśli publicznej w Niemczech, zbudzonej rewolucją lipcową i reformą angielską, dodaje nowej podniety przechód polski. Nie pozostaje on też bez wpływu na rozwój swobód politycznych i dążeń narodowych niemieckich.

Było to zaranie ducha narodowości, w nowożytnem jego znaczeniu. W wiekach przeszłych narodowość była poniekąd instynktem tylko; za naszych czasów staje się ona uczuciem rozumowanym, opartem na patriotyzmie i na całym szeregu potrzeb moralnych. W Niemczech przebudza się duch ten w 1813 roku. W Grecyi i w Polsce wybucha wielką łuną. Zatoną w tym ogniu pochodnię, po przez gruzy i zgliszcza wynieśli Polacy z pogorzelniska i szli z nią przez Europę, a Niemcy z wzniesionemi do nieba ramionami, z okrzykiem uwielbienia, witali święty płomień, ten płomień, który miał ich wieść do jedności i potęgi.

Widok tułacza, mającego na sobie suknię zapyloną kurzawą bitew krwawych, rzucającego kraj, rodzinę, majątek, porusza Niemców do głębi przeciw uciskowi, i zaostrza ich nienawiść dla samodzierczy Rosyi, wzmagą ich opór przeciwko przytłaczającej opiece świętego przymierza, przeciwko systemowi Metternicha i uchwałom sejmu frankfurckiego. Komitety polskie po miastach niemieckich stają się istotnie klubami liberalnymi, i przyjaciel Polski znaczy u nich to samo, co przyjaciel wolności. Bezpośrednio za przejściem Polaków, wszędzie gdzie oddech ludności nie był tłumiony siłą wojskową, rodzą się też nowe, częstsze manifestacye zbiorowe: uczty polityczne, sadzenie drzew wolności, kokardy narodowe, agitacya na rzecz wolności prasy, śmielsze głosy publicystyki, adresy i petycye do rządu lub izb reprezentacyjnych, zgromadzenia ludowe, jak słynna uroczystość w Hambach, stowarzyszenia ku »odrodzeniu Niemiec«, i temu podobne objawy, świadczące o wzmaganiu się prądu, unoszącego społeczeństwo niemieckie ku wyższym przeznaczeniom.

Ale, jeśli przechód polski wywarł pewne wrażenie na Niemców, to też w odwrotnym kierunku, i na samych Polaków nie pozostał bez wpływu.

Zapewne, gorące współczucie Niemców było prawdziwą pociechą i osłodą dla nieszczęśliwych. Co znaczyły te tysięczne okrzyki: »Niech żyje Polska!« rozlegające się wszędzie, gdzie tylko Polak stąpił! Czyż nie godziło się czerpać z nich otuchy? Czyż nie podnosiły one wiary i ufności w lepszą przyszłość? Zdawało się wówczas niepodobieństwem przypuścić, że opinia Europy da upaść sprawie, której słuszność tak powszechnie głoszone, której rozprószonych żołnierzy noszono na rękach, i dla której uroczyste składano obietnice. Stało się inaczej — i tak, serdeczne objawy Niemców, ten ostatni uśmiech słoneczny na chmurnem niebie wygnańców, wzmagając nadzieje, nigdy nie mające się ziszczyć, rozszerzył im tylko koło ułud i przyszyłych zawodów.

Świeżym pogromem przygnębieni, z posępną myślą i duszą zbolałą, ruszyli Polacy w pielgrzymkę. W tem, ku wielkiemu zdumieniu, wszędzie spotykają otwarte ramiona, uroczyste przyjęcia i świąteczne gody; wszędzie obsypują ich emfatycznymi, najszczytniejszymi epitetami: zwaą ich bohaterami i męczennikami świętej sprawy, wybrańcami ludzkości, zesłańcami bogów, tarczą cywilizacyi, obrońcami wolności na ziemi; wmawiają, że na nich polega nadzieja przyszłości, że odtąd do nich należy wskazywać ludom drogę, być przewodzcami w walce przeciw uciskowi i t. p. Wszystko to było tego rodzaju, że mogło sprawić istotne upojenie i zawrócić młode, niedoświadczone głowy. Śród okrzyków i uścisków, śród wzbranego uczucia, nie dostrzegają, że w entuzjazmie Niemców, acz szczerym i serdecznym, mieści się przecie i hołdowanie własnym, niemieckim życzeniom, popędom i dążeniom; nie dostrzegają, że rzeczywistość zaczyna się usuwać z przed ich oczu, unosząc ze sobą jasne pojmowanie właściwych celów i zadań. Opuszczając ojczyste strony każdy wiedział jedno, że jest tylko żołnierzem Polski, i że idzie czekać na chwilę nowej walki z wrogiem ojczyzny; nim doszedł do granic Francyi każdy usłyszał sto razy, że powołanie jego jeszcze jest inne — że dzielnemu ramieniu wygnańca polskiego, jego poświęceniu i męstwu, Europa powierza rozleglejsze posłannictwo. W ten to sposób owacye niemieckie, niejednego z naszych wychodźców, pasowały na błędnego rycerza do spraw i wypraw mniej lub więcej nam obcych.

W ruchu budzącym się tymi czasy w Niemczech, niektórzy publicyści lub inni przywódcy, prześcigali wszystkich jaskrawemi opiniami i zuchwałymi planami. Nie wystarczały im dążenia liberalne i narodowe; oni sięgali znacznie dalej i rozmyślali nad tem, jak z gruntu przekształcić społeczność, przewrócić trony i wymieść wszystko, co je otacza lub podtrzymuje. W przechodzie swym nasi tułacze i o nich zawadzili, tem bardziej, że oni byli zawsze między pierwszymi co biegli ścisnąć dłoń braci Polaków i najgoręcej ich witali, jako

»ptaków zapowiadających burzę« (*Sturmvoegel der Revolution*). Zetknęli się z nimi niektórzy nasi rodacy, ludzie od pióra i słowa raczej, niż od szabli. Usłyszeli oni od niektórych z pomiędzy nich, że w Niemczech, wszystko gotowe do powstania, że tylko szukają wodza. Rojenia ich nie były bez ponęty, bo obejmowały i sprawę polską, lubo urządzoną według teorii demagogicznych, zabarwionych kosmopolityzmem. Jakkolwiekbądź, ziarno niemieckie nie zupełnie poszło na wiatr. Przywiezione do Francji, pędzone w wysokiej temperaturze cieplarni paryskiej, wydało ono owoc egzotyczny, który nie posłuży na zdrowie ani emigracyi, ani krajowi.

Takim to był ten szczególny eksodus polski; takim wrzenie i przyjęcie, które on wywołał w Środkowej Europie.

Dziś, w naszej realistycznej epoce i wśród tak odmiennych okoliczności, nie łatwo pojąć nastrój umysłów, który go powitał — nie łatwo opisać go bez wywołania może zarzutu przesady, lub zbytniego upiększenia. A jednak, skreśliśmy tylko, co nam podały usta świadków naocznych, co znaleźliśmy w pismach społecznych; a przemilczeliśmy niektóre szczegóły zbyt drastyczne i pominęliśmy niejedno, co nam szepczą do ucha poufne zwierzenia, zawarte w pomiętych i poszarpanych notatkach i pamiętniczkach podróżnych. Przechód przez Niemcy był, dla nas samych, wielkim orszakiem żałobnym, lecz owacye ludu niemieckiego przekształciły go w istny marsz tryumfalny. Zaprawdę, żaden wódz, żaden król zwycięski nie był nigdy tak witany, jak ta garsć walecznych ale zwyciężonych żołnierzy, idących przez obce kraje na tułactwo. Błogi to przykład górowania w sumieniu ludzkim uczucia sprawiedliwości nad doraźnem powodzeniem i tryumfem siły brutalnej.

Dzisiaj wprawdzie za przykładem wysokich wzorów, w których, jak na teraz, zdaje się wcielać wszechmądrość i wszechsiła, jest to niestety hasłem przyjętem w Niemczech, pomiatać uczuciami Polaków, potępiać ich nawet, że żyją i żyć

chę. Nie jest to niezwykle zjawisko, że wielkim powodzeniem, osobliwie w pierwszych jego chwilach, towarzyszy pycha, zboczenie od powszedniej etyki i lekceważenie praw przysługujących innym. Wolimy to tym sposobem niż inaczej tłumaczyć. Ale są źródła tak głębokie i tak silnie bijące, że ich ani zatkać ani zamącić na zawsze nie można.

Urażania, któremi z mownicy berlińskiej przemocny szyderca obsypywał te zacne uniesienia swych ziomków z przed kilkudziesięciu laty, nie odmienią przyrodzonych praw serca ludzkiego, a szlachetna postać Germanii, ze łzawem okiem podającej ciepłą dłoń cierpieniu i niedoli, nie przestanie zaznaczać jasnymi barwami piękny ten epizod z historii XIX wieku, i wbrew ponurym teoryom dzisiejszego pesymizmu pozostanie pocieszającym świadectwem, że przecie nie zawsze *homo homini lupus*, i że nie na to tylko narody obok siebie postawione, by się wiecznie nienawidzić i niszczyć wzajemnie.

Może ci sami Niemcy uznają znowu, że Polska nawet w swym pogrobowym bycie nie jest martwym i biernym członkiem ludzkości na polu kultury, i że trwale niecąc ogień, który ją żywi, i który ją trawi — ona, jedna z pierwszych, wywołała ten wielki ruch, który stanowi wybitne znamię naszego wieku — ruch, który w pełnym jest toku i który jeszcze nie spoczął. Może przypomną sobie, że i oni z tego ogniska nieśli pokarm i nabierali bodźca dla własnych usiłowań narodowych, z których powstało dzisiejsze państwo niemieckie. Może kiedyś — nietylko z pobudek sprawiedliwości, ale ze względów realniejszych uznają i w innych to, co w sobie tak wysoko cenią i pielęgnują, i co przy własnej pracy i zasłudze, ujęte w dłoni wielkiego męża stanu, stało się główną dźwignią ich wspaniałego rozwoju.

Wędrówka wychodźców naszych, rozpoczęła w październiku, staje się najtłumniejszą od grudnia do kwietnia, ale

i potem nie odrazu i nie rychło ustaje. Choć już nie kolumnami, rozsypani wygnańcy wciąż nadciągają jeszcze przez długie miesiące: bądź z niewoli pruskiej, lub z interny austriackiej, bądź z ukrycia w kraju, a niekiedy nawet już z drogi na Sybir. Władze Rzeszy, uginając się pod wolą z nad Newy, jęły występować srożej przeciwko Polakom i przyjaznym dla nich manifestacyom; robiono trudności na granicy, nie wydawano paszportów, zaprowadzono uciążliwsze kwarantany, zapobiegano nawet, by Polacy w podróży pomocy nie dostawali. Z inicjatywy pruskiej wyszły rozkazy zamknięcia wszystkich komitetów polskich — mimoto współzucie publiczności niemieckiej nie ostygło i stale towarzyszyło naszym braciom aż do samych progów Francji.

Strasburg i Metz były główne wrota, przez które Polacy wstępowali do kraju, gdzie dla wszystkich ludów zdawał się gotować nowy porządek rzeczy. Na widok trójkolorowej chorągwi niejednemu serce żywiej zabiło i z młodej piersi, pełnej jeszcze wiary, wyrwał się okrzyk: »Witaj Francyo! Witaj kraino, gdzie znajdziemy nietylko schronienie gościnne, ale i grunt przyjazny, by służyć rozdartej ojczyźnie!« Nie przewidywali oni wtedy, że ich wygnanie przetrwa lat tyle, nie przeczuwali czego po długich latach, na schyłku dni sędziwych i gorzkich, dożyją jeszcze: że »starsza siostra«, znużona naszą niedolą bez końca, zaprzątnięta własnymi troskami, odwróci się od młodszej; że rada unikać będzie nawet imienia naszego i że dla naszych bólów będzie miała tylko... obojętność, niewiadomośc lub dowcip cierpki.



EMIGRACYA W CAŁOŚCI

I.

Stan Francyi po dniach lipcowych. — Złudzenie nasze. — Sympatye Francuzów. — Powszechna obawa wojny. — Ludwik Filip i Casimir Perier. — Dwuznaczność systemu »nieinterwencyi«. — Zachowanie się Prus. — Bierna postawa Francyi. — Odmowy wszelkiej pomocy. — Oświadczenie francuskie z 9. sierpnia. — Memoryał 3. września misyi polskiej. — Wiadomość o upadku Warszawy. — W *Monitorze*, w Izbie. — Na ulicach i teatrach. — Na prowincyi. — Po egzaltacyi, znużenie. — Izba zadowolona; giełda uspokojona. — Głos poety.

W dziejach XIX wieku nie brak nagłych i nadzwyczajnych wypadków, powodujących głębokie zmiany polityczne, ale żaden z nich nie wywarł tak potężnego wrażenia na umysłach rządzących i rządzonych w Europie, jak przewrót lipcowy we Francyi. Bo też rewolucya 1830 roku nie była tylko zamianą jednej dynastyi na drugą; przesilenie, wywołane przez nią, było głębsze i powszechniejsze, bo dotknęło jeczczcie bardziej społeczeństwo niż państwo, stan moralny niż stan polityczny. Zamieszania uliczne rozszerzyły się i na umysły; zdawało się, że jednocześnie ze starożytną dynastyą, obalono i dawne tradycye, poszanowania i wierzenia. Z gruchnięciem wieści o tem, co zaszło nad Sekwaną, znikł w jednej chwili spokój na całym kontynencie, i wszędy zapanowały trwogi lub nadzieje, obawy lub oczekiwania.

W samym Paryżu huk i trzask wybuchu minął po trzech dniach pamiętnych; ale długo jeszcze atmosfera drgała falami elektrycznymi, i grunt pod nogami zdawał się uginać, grożąc co chwila nowem trzęsieniem ziemi. Bezład w pojęciach, rozprężenie w rządzie, abdykacya władzy; zbiegowiska, wrzaski,

burdy i zbrojne zaburzenia w miastach cechują zrazu tę chwilę. Potem, po systemie *du laisser-aller* Lafitte'a, następuje system oporu, *de la résistance*, Periera: chroniczne nieporządki ulicy uśmierzają się, rozruchy stają się rzadsze, władza zdobywa się na większą tęgość i odwagę, stara się wzmocnić, ale wciąż jeszcze chwiejna i zagrożona, podnosić musi rękę na własną matkę — na rewolucję, i borykać się z przeciwnymi stronnictwami republikanów, bonapartystów i legitymistów. Królewskość, obniżona na uroku i powadze, wewnątrz umizga się do tłumu, a zewnątrz, dla korony »z woli narodu«, stara się zaskarbić przychyłość i zaufanie monarchów »z Bożej łaski«. Kasy publiczne wypróżnione, na wielu miejscach bezrobocie i nędza, gotowego wojska w kraju nie wiele, zwłaszcza w stolicy, gdzie siłę i porządek publiczny przedstawia głównie Gwardya Narodowa, jako uosobienie — niekiedy trywialne i śmieszne — społecznego tryumfu spanoszonego mieszczaństwa i merkantylizmu.

Taki był w roku 1831 stan Francyi, kraju, na którego poparcie liczyliśmy najwięcej.

Cała Europa patrzyła wówczas na Francję, ale my tembardziej wzrok nasz i ucho ku niej wyteżaliśmy. Ulegaliśmy tu, do pewnego stopnia, dziwnemu akustycznemu złudzeniu. Brzmiące deklamacje braliśmy na seryo, nie bacząc, że nie pochodziły one najczęściej ze sfer decydujących. Mieliśmy za nami głosy poetów i retorów, ale nie ministrów. Przeciwnie, ci, co najwięcej o nas mówili, należeli do opozycyi lub nawet w otwartej byli z rządem walce, a kiedy na ustach mieli Polskę, w myśli i w sercu często mieli tylko interes swego stronnictwa, doktryny, lub osobistych widoków. Wolno nam tak sądzić i głośno to stwierdzić, bo kiedy w kilkanaście lat później, w r. 1848, losy Francyi i władza dostała się w ich ręce, wtenczas, to same stronnictwo i nawet ci sami ludzie, okazali się jeszcze chłodniejszymi dla Polski, jak monarchia lipcowa.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że na pięknej ziemi francuskiej nie było dla nas i szczerego uczucia i życzliwości.

O nie! Nie godzi się o tem sądzić wedle usposobień chwili dzisiejszej. W owym czasie było inaczej. Uczony i literat, młodzień »Łacińskiego kraju«, poczciwy robotnik w niebieskiej bluzie, nawet episyer w kaszkiecie gwardzisty narodowego, rozgrzewał się na wzmiankę o Polsce. Sprawa nawet belgij-ska, choć daleko bliższa, mniej go zajmowała. Opuszczona Polska, która w mglistej dali, nad Wisłą, w śmiertelnym boju krew swą lała, przedstawiała mu widowisko »dramatyczniejsze«, poruszała żywiej szlachetne struny jego duszy i zapalała jego wyobraźnię. Imię Polski nabyło jakby magicznego wpływu, którym masy można było poruszać, i dlatego właśnie nietylko szczerzy przyjaciele nasi, ale i różni karyerowicze lub wicherzyciele, używali i nadużywali jej uroku — niebaczni, że to, co nad Sekwaną było nieraz pięknym tylko frazesem, pustem i czczem słowem — tam, przeleciawszy mil trzysta, dla walczących z rozpaczą, stawało się ułudną zapowiedzią, oczekiwanym gołębiem, obiecującym pomoc, i nadzieją.

Po nas samych, nikomu tyle jak Francyi nie zależało na tem, by na wschodzie Europy, pomiędzy Rosyą a Prusami, stanęła niepodległa Polska. Ale tylko wielkim umysłem politycznym dano przewidzieć oddaloną grozę, zapobiedz jej i zabezpieczyć przyszłość. Król Ludwik Filip był człek rozumny, ale nie Henryk IV; Casimir Perier, znakomity bankier, *un homme d'affaire* wyższego rzędu, ale nie Richelieu. Porajac się z bliższymi i z najbliższymi interesami, nie rozumieli oni czy nie chcieli zrozumieć znaczenia odległej Polski w systemie równowagi europejskiej i własnego bezpieczeństwa.

Wiemy dostatecznie, jak daleką była Francya od wszelkiej myśli udzielenia nam zbrojnej pomocy; nietylko rząd objawiał stanowczy wstręt do wojny, ale i sama nawet opozycya w Izbie, mimo swych mów i deklamacyj wojowniczych, w gruncie wojny się obawiała ¹⁾). I trudno nie przyznać, że

¹⁾ *Guizot*: »Mémoires«, tom II, str. 85; *Louis Blanc*: »Histoire de dix ans«, tom II, str. 452.

obawy te były usprawiedliwione, i że Francya bez udziału Anglii i Austrii, a przynajmniej Anglii, w wojnę za nas rzucić się nie mogła. Gabinet paryski wciąż jeszcze żył pod wrażeniem groźby ze strony Św. Przymierza. Hr. Sebastiani, minister spr. zagranicznych, dnia 24. lipca 1831 r. mówił Misyi naszej: »Przeciw Francyi trwa koalicya jak dawniej, w Chaumont zawarta. Mimo uznania Ludwika Filipa za króla, zawsze Karol X. jest utrzymywany i gdybyśmy chcieli przedsięwziąć jakikolwiek krok energiczny, cała koalicya stanęłaby gotowa, połączona i jedna«¹⁾. Cesarz Mikołaj nienawidził Ludwika Filipa i monarchię lipcową; jego marzeniem było istotnie stanąć na czele wznowionej koalicji 1814 r., zerwać wszelkie porozumienie między Londynem i Paryżem i za spółdziałaniem Austrii i Prus zmusić Francję do przyjęcia na tron starszej linii Burbonów, a Holandi oddać zbuntowaną Belgię. Na przeszkodzie stanęło mu nasze powstanie.

W owej chwili, wedle poważnych świadectw, armia francuska liczyła nie więcej jak 78.000 żołnierza, z których prawie połowa znajdowała się w Grecyi i Algierze. Oprócz tego, by dotrzeć nad Wisłę, wojsko francuskie musiałyby przejść przez całą środkową Europę i poprzewracać naprzód zapory niemieckie. Czyż tymczasem pułki pruskie i austriackie nie miałyby dosyć czasu wkroczyć do Polski i zgnieść waleczne, ale drobne nasze siły. A i Anglia, skoroby ujrzała rozwinięty znowu sztandar francuski, z rozbudzoną na nowo nieufnością, przyłączyłaby się do koalicji przeciwko Francyi.

Tak zapewne — ale bez posunięcia się do ostatecznych kroków, bez narażania własnych interesów, Francya miała pod ręką sposoby wesprzeć nas skutecznie. Tymczasem całe jej zachowanie się, w skutkach swych było dla nas ujemne. Wszystkie państwa w tym czasie potrzebowały pokoju, nie były przysposobione do wojny i obawiały się jej. Ale właśnie państwa dla nas względnie przychylniejsze, Anglia i Francya,

¹⁾ *Barzykowski*, tom V, str. 185.

gorliwiej i głośniej niż wszystkie inne, głosiły potrzebę i postanowienie utrzymania pokoju i obwieszczały przy każdej sposobności wstręt absolutny do wojny. Przez to, naturalnie, nawet i te nieliczne i nieśmiałe ich głosy za nami, traciły tem bardziej wszelką wagę i znaczenie, wobec tych, do których były zwrócone. Tęgość i stanowczość w dyplomacyi, niekoniecznie jest wojną. I cóż myśleć o mężu stanu, który zawsze oświadcza, że chce pokoju i tylko pokoju. Zawczasu jest on pobity i zmuszony do szeregu nieskończonych i upakarzających ustępstw. Jeśli Ludwik Filip w interesie ustalenia swego tronu miał powody lękać się wojny, to dwory północne miały jeszcze więcej przyczyn jej się obawiać: ich wojska były osłabione, nie była to już chwila powrotu Napoleona z Elby, kiedy cała Europa stała jeszcze pod bronią; ich finanse były wyczerpane, a Anglia już subsydyów nie płaciła. Oprócz tego przejmowała ich trwoga, że razem z wojną wyjdzie też z Francyi ogólna zaraza rewolucyjna. I tego właśnie nie pojmował Casimir Perier i »własny jego strach nie pozwolił mu korzystać ze strachu innych«. Z temperamentu, ze swych zajęć jako bankier, z osobistej sytuacji, był on bezwzględny przeciwnikiem wojny, marzył tylko o powszechnem rozbrojeniu i nie ustawał zwierzać się przed obcymi posłami z niezłomną swą wolą utrzymania, bądź co bądź, pokoju. Objąwszy kierunek spraw francuskich bez poprzedniej szkoły, obcy przeto polityce europejskiej w ściślejszem jej znaczeniu, bez istotnej znajomości traktatów, gabinetów i osób nimi kierujących, bez wprawy i bez rutyny na polu dyplomatycznym, miał on do czynienia z dyplomatami doskonale wyćwiczonymi w swej sztuce, jak Pozzo di Borgo, Appony, Werther, którzy bez trudu umieli korzystać z niedostatku pierwszego ministra francuskiego, i wyzyskiwali bojaźń jego przed wojną, lękając się jej więcej niż ktokolwiekbądź.

La Sainte Alliance reposait sur le principe d'intervention, destructif de l'indépendance des peuples et des nations. Le principe de notre révolution doit, au contraire,

assurer l'indépendance de tous. Temi słowami interpretował hr. Sebastiani ¹⁾ ową zasadę nieinterwencyi, postawioną przez nowy rząd francuski. Zachowanie się jego atoli względem nas było w rażącej niezgodzie z tem oświadczeniem. Prusy jawnie i czynnie pomagały Rosyi podczas walki 1831 roku: przepuszczały zbrojne oddziały rosyjskie przez swe terytoryum, dostarczały armii rosyjskiej żywności, amunicyi, robotników etc., etc.; względem nas inaczej zaś postępowały: położyły rękę na polskie sumy w Berlinie, zatrzymywały naszych posłańców, łapały nasze listy i gazety, zabierały naszą broń, konfiskowały nawet lekarstwa i szarpie dla naszych rannych przeznaczone. Tym sposobem gabinet pruski gwałcił prawa neutralności i ludzkości, i występował wbrew tej sławnej zasadzie nieinterwencyi, którą monarchia lipcowa gdzieindziej, n. p. w Belgii i we Włoszech czynnie broniła. Na zachowanie się Prus w sprawie polskiej Francya dziwnie obojętnem i pobłażliwem okiem patrzyła: zniosła nawet, że Prusy zatrzymywały jej własnych kuryerów i jej depeze, pod pretekstem kwarantany — kwarantany dla kuryera nie przybywającego z zarażonej okolicy, tylko udającego się do niej! A jednak wystarczyłoby zapewne stanowcze tylko słowo, by Prusaków powstrzymać i do porządku przywołać. Sama Francya miała na to dowód w innej sprawie. Kiedy bowiem Prusy (pod koniec września 1830 r.) gotowały się już przekroczyć granicę belgijską, w pomoc królowi holenderskiemu, hr. Molé oświadczył wręcz posłowi pruskiemu, że ten krok znaczyć będzie wojnę z Francją. Wtedy gabinet berliński, acz zdumiony i rozdąsany, zwinął chorągiewkę i cofnął swe wojsko. Ale Ludwik Filip uważał, że niekoniecznie wszędzie i zawsze przestrzegać tej zasady nieinterwencyi. Mówił on: *Il faut pèsér les intèrêts, et mesurer les distances* ²⁾ — nie przeczuwając, że ten błąd co do »wagi« i co do »miary«,

¹⁾ Mowa jego w Izbie deputowanych 27. stycznia 1831 r.

²⁾ *Thureau-Dangin*: »Histoire de la Monarchie de Juillet«, tom I, str. 164.

jeszcze za życia własnych jego synów, tak srodze zemści się na samej Francyi.

»Byłoby to wielkiem szczęściem i wielkim zaszczytem dla Europy, żeby kwestya polska mogła być podjęta i uregulowaną w roku 1831, tak, jak to się stało za sprawą belgijską« — powiada sędziwy statysta francuski ¹⁾; ale, niestety, rząd francuski nic w tym kierunku nie uczynił.

Cierpiąc krzyczącą interwencyę Prus na korzyść Rosyi, Francya ze swej strony nie próbowała nawet pomódz nam podobnymi sposobami, jakimi Prusy tak dotkliwie nam szkodziły. Jak nie otrzymaliśmy od Francyi zastosowania względem nas zasady nieinterwencyi, tak samo odmówiła ona uznania naszego rządu narodowego, czemby dodała była wagi naszym negocyacyom, wzmocniłaby zaufanie publiczne do rządu narodowego, w nas samych podniosłaby ducha, powstrzymałaby nieprzyjazne kroki Prus i Austrii, ośmieliłaby przychylnie nam żywić i otworzyłaby stosunki i komunikacye z Europą. W każdym razie mogło to być podnieść sprawę i dać jej pomyślniejszy obrót. Nawet i na żądania nasze posilków pośrednich, Francya odpowiadała stanowczą odmową. Prosiliśmy o wypłaty na rachunek należitości, jakie Polska od czasów wojen napoleońskich, na mocy istniejących traktatów, rościła od Francyi — nie otrzymaliśmy. Prosiliśmy, aby rząd francuski gwarantował zaliczkę, którą bankierowie gotowi byli uczynić na podstawie i na rachunek wzmiankowanych należitości — nie otrzymaliśmy. Prosiliśmy o pomoc w broni — i tego nie otrzymaliśmy...

Dnia 9. sierpnia prezes gabinetu francuskiego oświadczył w Izbie, iż Polska niczego od Francyi spodziewać się nie powinna i nie może.

Agenci nasi w Paryżu, generał Karol Kniaziewicz i kasztelan Ludwik Plater, wyczerpawszy wszelkich sposobów przedstawień, domagania się i próśb, podali 3. września 1831 roku

¹⁾ Guizot: »Memoires«, tom II, str. 272.

ministrowi spr. zagranicznych memoryał, streszczający czynione wszystkie przez nich usiłowania i wykazujący, że rząd francuski uwiadomiony o wszystkim, nawet najdrobniejszej nie udzielił nam pomocy — i tem urzędowanie swe zamknęli.

Oto jest tekst dosłowny tego dokumentu:

»Po sześciu miesiącach prac, usiłowań i kroków bezskutecznych, znalazłszy się na tym samym punkcie, co w chwili przyjazdu do Paryża, i w skutek tego niepowodzenia, widząc stan ojczyzny bardziej zachwianym i krytycznym niż kiedy, niżej podpisani, w interesie najświętszej sprawy, której służą, stosując się do rozkazów swojego rządu i chcąc złożyć z siebie wszelką odpowiedzialność, mają zaszczyt przełożyć Jego Excellencyi Hr. Sebastiani, ministrowi spraw zagranicznych, treściwy wykaz wszystkich żądań swoich i odpowiedzi, jakie od rządu francuskiego otrzymali. Wykaz ten rzetelny i szczery posłuży za dowód, iż z naszej strony nie szczędziliśmy ani przełożeń, ani prośb, ani nalegań, i że nie naszą będzie winą, jeżeli pomimo wypadków lipcowych i korzyści, jakie światu przynieść mogły, pomimo cudów waleczności ze strony Polaków, pomimo ich wysień i poświęcenia, Polska oblana krwią walecznych swych synów, raz jeszcze straconą będzie dla Europy i wolności, których przedmurzem tak łatwo stać się mogła, i wpadnie znowu pod ohydne jarzmo autokraty.

»W cztery miesiące po chlubnych dniach lipcowych, w listopadzie 1830 roku, Polska podnosząc oręż w celu odzyskania swej niepodległości, wezwała zaraz pomocy Francyi, jako mocarstwa, którego naturalne, najbliższe i najserdeczniejsze interesa zdawały się wymagać, aby kraj nasz mógł odzyskać i utrzymać polityczną niezależność swoją. W tym celu już w miesiącu grudniu wysłany był P. Wolicki, a wkrótce potem, w ostatnich dniach stycznia, podpisani też samą otrzymali misję.

»Żądanej pomocy mogła Francya udzielić:

1. Za pomocą pośrednictwa.
2. Otrzymawszy neutralność sąsiednich Polsce mocarstw.

3. Jawnem wystąpieniem.

4. Pośrednio zasilając polskie powstanie.

»Wszystkich tych rodzajów pomocy zarówno bezskutecznie domagali się i P. Wolicki i niżej podpisani. — Przyjazd tych ostatnich do Paryża przypadł jednocześnie z odebraną tutaj na drodze oficjalnej z Berlina wiadomością, o kapitulowaniu Warszawy po bitwie pod Grochowem dnia 25. lutego. — Ministerjum francuskie wskutek tej wiadomości mając sprawę polską za zupełnie straconą, wręcz odmówiło wszelkiego rodzaju pomocy i poczuwało się jedynie obowiązaniem do prostego wstawienia się w celu złagodzenia skutków zemsty i gniewu. Po kilku dniach, gdy ta wiadomość okazała się zupełnie mylną, niżej podpisani ponowili wszystkie uprzednie żądania, i nie przestali nalegać na nie przy każdej zmianie sytuacji w Polsce, po każdym nowem zwycięstwie odniesionem nad Rosyą, przekonani, iż samo trwanie tak nierównej walki, skłoni nareszcie gabinet francuski do uwzględnienia choć w części tych żądań. Aby je lepiej przypomnieć ministerstwu, podpisani skreślą tu kolejne usiłowania swoje w celu otrzymania każdego rodzaju pomocy.

I. Pośrednictwo.

»Podpisani żądali go naprzód 6. i 8. marca od jednej Francyi, jako najbardziej interesowanej w popieraniu porządku rzeczy, wynikłego z tegoż źródła co jej rząd dzisiejszy. Gdy te kroki okazały się bezskutecznymi, domagali się zgodnie z poleceniem swego rządu pośrednictwa wszystkich mocarstw, uczestniczących w Kongresie wiedeńskim, nie wyłączając nawet Rosyi, jako strony obwinionej, w razie gdyby Polska jako strona powodowa wezwana i wysłuchana być miała. Nareszcie, kiedy Austria i Prusy wykazały jawnie nieprzyjazne dążności, podpisani spełniając rozkaz swojego rządu, zażądali 2. lipca od Francyi, aby podjęła się takiego pośrednictwa łącznie z Anglią, jako z mocarstwem europejskiem, któremu razem z Francją Polska powierzała swe losy. Żądania te poparte były kilku

notami podanemi gabinetowi francuskiemu, i nalegano na nie w licznych konferencyach mianych kolejno z tymże gabinetem. Minister francuski nie dając podpisanym żadnych pod tym względem nadziei, zalecał im przeciwnie, aby się Polacy sami z cesarzem Mikołajem układali, tak uczynił na konferencyi 16. marca, dodając, iż na teraz, Francya nie dla nas zrobić nie jest w stanie, że nie może dopomódz nam skutecznie i że należy tylko ubezpieczyć przyszłość. »Nie mogę ukrywać tego przed panami, mówił pan minister — jest to walka nowych zasad ze starami. — Rewolucya 29. lipca dała do niej hasło; rozszerzy się ona wszędzie, ale trzeba, żeby idee miały czas dojrzeć. Na czele tego ruchu stoi trzydziesto-dwu milionowy naród i inne za sobą pociągnie. Zyskacie wszystko, jeżeli zachowacie Królestwo. Nie można przyspieszać wypadków«. Drugi raz na konferencyi dnia 7. kwietnia p. minister oświadczył: »Żadne pośrednictwo nie pozyska tego, co możecie sami otrzymać, odnosząc się prosto do cesarza«. Nareszcie na konferencyi 28. kwietnia: »Powinniście korzystać z pierwszego najmniejszego zwycięstwa i rozpocząć układy bezpośrednio z cesarzem Mikołajem. Nie łudźcie się daremnie, żadne pośrednictwo wam nie pomoże«. Daremnie podpisani przekładali, że interes zarówno jak honor nie pozwala Polakom układać się z cesarzem Mikołajem, który zostawia im tylko jeden środek hańbiącego zdania się na łaskę, że Polacy walcą, aby być niezależni i połączeni, i że ten cel tak odpowiedny interesom Francyi, łatwo dałby się osiągnąć pośrednią nawet pomocą, ale że cesarz, zostawiony samemu sobie nigdy na to nie przystanie. — P. minister odpowiadał im zawsze, że to jest jedyny środek ratunku i tylko w razie gdyby Polska weszła na tę drogę, przyrzekał poparcie ze strony Francyi.

• Cztery miesiące przeszły na takich odmowach zawsze jednostajnych, i zaledwo dnia 23. czerwca p. minister wskazał podpisanym promyk nadziei, oświadczając: »iż zbliża się chwila, w której Polska wejdzie do polityki europejskiej i że miesiąc lipiec będzie dla niej stanowczym«. Nadzieja ta wzmocnioną

jeszcze została na konferencji 7. lipca; podpisani na długo przechowują jej pamięć, bo zdała się im być zorzą wskrzeszenia ojczyzny, a w ich przekonaniu miała być epoką w stosunkach Polski z Francją. Na tej konferencji p. minister komunikował im, nie pokazując jej wprawdzie, depeşe wysłaną z gabinetu francuskiego do księcia Talleyranda, polecającą mu wezwanie Anglii do wspólnego pokojowego i szlachetnego pośrednictwa, w celu zawieszenia kroków nieprzyjacielskich między Rosją i Polską, i wyjednania dla tej ostatniej bytu narodowego i politycznego. Jego Excellencya posunął życzliwość aż do oświadczenia podpisanym życzenia swego, aby Rząd Narodowy jak najprędzej o tym kroku uwiadomionym został, przez kurjera opatrzonego francuskim paszportem. »Chcę, powiedział, dodać im ducha, chcę, żeby się jeszcze trzymali przez dwa miesiące, bo tyle czasu będą wymagać rokowania«. Jakiż horyzont otwierał się dla Polaków, jaka szczęśliwa przyszłość rozpocząć się miała dla ich nieszczęśliwej ojczyzny! Któżby się spodziewał, że tak stanowcze zrazu wystąpienie nie będzie miało żadnego skutku, że Francya zamiast poprzeć go energicznie, da się zrazić oziębłością Anglii, która zajęta bitem reformy, oświadczyła, iż przed końcem jesieni zająć się Polską nie może, i za przyzwoite a zarazem godne siebie uznała, na los szczęścia oddać politykę i poruczyć losowi rozstrzygnięcie kwestyi tak ściśle związanej z najprzeważniejszymi interesami świata? Tak jednak Francya postąpiła, i odkładając dalszą interwencję aż do zimy, zamierzyła przyszłe zachowanie się swoje zastosować do wypadków, jakieby się przez ten czas wydarzyć mogły. Nie byłoż bardziej zgodnem z interesami polityki prawdziwie przezornej, wdać się w tę sprawę natychmiast, kierować wypadkami, poskramiać mocniejszego, i tym sposobem nie dopuścić wytępienia narodu, który ofiarami swojemi, nadludzkiem poświęceniem, męstwem i zdumiewającą wytrwałością dowodził Francyi, iż byłby dla niej wiernym i użytecznym sprzymierzeńcem, i który według jednomyślnego zdania wszystkich ludów, stał się godnym zająć na nowo miejsce swoje

w wielkiej rodzinie europejskiej? Oto jak wszystkie usłowania podpisanych w celu otrzymania pośrednictwa Francji, nie zdołały zapobiedz dzisiejszemu przesileniu, z którego tylko Bóg i własna waleczność wyrwać Polskę może.

II. Neutralność sąsiednich Polsce mocarstw.

»Przekonani, że najważniejszym ze wszystkich zleconych im zadań, była ciągła baczność na postępowanie Prus i Austrii, wstrzymanie ich od wszelkiej interwencji i zmuszenie do zachowania najściślejszej neutralności, podpisani nie przestali pod tym względem domagać się od Francji, naturalnej a tak łatwej do otrzymania pomocy, a domagali się jej nieustannie, od 6. marca aż do dnia dzisiejszego, czego dowodzą liczne konferencje z gabinetem francuskim i kilkanaście not podanych mu w tym przedmiocie. Żaden krok gabinetu francuskiego w celu otrzymania tak pożądaney neutralności, nie był podpisanym komunikowany, skutek jednak aż nadto wyraźnie przekonywa, że nie przedsięwzięto skutecznych w tej mierze środków, że opuszczono Polskę na tem nawet polu, i nie chciano korzystać z żadnej okoliczności, aby zapewnić Polakom neutralność, która jedna uratować ich mogła. Kiedy Francja szczerze tego chciała, Prusy były zmuszone szanować Belgię, bo nie mówiono im wtenczas, iż Francja odradza interwencyę, ale zapowiedziano stanowczo, że jej nie ścierpi. Gdyby taż sama Francja, tymże samym Prusom zapowiedziała dzisiaj, iż nie zniesie ich systemu fałszywej neutralności, cały przebieg wojny naszej, a szczególnie ostatni jej peryod, wzięłby inny kierunek, Królestwo polskie byłoby z wojska opróżnione i armia nasza od czterech miesięcy byłaby nad Dnieprem i Dźwiną. Gdyby gabinet francuski to uczynił, Polacy byliby mu winni wybawienie; ale ministeryum nie doprowadziło Prus do neutralności, ani na początku kampanii, ani przy załatwieniu interesów belgijskich, ani nawet wtenczas, kiedy najście króla holenderskiego wznawiało wszystkie kwestye i dawało Francji prawo i możność, w nagrodę pokoju jaki zapewniała Europie, i po-

parcia gabinetu Greya, domagać się od Anglii, aby łącznie z nią wymogła na Prusach stanowcze zachowanie prawdziwej i szczerzej neutralności. Obecnie postępowaniu Prus względem nas przypisać należy nasze nieszczęścia, a gdyby nowe klęski dotknąć miały sprawę, która w innym razie pewno byłaby zwycięską, odpowiedzialność za to spaść musi na rząd pruski.

III. Jawne wystąpienie.

»Ministryum nie kryło nigdy tak przed podpisanymi jak przed Francją i całą Europą, obawy wplątania Francyi w wojnę ogólną — to też podpisani dopraszali się tylko o to, co Francya uczynić mogła nie narażając się na nią. Było zadaniem samej Polski wyjść zwycięsko z walki, którą rozpoczęła. Domagali się więc podpisani ogłoszenia i utrzymania systematu nieinterwencyi, a dowiedzionem było wyżej, że Francya mogła to uczynić, nie narażając ogólnego pokoju. Domagali się później uznania Rządu Narodowego, tego rządu, który od kilku miesięcy stoi na czele kraju nie spotykając żadnych przeszkód, i który nietylko znajduje posłuszeństwo w prowincjach składających Królestwo 1815 r., ale którego rozkazom poddają się ochotnie wszystkie prowincye rosyjskiego zaboru, przy pierwszej możliwości oświadczenia swej woli. Uznania takiego przez rząd francuski domagali się podpisani w sposób wyraźny i stanowczy, jak tego dowodzą noty z dnia 19. maja i 10. czerwca, równie jak wszystkie z tego powodu konferencye. Uznania tego spodziewały się wszystkie ludy Europy, oczekiwała Turcya, pragnęła najgoręcej cała Francya; zostałoby ono w najgorszym razie przynajmniej pomnikiem uczciwości i sprawiedliwości, a żadną miarą nie mogłoby Francyi wmięszać w wojnę z Rosją, z Rosją odległą od niej o 400 mil przeszło, osłabioną przez wojnę turecką i polską, przez cholere, zamieszki wewnętrzne, zły stan finansów i floty, z Rosją, mogącą tak łatwo mieć na karku Szwecyę i Portę Ottomańską. To osłabienie i upadek Rosyi uznawał sam hrabia Sebastiani na konferencyi 24. lipca.

»Potęga Rosyi, powiedział wtenczas podpisanym p. minister,

potęga, która dotychczas wzrastała ciągle, zacznie się teraz stopniowo zmniejszać; możecie klęsk doświadczyć, ale i nie-szczęścia wasze nie wyjdą jej na pożytek. Zupełnie pewną nie jest Małorosyi, zaburzenia w Petersburgu trwały aż do 9., i cesarz musiał powracać raz drugi, chociaż ludność była bezbronna«. Trzeba więc było, tej tak wyraźnie upadającej Rosyi, zadać cios ostateczny przez uznanie rządu polskiego. Uznanie to rządu istniejącego *de facto*, nie rozstrzygało jeszcze nawet kwestyi prawa, dodałoby tylko wagi negocyacyom, ożywiłoby do najwyższego stopnia ducha Polaków, zmusiłoby Prusy do uwzględnienia systemu nieinterwencyi, otworzyłoby przerwana komunikacyę Polski z Europą przez Prusy, i zmusiłoby samo przez się Rosyę do restytucyi nakazywanej przez prawo i sprawiedliwość, a którą »stosownie do okoliczności mogły jej wynagrodzić odpowiednie układy«. Podpisani natarczywie dopominając się takowego uznania, żądania swoje opierali na własnem p. ministra przekonaniu o słabości Rosyi, na opinii Izb, na petycyach podpisywanych w tym celu we Francyi; oczekiwali też najzupełniejszego skutku swych usiłowań, kiedy ministeryum z mownicy odmówiło stanowczo takowego uznania.

IV. Zasiłki pośrednie.

»Zasiłki pośrednie mogły jeszcze zbawić Polskę nie narażając Francyi. Podpisani żądali ciągle podobnych zasiłków od gabinetu francuskiego, a szczególnie w notach z d. 17. czerweca, 2. i 6. lipca. Odmówiono im ich również stanowczo. Żądali wypłat na rachunek pretensyj, jakie Polska na mocy istniejących traktatów może rościć do Francyi. Wyrzili to w notach z dnia 11. i 21. lipca. Gabinet i tego ich żądania nie uwzględnił. Żądali wtenczas, aby rząd francuski gwarantował zaliczkę, jaką bankierowie paryscy gotowi byli w takim razie zrobić, na rachunek tychże samych pretensyj. Równaż odmowa. Żądali pomocy w broni, i ta im odmówioną została. Nareszcie prezes rady ministrów, mową mianą w Izbach prawodawczych dnia 9. sierpnia, rozprószył wszystkie nasze nadzieje, oświad-

czając, iż Polska niczego od Francji spodziewać się nie powinna i nie może. Mowa ta powiedziana w chwili stanowczej, kiedy Polska potrzebowała rozwinięcia wszystkich sił swoich i całej energii, mowa ta zadała cios śmiertelny sprawie polskiej, odbiła się nad brzegami Wisły, wzniciła tam rozpacz i sama może przyspieszyła upadek Polski.

»Pomimo tych wszystkich usiłowań ze strony podpisanych, w całym przebiegu walki, rozpoczętej z Rosją tak wtenczas, kiedy powodzenie polskiego oręża i powstań na Litwie i Rusi pozwalało spodziewać się pomyślnego już rozwiązania, jak i w chwilach wątpliwego dla obu stron szczęścia, i naresztę wtenczas, kiedy położenie Polski stawało się coraz bardziej krytycznem, nic, nic zgoła nie mogło wpłynąć na zachowanie się gabinetu francuskiego względem Polski. Takie po sześciu miesiącach prac, usiłowań i mozołów boleśnie nabyte doświadczenie, przywiodło podpisanych do powątpiewania, czy słusznie przypuszczali, że istnienie i niezależność Polski łączy się z najbliższymi i najprzeważniejszymi interesami Francji, bo gdyby tak było, czyż ministerstwo francuskie pozostałoby głuchem i nieczułem na wszystkie przełożenia, domagania się i prośby podpisanych? Podpisani, opierając się na dotychczasowych krokach swoich, opierając się nawet na doświadczonych odmowach, głęboko dziś jeszcze przekonani, że istnienie Polski jest koniecznem dla dobra Francji i jej najżywotniejszych interesów, dla utrzymania pokoju i nowego systematu, który rozwinęła Francja w dniach lipcowych, uważają za swój obowiązek uczynić jeszcze jedną odezwę, niestety może spóźnioną, ale którą im nakazuje sumienie, chociażby dla usprawiedliwienia kiedyś siebie przed własnym rządem, przed narodem i przyszłością, która ich sądzić będzie. Mają więc zaszczyt zapytać gabinet francuski: jakiej i jakiego rodzaju pomocy udzielić chce rzeczywiście sprawie polskiej, kiedy i w jakiej porze pomoc takowa udzieloną jej być może — czy i kiedy Francja gotową jest pomódz nam, jednym ze czterech sposobów, jak wyłożyliśmy wyżej: pośrednictwem,

utrzymaniem neutralności sąsiednich Polsce mocarstw, jawnem wystąpieniem albo ubocznymi zasiłkami.

»Podpisani pochlebiają sobie, iż wkrótce pomyślną zaszczytą będą odpowiedzią; spodziewają się tego tembardziej, że chwila jest naglącą, i że zarówno w niej chodzi o interesa Francyi jak Polski. Gdyby zaś ministerstwo nie chciało im zapewnić pomocy niezwłocznej, ani określić nawet jej terminu, gdyby odmówiło wyjednania na sąsiadach naszych najzupełniejszej neutralności, podpisani taką odmowę musieliby uważać za zupełne opuszczenie. Ujrzeliby się zmuszonymi, stosownie do odebranych rozkazów, uważać misję swoją za zupełnie skończoną i pozostałoby im tylko zająć się własnem usprawiedliwieniem, którego materyały czerpaliby w aktach swojego urzędu.

Podpisali: *General Karol Kniaziewicz,
Hr. Ludwik Plater*“.

Wiadomość o kapitulacyi Warszawy doszła do Paryża zrana 15. września. Prefekt strasburski, otrzymawszy ją z Frankfurtu, przesłał ją telegrafem w kilkunastu słowach, do swego ministra; popołudniu ten sam prefekt potwierdził ją relacją, otrzymaną od rezydenta francuskiego w Wejmarze. Depesza była dokładniejsza, szczegółowsza i uchylała wszelką wątpliwość. Rząd dłużej jej nie ukrywał, i już tego samego wieczora rozeszła się po mieście. Nazajutrz rano urzędowy *Monitor* podał ją w następującej nader suchej i lakonicznej formie: »Depesza telegraficzna ze Strasburga uwiadomiła rząd, że Warszawa poddała się po dwóch dniach walki. Wojsko polskie cofnęło się w Płockie i zdążyło ku Modlinowi«.

Pierwszego dnia, jak zwykle pod wrażeniem wielkiego bólu, zapanowało jakby ponure przygnębienie; na wszystkich ustach było jedno tylko słowo: Polska! Ludność przesuwała się przez ulice w milczeniu.

Nazajutrz osłupienie zamieniło się w oburzenie. Wszędzie gromadziły się kupy ludzi, wybuchających przekleństwem i groźbą.

W Izbie zapanowało niezwykle poruszenie. Już po otwarciu posiedzenia dnia tego deputowani nie uciszali się i, w grupach zebrani, nie przestali rozprawiać między sobą. Na tej to sesyi hr. Sebastiani, minister spraw zagranicznych, krótką swą komunikacyę o wypadkach warszawskich, zakończył owem smutnej pamięci wyrzeczeniem: *L'ordre règne à Varsovie*. Na te słowa głośny szmer rozległ się w sali; w mieście odgłos ich stał się jeszcze głębszy. Już od rana w rozmaitych częściach miasta znać było wrzenie, które wieczorem przybrało znaczniejsze rozmiary. Masa ludu, zebrawszy się koło *Palais-Royal*, gdzie wówczas jeszcze król mieszkał, pociągnęła pod pałac ministerstwa spraw zagranicznych i tam zaczęła okna wybijać. Patrole piechoty, jazdy i gwardyi narodowej krążyły po ulicach i rozpraszały zbiegowiska.

Nazajutrz niektóre dzienniki wyszły otoczone czarną, żałobną obwódką; wzburzenie wzmogło się, okazywało się rozjątrzenie; gęste grupy stawały się liczniejsze, głównie na bulwarach, nad rzeką, około ministerstwa spraw zagranicznych i około *Palais-Royal*. Krzyczano: *Vive la Pologne! A bas la Russie! A bas le ministère, Vive la Republique!* W publicznym ogrodzie *Palais-Royal*, naprzeciwko kawiarni *Foy*, (istniejącej dotąd) zawieszono na drzewie odezwę, otoczoną czarną krepą i noszącą napis: »Bohaterska Polska, nikiemnie opuszczona, jest dla nas groźbą straszną. Obywatele! Nie czekajcie jej skutku! Do broni! W paru miejscach próbowano najść magazyny rusznikarskie; w innych zaczęto stawiać barykady. Na placu *Vendôme* tłum, poznavszy ministrów *Perrier'a* i *Sebastiani'ego*, rzucił się, by zatrzymać powóz, w którym jechali. *Stangret*, zaciąwszy konie, zdołał schronić się do przyległego gmachu ministerstwa sprawiedliwości — Wieczorem wielka część teatrów była zamknięta. Teatr *Vaudeville* od rana ogłosił, że dnia tego nie da reprezentacyi. W innych teatrach sama publiczność zmusza aktorów do zaniechania przedstawienia; tak n. p. w teatrze *Nouveautés*, ledwo zaślona się podniosła, zaczęto wołać: »Spuścić! Spuścić! Wyjdźmy!

Wobec nieszczęść Polski dziś niema przedstawienia». Głosy te wszczęte w krzesłach, rozeszły się po całym teatrze, póki kurtyna nie zapadła przy okrzykach: *Vive la Pologne! Vengeance!*

Wzruszenie w stolicy znalazło odgłos i na prowincyi, i tak mianowicie w Tuluzie tłum z tej okoliczności naszedł i zburzył do szczytu drukarnie i redakcyje dwóch dzienników karlistowskich, które ogłosiły były artykuły pod nadpisem: »Upadek Warszawy — Uciezka buntoników«. — Na ogół cała prasa francuska, z wyjątkiem tylko pism karlistowskich i kilku pism ministeryalnych, wyrażały z powodu naszego pogromu żal, oburzenie i gwałtowne napady na rząd i gabinet. Owóż w rozruchach, o których mówiliśmy, obok prawdziwej dla nas życzliwości ludności francuskiej działały i inne uczucia i pobudki. Zaciekłość stronnictw, sekciarstwo polityczne, duch propagandy rewolucyjnej, dążenia, które z Polską nie wspólnego nie miały, chciały zużytkować chwilę uniesienia umysłów, by pchnąć podnieconą ludność do szturm na nienawistną im władzę *du juste milieu*, obalić gabinet, a może nawet i tron nowy i jeszcze chwiejny. Ale rząd wystawił wszędzie znaczne siły; masy piechoty i kawaleryi biwakowały na placach i bulwarach i po czterech dniach rozruchy zostały stłumione.

Wszczęła się wtedy w Izbie długa dyskusya, w której rozwinięta przez Perier'a wielka energia odniosła zwycięstwo; po długich i burzliwych rozprawach, dnia 22. września Izba 221 głosami przeciwko 167, przyjęła porządek dzienny, wyrażający, »że jest zadowoloną z danych przez ministrów objaśnień i że ma zaufanie do ich troskliwości o godność Francyi«. Nieco później, kiedy lewica starała się rozbudzić jeszcze te bolesne wspomnienia i rzucić na gabinet krew Polski zamordowanej, Casimir Perier osadził ją na miejscu słowami: »Nie, panowie, nieszczęścia Polaków spadają nie na rząd francuski, ale na tych, co im złe rady dawali«.

A rząd francuski jakie im dawał rady...?

Wystarczyło tydzień czasu, by egzaltacyę zastąpiło znużenie i w Izbach i po za niemi ¹⁾.

Giełda, zatrwożona zawieruchą uliczną, wróciła do normalnego stanu i, uspokojona teraz co do Polski, znowu na nowo podnosić się zaczęła.

Tylko poeta ²⁾ ozwał się następującym, pałacym głosem:

Noble Soeur! Varsovie! elle est morte pour nous,
 Morte un fusil en main, sans fléchir les genoux,
 Morte, en nous maudissant à son heure dernière,
 Morte, en baignant de pleurs l'aigle de sa bannière,
 Sans avoir entendu notre cri de pitié,
 Sans un mot de la France, un adieu d'amitié!
 Cachons-nous, cachons-nous; nous sommes des infâmes;
 Que tardons nous? Prenons la quenouille des femmes;
 Jetons bas nos fusils, nos guerriers oripeaux,
 Nos plumets citadins, nos ceintures de peaux,
 Le courage à nos cœurs ne vient que par saccades;
 Ne parlons plus de gloire et de nos barricades;
 Que le teint de la honte embrâse notre front.
 Vous voulez voir venir les Russes... Ils viendront!
 ,

¹⁾ *Louis Blanc*, tom II, str. 484.

²⁾ *Berthélémy*, w piśmie tygodniowym »Némésis. Satire hebdomadaire«.

II.

Komitet centralny francusko-polski. — Zwiastun Emigracyi. — Pierwsi przybyli. — Gurowski. — Komitet Niemojowskiego, — Przygotowania przyjęcia Polaków. — Zabiegi przeciw Komitetowi Niemojowskiego. — Pierwsza broszura. — Obchód rocznicy 29. listopada. — Polacy liczniej przybywają. — Klub warszawski w Paryżu. — Obalenie Komitetu Niemojowskiego. — Radykalizm klubowy zwycięża. — Komitet Lelewela. — Jego organizacya. — Grzech pierworodny Emigracyi. — Pierwsza odezwa Komitetu Lelewela. — Wywieszenie hasła niezgody.

Już w pierwszych miesiącach powstania, od 28. stycznia 1831 r. istniało w Paryżu wielkie stowarzyszenie, zawiązane przez Francuzów na poparcie sprawy polskiej pod nazwą »Centralnego francusko-polskiego Komitetu«, złożone z 80 członków, w wielkiej części ludzi znanych lub znakomych. Prezesem jego był dawny towarzysz Kościuszki generał Lafayette. Skoro przyszła wiadomość o upadku Warszawy, wydał on cyrkularz do swoich filij po departamentach, wzywając je do podwójnej gorliwości. »Gotujmy się — wołał on kończąc — do przyjęcia, jeśli to stanie się potrzebnem, tych szlachetnych szczątków narodu, który zginął w naszej obronie. Niech przy naszych ogniskach odnajdą swoje ogniska, w naszej pięknej ojczyźnie, swoją drogą ojczyznę«...

Przewidywania Komitetu rychło sprawdzać się zaczęły

Któregoś dnia około 20. października 1831 r., w Paryżu, gwarną i ludną ulicą *Faubourg Montmartre*, szedł człowiek młody z ręką na temblaku. Z ubrania jego i szukającego spojżenia znać było, że to człek obcy, nie świadomy drogi. W tem

jakiś przechodzień, popatrzawszy na niego, zatrzymał się przed nim, odkrył głowę i zawołał głośno: *Honneur à la Pologne!* Cudzoziemiec uśmiechnął się smutnie i głową skinął. Wnet koło niego robi się tłum. Robotnicy w bluzach, przekupki w czepcach, ichmoście w kapeluszach otaczają go, tłoczą się, by mu ścisnąć rękę, i wszyscy wołają: *Brave Polonais!* — *Vive la Pologne!*

To było pierwsze powitanie wychodźstwa polskiego na bruku paryskim. Jak w krajach południowych pewne ptaki zwiastują zimę i słotę, tak ten zbłąkany powstaniec litewski w czamarce, z podwiązaną ręką, zwiastował Emigrację.

Rozprószone stado już nadlatywało.

Nasamprzód przybył do Paryża 24. października Bonawentura Niemojowski, ostatni prezes rządu narodowego; zastał on tu byłych członków misji naszej Kniaziewiczza i Platera. Z Niemojowskim razem przybyli Teodor Morawski, ostatni minister spraw zagranicznych, Andrzej Plichta, sekretarz rządu narodowego, poseł Kaszyc i Stanisław Kunatt, referendarz stanu. W kilka dni później (29. października) stanął nad Sekwaną Lelewel z Saniewskim, I. K. Ordyńcem i Wojciechem Kazimirskim; 2. listopada przybył Maurycy Mochnacki z bratem Kamilem.

Odtąd prawie codzień ktoś z Polaków przybywał. Z ramienia Komitetu francusko-polskiego, Leonard Chodźko zajmował się ich pierwszym przyjęciem i ulokowaniem. Hotel *Rossignol* przy ulicy *Croix des Petits Champs* zaludnił się Polakami; stanął tam z towarzyszami i Lelewel.

Między pierwszymi, którzy Lelewela powitać przyszli, był słynny wichrzyciel warszawski, Adam Gurowski, który już od marca siedział w Paryżu. Dostał się tu sposobem dość szczególnym¹⁾. W chwili popłochu, w nocy po bitwie grochowskiej, 19. lutego, uciekł z Warszawy do Kozłowa, wsi Skarzyńskiego, gdzie się u ekonoma ukrywał. Stamtąd

¹⁾ *Barzykowski.*

prosił ministra spraw zagranicznych Małachowskiego, by mu, jako ciężko skompromitowanemu, wyjazd za granicę ułatwił. Małachowski, widząc tu zapewne sposobność oddalenia z kraju jednego z najszkodliwszych warchołów, użył go niby jako kuryera, dał mu paszport, 3.000 złp. i zapieczętowaną, ale próżną kopertę do oddania misji polskiej w Paryżu, którą zarazem inną drogą ostrzegł, kto jest Gurowski i jak z nim zachować się należy. Z tego skorzystali Lelewel i koledzy klu-bowi i dali mu mandat »mieć baczne oko na kierunek sprawy, jaki jej za granicą nadawano przez zgubne działanie rządu ówczesnego«¹⁾.

Gurowski dziwnym sposobem, przez Prusy nie zatrzy-many przejechał, kopertę misji doręczył, ale potem już ża-dnych z nią nie miał stosunków dalszych. Poszedł on inną drogą, zwrócił się do kół rewolucyjnych, przedstawiwszy się im jako poufny reprezentant Lelewela, i w ich pismach jął umieszczać oszczerstwa na Rząd Narodowy. Wydał broszurę pod tytułem: *La cause Polonaise sous son véritable point de vue*, w której występował przeciwko L. Platerowi, członkowi misji naszej, i tak samo usiłował intrygować w Brukseli przeciwko Załuskiemu, kiedy ten tam jako ajent rządu naro-dowego przybył.

Lelewel, przybywszy do Paryża, wszedł zaraz przez L. Chodźkę w bliższy stosunek z Lafayette'm, zetknął się nieba-wem z członkami francuskiej opozycji parlamentarnej, jako też z wybitnymi osobami — zwłaszcza z Buchez'em — partyi republikańskiej, do których Gurowski drogę mu usłał.

Komitet centralny wezwania swoje do Francuzów po-nawiał. Znów tedy wołał: »Warszawa upadła... Minęła chwila wspierać Polaków polityką, ale nadeszła chwila okazać im braterstwo. Obywatele! proście, zbierajcie składki; potrzeby współobywateli (*concitoyens*) naszych Polaków gwałtowniejsze, niż kiedykolwiek; proście, czyńcie więcej jeszcze, niż dotąd:

¹⁾ *Rapperswyl*: »Ziór Chodźki«, tom 55.



JOACHIM LELEWEL u schyłku życia.

(Wedle współczesnego portretu. Fotografia J. Kriegera w Krakowie).

niechaj naczelnicy fabryk przyjmują naszych braci, niechaj im dają zajęcie; a robotnicy niech im otworzą swe szeregi; teraz są oni Francuzami« ...

Na spotkanie przybywających Polaków oraz do pomocy w przyjęciu ich przez miejscowe francuskie grona, Komitet centralny wysłał od siebie agentów do głównych, nadgranicznych punktów: do Metz delegowany został Michał Podcza-szyński, do Strasburga Konstanty Zaleski i do Valenciennes Ludwik Tarszeński.

I rząd Ludwika Filipa, ulegając opinii publicznej, zatur-bował się losem nadciągających. Na list, pisany przez generała Bema z Prus jeszcze w październiku, generał Pellet, dyrektor w ministryum wojny, odpowiedział, »że Francya do emigra-cyi zachęcać nie może; że jednak ci Polacy, którzy do grani-cy dojdą, dobrze będą przyjęci«. Zatem rząd francuski po-lecił swym poselstwom w Berlinie, Wiedniu i Dreźnie wyda-wać Polakom paszporta do Francyi i na ich pomoc przekazał fundusz do Królewca, Elbląga, Drezna i Frankfurtu n. M., a do prefektów i komendantów wschodnich i północnych de-partamentów rozesał instrukcye, nakazujące przyjmować na-szych, dawać im pomoc i kierować wojskowych do Avignon, a cywilnych do Chateauroux. Udawanie się przybywających do Paryża zostało wzbronione. Umysły nad Sekwaną nie były jeszcze uspokojone; knowania stronnictw anti-rządowych nie ustawały; policya wciąż odkrywała składy broni, drukarnie tajne i t. p. W takich warunkach rząd uważał za niebezpie-czne dopuścić do stolicy większą masę cudzoziemców, któ-rzyby mogli powiększyć w niej miejscowe żywioły fermentu.

Niemojowski niezwłocznie po swem przybyciu starał się zetknąć z rządem i pragnął widzieć się z prezesem ga-binetu; ale do tego nie przyszło, bo p. Casimir Perier wyra-źnie unikał tego spotkania. Po rozmówieniu się z Lafayette'm. postanowił Niemojowski utworzyć komitet w interesie roz-poczynającego się wychodźstwa. Celem jego ustanowienia dnia 6. listopada, zebrał on w swem mieszkaniu obecnych już

wtenczas Polaków w liczbie 26¹⁾ i ci zawotowali Komitet emigracyi tymczasowy (zwany też »Kaliskim«) z zadaniem »służenia pomocą przybywającym rodakom, ułatwienia im stosunku z obcymi komitetami, i wyjednania dla nich opieki rządu francuskiego«. Skromny ten program, czysto administracyjny, zmierzał do zaradzenia najnaglejszym potrzebom osobistym i żadnej akcji politycznej nie obejmował. Oświadczył bowiem Niemojowski, że to do wychodźstwa nie należy; że na to, by się publicznymi sprawami kraju zajmować, trzeba w samym kraju przebywać i nieustannie palec na pulsie jego trzymać.

Na członków tego Komitetu zostali wybrani: Niemojowski (20 głosami) prezes, Lelewel (19 głosami), Teodor Morawski (15 głosami), Franciszek Wołowski (12 głosami) i Kantorbery Tymowski (9 głosami) — a więc sami uczestnicy byłego rządu lub sejmu. Kniaziewicz nie chciał należeć do Komitetu, sądząc, że lepiej usłuży ziomkom, pozostając za jego składem. — W projekcie Niemojowskiego stanowiącym Komitet zastrzeżone było, że skoro do Paryża przybędzie 100 Polaków, Komitet ten »tymczasowy« zastąpiony będzie przez inny.

Wątpliwy bardzo był żywot tego Komitetu. Za ledwie stanął, wnet podniosła się przeciw niemu agitacya; mówiono, że ludzie, którzy się okazali niezdolnymi podczas rewolucyi i teraz podobnież sprawę tylko zepsuć mogą; oświadczano, że oczekiwanie na przybycie 100 rodaków może trwać bardzo długo i spowodować szkodliwe skutki; M. Mochnacki, wróg zawzięty Niemojowskiego, nader czynnie i gorliwie starał się o podko-

¹⁾ Obecnych na tem zebraniu było: Posłów 5: Niemojowski, Lelewel, Wołowski, Morawski, Tymowski. — Wojskowych 6: Jerzmanowski, Maciej Mielżyński, adjutant Chłapowski, Sznitkowski, Tarżeński, Feliks Wołowski. — Urzędników misyi zagranicznej 7: L. Plater, R. Załuski, K. Wodziński, L. Wodziński, Hoffmann, Chodźko, Ludwik Wołowski. — Urzędników administracyjnych 2: Plichta, Kunatt. — Dziennikarzy 5: Gurowski, Saniewski, M. Mochnacki, K. Mochnacki, Ordyniec.

panie jego Komitetu. Już dnia 18. listopada ukazała się bezimienna, pióra Mochnackiego broszura, pod napisem: »Do rodaków bawiących w Paryżu«, z jadowitem ostrzem, zwróconem na prezesa tymczasowego komitetu i »mężów kaliskich, przybyłych do Paryża w czerstwości zdrowia i sile lat męskich«. »Kaliszanie — powiedziano w niej dalej — zgubili Polskę w Polsce; czyż z tego wynika, że jej mają szkodzić pod obcem niebem«? Był to pierwszy strzał owej wojny domowej na druki i świstki, która się następnie w Emigracyi na długie lata zapaliła. W kilka dni potem wydał Gurowski drugi pamflet z napaścią na Niemojowskiego z powodu, że był przeciwnym publicznemu obchodowi zbliżającej się rocznicy powstania, twierdząc, że Polacy znajdujący się w Paryżu, jako tułacze, żadnego politycznego celu mieć nie powinni.

Komitet Lafayette'a sprawę obchodu jednak pogodził, biorąc na siebie urządzenie uroczystości. Zebraniu, wieczorem 29. listopada 1831 r., w sali przybranej we francuskie, amerykańskie i polskie chorągwie, prezydował sam Lafayette, w mundurze 1-go grenadyera gwardyi narodowej warszawskiej, mając obok siebie Niemojowskiego i Samuela Howe, prezesa Komitetu amerykańskiego. Ten ostatni odczytał adresy swych ziomków z Nowego Yorku i Bostonu i złożył dwie chorągwie, przeznaczone przez kobiety amerykańskie dla naszego wojska, ale przybyłe do Europy już za późno. Lelewel odpowiedział mową dziękczynną Komitetom francuskiemu i amerykańskiemu i w zakończeniu ofiarował im kokardę ze strzępów piewszej chorągwi, zdobytej przez powstanie na nieprzyjacielu.

Ale opozycja przeciwko Komitetowi tymczasowemu rosła szybko. Posłowie Zwierkowski i Sołtyk dali się do niej użyć, a Lelewel, według własnych słów jego, »ich działaniu służył«¹⁾. Jak w Warszawie wszedł do Rządu Narodowego i zdradzał

¹⁾ Zdanie sprawy z czynności Komitetu Narodowego. Paryż 1832. Strona 101.

go z Klubem, tak teraz, wszedłszy do Komitetu Niemojowskiego, zdradzał go z Gurowskim i Mochnackim i razem z tym ostatnim układał już projekt ustawy nowego, swojego Komitetu. Jednocześnie z pośród przybywających teraz codzień na granicę Francyi starał się ściągnąć¹⁾ do Paryża jak najwięcej współwyznawców politycznych, wypróbowanych klubistów, takich, na których głosy mógł liczyć. Udawanie się do stolicy było wprawdzie już wzbronione, ale za pomocą urzędników prefektury, pod paszportem na przybrane imię lub



GENERAŁ KAROL KNIAZIEWICZ.

z porozumienia z usłużnymi konduktorami dylizansów, udawało się niejednego sprowadzić do Paryża. Konstanty Zaleski, delegowany do Strasburga od Komitetu centralnego, gorący stronnik Lelewela, w tej sprawie był też nie mało pomocny.

Rychło więc zebrała się w Paryżu pokaźna liczba koryfeuszów klubu, wichrzycieli i owych rozprawiaczy warszawskich, co dymu prochowego nie lubili, ale zato po kawiar-

¹⁾ Patrz niżej, list M. Mochnackiego do Lelewela z dnia 29. lutego 1832 r.

niach walecznie o patryotyzmie perorowali. Ci wszyscy ludzie, szczególnie dbali o swe bezpieczeństwo, przed wszystkimi innymi umknęli z Warszawy, i bez szwanku z bruku warszawskiego między pierwszymi przybyli na bruk paryski.

Z owego hotelu *Rossignol* główna ich kwatera przeniosła się pod Nr. 3 na ulicy *Cordier* (dzisiaj *Cujas*) koło Panteonu, który zajęli od dołu do piątego piętra. Tam wieczorami, w co większych stancyach, zbierali się koledzy przy herbacie z arakiem i dla przypomnienia biesiad u »Honoratki« i w »Dziurce«¹⁾, grali sobie w faraonika. Tutaj wśród kłębow lukowego dymu dyskutowali o rewolucjonizowaniu Europy i... o obaleniu komitetu Niemojowskiego, złożonego z »obrońców konstytucyjnej legalności«. To też godziny jego były policzone.

Licniejsze już zgromadzenie, złożone z 87 obecnych, zebrane na wezwanie Niemojowskiego i w jego mieszkaniu, odbyło się 8. grudnia. Na marszałka powołany został poseł Walenty Zwierkowski, na asesorów Lelewel i poseł Antoni Przeciszewski, a na sekretarza poseł Zienkowicz, ale ten w ciągu posiedzenia wskutek osobistego zajścia porzucił pióro i salę opuścił; zastąpił go M. Mochnacki. — Niemojowski zagaiwszy posiedzenie, mówił naprzód o czynności »Komitetu tymczasowego«, ale widząc, jak rzeczy stały — sam oświadczył, że się ten Komitet rozwiązuje, i że on, jako jego prezes, składa poruczone sobie obowiązki. — Po nim zabrał głos Teodor Morawski i ostro odpierał treść owych wyżej wspomnianych broszur bezimiennych, nazywając ich autorów paszkwilarzami i oszczercami. Ale ci, choć obecni, rękawicy nie podjęli. — Z powodu twierdzenia Niemojowskiego, że wszelki komitet Polaków, zawiązujący się w Paryżu, winien mieć tylko charakter administracyjny i ekonomiczny, nie zaś polityczny, wszczęła się dłuższa dyskusya. W myśl Niemojowskiego przemawiali Morawski, Plichta, Kunatt, Władysław Plater; zbijali ją Czyński,

¹⁾ »Honoratka« i »Dziurka«, kawiarnie na Miodowej ulicy w Warszawie, ulubione miejsca schadzek rozprawiaczy podczas powstania.

Krępowiecki, Mochnacki, Lelewel, Gurowski. Opinia tych ostatnich zwyciężyła i ogromną większością została przyjęta.

Wtedy wedle zawczasu ułożonego planu Zwierkowski, jako prezydujący, wniósł gotowy już projekt organizacyi nowego komitetu stałego i ogólnych zgromadzeń. Po żywej dyskusyi założenie ich zostało zawotowane na podstawie spisane go »Aktu zawiązania«, opierającego się na wspólności historycznej Francyi z Polską, i stwierdzającego uroczyscie, że »naród francuski i polski łączy od wieków jeden interes, jedne uczucia«, że »oba te ludy zrozumiały dobrze, że byt jednego ściśle z bytem drugiego skojarzony« (*sic*).

Na drugim zgromadzeniu walnem, odbytem 15. grudnia (w mieszkaniu Sołtyka) dokonano ukonstytuowania nowego komitetu, który nazwany został: »Komitet narodowy, stały«; uchwalono jego organizacyę i wybrano do jego składu prezesa i ośmiu członków. Pod prezydencyą Lelewela zasiedli w nim: W. Zwierkowski, L. Chodźko, R. Sołtyk, Tadeusz Krępowiecki, Karol Kraitsir, Antoni Przeciszewski, Antoni Hłuszniewicz i Adam Gurowski. — Sekretarzem Komitetu został Waleryan Pietkiewicz, a podskar bim Karol Edward Wodziński¹⁾.

Z przytoczonych nazwisk widzimy, że do nowego komitetu paryskiego weszła, rzecz można, esencya klubu warszawskiego, a mianowicie: prezes jego Lelewel, dwaj wiceprezesi Zwierkowski i Sołtyk, oraz dwaj z najwybitniejszych jego członków, Gurowski i Krępowiecki. — Tak więc komitet, wyobrażający dawne władzy w powstaniu, zastąpiony został przez ludzi reprezentujących dawną, skrajną opozycyę; na miejsce opinij umiarkowanych weszły opinie rewolucyjne; w Paryżu otwierał się ciąg dalszy klubu warszawskiego z całym zasobem jego negatywnych, rozkładowych żywiołów.

¹⁾ W wyborze tym z 62 oddanych głosów Lelewel, Zwierkowski i Chodźko otrzymali po 55, Sołtyk otrzymał 52 głosów, Krępowiecki 44, Kraitsir 40, Przeciszewski 34, Hłuszniewicz 34, Gurowski 33, M. Mochnacki, mimo przeważnego i gorliwego udziału w obaleniu »Kaliszanów«, otrzymał tylko 13 głosów.

Nie bacząc na grunt chwiejny i niepewny, na którym stawał, nowy Komitet śmiało nazwał się »Stałym«; ale większa to była śmiałość przybrać nazwę »Narodowego« z przywłaszczeniem sobie prawa przemawiania w imieniu całej Polski, mimo to, że wyszedł on tylko z drobnej garstki pierwszych wychodźców, pospiesznie zebranych. Artykułem pierwszym swojej ustawy zakreślał on sobie nietylko zajmować się losem wypartych z ojczyzny, ale i »czuwać nad interesem narodowym«. Szczególnem dążeniem Komitetu miało być obok tego zsolidaryzowanie sprawy polskiej ze sprawą wolności, rewolucyi ogólnie-europejskiej i z jej usiłowaniami, po których oczekiwano blizkiego, powszechnego wybuchu.

Główne punkty organizacyi Komitetu i Ogólnych zgromadzeń były następujące:

»Komitet złożony z prezesa i ośmiu członków, przez Ogólne zgromadzenie wybranych. Prezes obierany jest oddzielnie jawnymi głosami. Komplet najmniejszy stanowi pięciu. Urzędowanie członków trwa, dopóki większość ogółu nie uzna potrzeby zmiany jednego, kilku lub wszystkich członków. Do tego potrzeba, aby zgromadzenie składało się z 81 członków. W innych razach stanowi komplet połowa, więcej jeden zapisanych na liście członków. Ogólne zgromadzenie, składające się z emigrantów, którzy ustawy komitetu podpisali, odbywa się dwa razy na miesiąc, 15. i 29. Zgromadzenie zamienia się w posiedzenie, na żądanie 10 członków. Wtenczas obiera się marszałka, który mianuje dwóch asesorów i sekretarza. W przypadku nagłej okoliczności dziesięciu członków może żądać nadzwyczajnego posiedzenia; w podobnym razie i prezes sam może je zwołać. Zgromadzenie kontroluje działanie komitetu, i odbiera od niego sprawozdania«¹⁾.

Komitet Niemojowskiego żadnych prawie śladów po sobie nie pozostawił; odbył zaledwie cztery posiedzenia i nie

¹⁾ Zdanie sprawy z czynności Komitetu Narodowego. Paryż 1832 roku, str. 30.

miał czasu rozwinąć szerszej czynności. Zaczął tylko zawiązywać stosunki z spółwycnańcami w Londynie, Dreźnie, Krakowie, Poznaniu, Lwowie i t. d. i 13. listopada podał do gazet obszerne, urzędowe objaśnienie o ostatnich wypadkach powstania, zawierające ostatni manifest Rządu Narodowego, wydany w Rypinie 26. września. — Po zbyt krótkiej próbie trudno osądzić, czy Niemojowski ze swym komitetem odpowiedziałby należycie zadaniu, i czy zdołałby stać się istotnie pożytecznym Emigracyi. Ale nie o to się tu pytano. Obalono Niemojowskiego dlatego, że wyznawał opinie umiarkowane, że był zwolennikiem monarchii konstytucyjnej. Miejsce jego zajęli rzekomi przedstawiciele republikańskich przekonań... Monarchista czy republikanin — co ta różnica miała wspólnego z naszym ówczesnem położeniem. Jakie znaczenie ta kwestya o formie rządu mogła w owej chwili mieć dla nas, pozbawionych jakiegobądź własnego rządu? Co za pożytek mógł wyniknąć z postawienia tej kontrowersy wśród garstki rozbitków?

Pierwszem urzędowem wystąpieniem nowego komitetu była odezwa wydana 25. grudnia 1831 r. »do wojowników polskich«. Był to rodzaj manifestu zwrócony do całego Wychochtwa.

Oto jest dosłowna jego osnowa:

»Wojownicy! Rodacy!

Jeszcze raz los rzucił ojczyznę naszą pod stopy zaciętego jej wroga. Jeszcze raz bracia nasi karki swoje giąć muszą przed władzcą niewolników, przed mordercą naszych swobód. Raz jeszcze na dłoni wolnego człowieka żelazo despoty wygniecie znamię poddaństwa. Jeszcze raz zbrodnią będzie nazywać siebie Polakiem. Taki los zgotowała nam niedołężność lub zdrada! Niedołężność lub zdrada! Bo gdzież kiedy tryumfem broni nieprzyjaciel nasz chełpić się może? Któreż pole świadkiem było wyższości ich męstwa, gdzież kiedy Polak pierzchnął przed Moskałem? A jednak upadliśmy! bo wasi przewodnicy nie wzbudzili w sobie tak jak wy wiary w zmar-

twychwstanie ojczyzny, bo zamiast przekonania we własnych siłach, zamiast ufności po tylu zwycięstwach, albo się na pośrednictwo obce oglądali, albo was z wrogiem, wbrew woli narodu, pogodzić chcieli. Ręce wasze skrępowała zwłoka; bo kiedy nieprzyjaciel w przestrachu zupełnego zniszczenia przed waszą uciekał pogonią, ocaliła go nieczynność nakazana: i ten, którego ramię wasze zagnałoby za brzegi Dniepru, nad brzegami Wisły pozostał. Później, jakby na ostudzenie tego ognia, co was do boju zapalał, pozwolono mu spokojnie przebyć Wisłę, rozlać się po kraju; i kiedyście chcieli z nim na otwartem zmierzyć się polu, jakby na szyderstwo waszego męstwa, kazano wam za wałami się bronić. Wówczas najbrudniejsza zdrada chwyta dogodną chwilę i rozdziela wasze siły. Choć rozdzielone, są jeszcze straszne; zdrada dokończa dzieło spłodzone w ciemnościach piekła i szydząc z najświętszych uczuć, was, ludzi wolnych, w kajdany oblec i w ręce oprawców wydać pragnie. Zadrżały serca wasze przed obrazem tej okropności. Jakto! sromota na czole Polaka! Nie! Można mu stargać najświętsze jego węzły, można krew jego roztoczyć, ale go hańbą zmazać nie można. Przenieśliście wygnanie nad sromotę, poszliście żyć na obcej ziemi; bo tam, gdzie wasi ojcowie wolnem tchnęli powietrzem, wybyście niewolnikami byli. Wzrok wasz za każdym krokiem spotykałby panów szydzących z waszej męczarni. I tę ziemię tyran Polaków kazałby wam ojczyzną nazywać, kazałby całować ręce krwią waszych braci zmazane, a siebie zwałby wybawcą od anarchii, demagogów, buntowników! Niema ojczyzny, gdzie niema wolności. Słońce nie świeci dla niewolnika, ziemia się dla niego w zieloność nie stroi, pokarm, który spożywa, w truciznę się zmienia. Przed tym pokarmem uszliście bracia! Czarny kawał chleba, woda ze strugi czerpana, prędzej się w życiodawcze zamienia soki, kiedy je łzami cierpienia na widok hańby oblewać nie trzeba. Lecz odetchnijmy pod ciężarem tych wspomnień, rozjaśnijmy widownią przyszłości i myśli nasze ku błogiej podnieśmy nadziei. Czy słyszeliście ludów Europy i Ame-

ryki błagalne za naszą sprawą modły? czy słyszeliście dziś jeszcze pochwalne dla was pienia? Wszędzie brzmi dla was głos czci i podziwu, wszędzie się gościnne przed Polakiem otwierają progi, bo szlachetne jest jego tułactwo. I w tem tułactwie wytrwajmy: niech to ostatnią próbą męstwa naszego będzie. Narodów wytępić nie można. I my nie zginęliśmy! Nie zginął nasz język, obyczaje, religia; nie zginęła pamiątka naszej wielkości, pamiątka władztwa polskiego nad tymi, co dziś naszą przygnietli ojczyznę. Jeszcze rdza nie stoczyła polskiego żelaza, jeszcze koń polski zarży pod ulubionym wojownika ciężarem, pod dzidą ułana i krakusa. Jeszcze i dla nas zaświeci gwiazda wolności. Powrót mściwego losu nie jest daleki. Nie wracajcie więc jak służalcy tam, gdzie jak zwycięzcy wkroczyć możecie. Nie wracajcie na ziemię zbrudzoną stopami Baszkira. Niech dłoń wolnego Polaka nie uściśnie dłoni służalca despoty. Bo przyjdzie ta chwila, w której głos trąby powoła was na ojczyste niwy. Tam otworzą się groby poległych braci naszych, a z ich kości wynijdą mściciele. Pójdziemy wywołać ich cienie, lecz z orężem w dłoni; bo inaczej wzrok ich nie zniósłby sromu naszego, a jęki ich oskarżałyby przed niebem braci, co nیکczemnością swoją spokojność ich grobową wzruszyli. Polska, Polska Jagiellonów, niepodległa, wolna; lub wieczna śmierć. — Oto jest hasło nasze!»

Jak widzimy, odezwa ta rzuciła gwałtowne, ciężkie potępienie na wszystkich, co mieli udział w prowadzeniu powstania, i którzy obecnie stanowili znaczący odłam Wychodźstwa. Nietylko niedołężność ciśnięto im w oczy, ale i zdradę. Zapewne, w każdej sprawie, na tych co stoją na czele spada pierwsza odpowiedzialność, i ci w których ręku powstanie tak smutno skonało, nie byli bez winy. Ale któż był bez winy? Zawinili wszyscy; a opozycya i klub warszawski odradzający się teraz w Paryżu w nowym Komitecie i jego Ogóle, pewno niemniej od innych. Nie do niego, zaiste, należało zasiąść na krzesła sędziowskim i głosić wyroki potępienia na

swoich wśród obcych. Ale nie — to nie był sąd, to nie był głos patryotyzmu — to był wyraz namiętnej nienawiści stroniczej, proste zadowolenie ducha partji. Jeśli komitet chciał, jak to sobie przypisywał, godnie reprezentować kraj w niedoli, »czuwać nad interesem narodowym i nad losem wypartych z ojczyzny«, to powinien był przede wszystkim dbać o to, by Emigracya, będąc wyrozumiałą co do indywidualnych pojęć o formach przyszłego bytu, była jedną, niepodzielną, zgodną co do głównego celu każdego Polaka. Tymczasem pierwsza uroczysta odezwa nowego komitetu była hasłem niezgody i rozdzielenia, była powołaniem wygnańczych szeregów do wojny domowej na polu tułactwa.

Zadziwia może niemało, że na czele podpisów u dołu tego aktu, piętnującego kierowników powstania, spotykamy imię Lelewela. Przecież on sam stał w pierwszym ich rządzie, przecież on sam był stałym członkiem owego pięciogłowego Rządu Narodowego przez cały ciąg jego trwania. A przez ten czas Lelewel nigdy nie starał się nadać rządowi inny kierunek, nigdy nie opierał się postanowieniom jego, nigdy swego zdania nie objawił, nigdy nie protestował. Jeśli Lelewel nie solidaryzował się z czynnością rządu, to jedna tylko przed nim stała droga: otwarcie z nim zerwać i złożyć urząd. Jeśli tego nie uczynił, to nie miał żadnego prawa wydawać wyrok potępienia na członków, z którymi do końca zasiadać nie przestał. Jakaż więc loika, jaka sprawiedliwość upoważniła Lelewela zrzucić na barki innych cały ciężar win, które on wspólnie z nimi podzielał.

W ten sposób na samym wstępie popełniony został krok błędny i nieszczęśliwy, który wpłynął stanowczo na charakter, kierunek i dalsze losy Wychodźstwa, i który słusznie nazwano jego grzechem pierworodnym. Realny jego interes został poświęcony duchowi partji, mrzonkom i doktrynom politycznym, które zwłaszcza na obcej ziemi, gdzie powinien nas być ożywiać jeden cel — być sługą kraju, przedstawiać

zdeptane prawa ojczyzny — nie miały dla nas pierwszorzę-
dnej wagi.

Krok ten niefortunny oderwał Emigrację od gruntu rze-
czywistości, od gruntu — rzecz można — patriotyzmu racyo-
nalnego i praktycznego, i wyniósł ją odrazu w dziedzinę
chmur i wichrów, w atmosferę przesiąkniętą elektrycznością, ro-
dzącą ciągle tarcia i burze.

III.

Siedlisko komitetu Lelewela. — »Ogół« paryski. — »Taran«. — Czynności komitetu. — »Znak Tułactwa«. — Odezwy. — Rozdawnictwo funduszów. — Brak powagi. — Niezadowolenia. — Konflikt z Bemem. — Przybycie Ledochowskiego i Zaliwskiego. — Niesnaski rosną. — Zarzuty na komitet. — Oszczerstwa. — Wniosek Bronikowskiego. — Gurowski i Krępowiecki, zakałają komitetu. — Rada przyjaciół. — Komisya rozpoznawcza. — Jej wnioski. — Ogół je przyjmuje. — Ogół je odrzuca. — Burza w Taranie i wniosek Płużańskiego. — Secesya. — Narodzenie się Towarzystwa Demokratycznego. — Zapełnienie luk w komitecie. — »Interwencya tarańska«. — Antyrządowe postępowanie Lelewela. — Ubytek funduszów. — Budżet na emigrantów. — Wyjątkowe na nich prawo. — Projekt wywędrowania z Francyi. — Emigracy przygnębiona nowem prawem.

Ów komitet francusko-polski, pod prezydencją Lafa-
yette'a, zwany Centralnym, o którym wyżej mówiliśmy, miał
swe siedlisko przy ulicy *Taranne*, pod Nr 12. Pod jego bo-
kiem, w tym samym domu, na trzeciem piętrze, założył swe
biuro i nowy Komitet lelewelowski, tuląc się jak pisklę pod
skrzydło matki karmicielki, i tam odbywał swe posiedzenia
przy drzwiach otwartych. Leonard Chodźko »grenadyer gwar-
dyi narod. warszawskiej i kapitan-adjutant generała Lafayette«,
należący do obu komitetów, stał się jakby urzędowym międz-
ynimi pośrednikiem. Agentem generalnym komitetu francuskiego
był p. Cassin, ciałem i duszą oddany naszym rodakom i świad-
czący im tysiączne usługi.

Na pierwszym piętrze domu, gdzie się mieściły oba
te komitety, znajdowała się sala wynajmowana na zebrania,

posiedzenia, odczyty publiczne różnych stowarzyszeń, jak np. Filhellenów, Saint-Simonistów, Towarzystwa przeciwko handlowi Murzynami i t. p. W niej też zaczął się zbierać polski »Ogół« paryski i odbywać co dwa tygodnie, czasami częściej, swe ogólne zgromadzenia. Tu tedy zabrzmiał »główny dzwon naszej babilońskiej wieży«. Nie okazały i nie obszerny ten przybytek nabył niebawem wśród Polaków powszechnego rozgłosu, pod pospolitą nazwą »Taran« (od nazwy ulicy), i zabrzmiał niezwykłą dotąd, nawet w zgiełkliwym Paryżu, wrzawą.

Zaraz po swem zawiązaniu komitet otworzył obszerną korespondencję; »w myśli kojarzenia w jedność działania ludzkości«, wysyłał listy do przychylnych nam komitetów we Francyi, w Niemczech i innych krajach, jak i do pojedynczych zwolenników Polski lub do »przyjaciół sprawy powszechnej«¹⁾.

Jedną z pierwszych czynności komitetu było podanie (29. stycznia 1832) do Izby petycyi, napisanej tonem katerycznym, z cierpkimi dla rządu wyrzutami. W niej wskazywał władzy, jak ma z Polakami postępować, protestował przeciwko rozmieszczeniu ich na prowincyi²⁾ i żądał utworzenia legionów polskich pod narodowymi znakami.

Wszyscy nasi, co szli do Francyi, marzyli o legionach. Ale żądanie ich utworzenia, wyrażone w petycyi z 29. stycznia, było przedewszystkiem niewczesne. Do sformowania legionu, potrzebni żołnierze — dotąd zaś we Francyi byli sami oficerowie polscy, a żołnierzy wcale nie było, bo rząd pruski trzymał ich u siebie lub wypychał ich w granice rosyjskie. Właśnie w tej porze wszelkie usiłowania Bema zmie-

¹⁾ Zdanie sprawy komitetu, str. 57.

²⁾ Mówiąc o wzbronieniu Polakom przybywania do Paryża, petycja wyraża się: »O swoją wolność dobijający się Polak znieść nie może podobnego niewolenia, opiera się takiemu zesłaniu, a więcej złorzeczy nieludzkości, jaką we Francyi wśród gościnnego ludu doznaje, aniżeli swemu nieszczęściu«. (Zdanie sprawy Lelewela, str. 49).

rzały do sprowadzenia z Prus do Francji jak największej liczby szeregowych wiarusów. Rzecz prosta, że sama wieść o podniesionej głośno myśli tworzenia legionów polskich, powiększyła w tym względzie przeszkody ze strony Prusaków. W Izbie zaś francuskiej petycja żadnego skutku nie odniosła. Większość oświadczyła, że na ziemi francuskiej tylko jeden sztandar wojenny powiewać może — sztandar narodowy francuski.

Do najwcześniejszych starań komitetu należały też zabiegi, żeby odnaleść należne Rządowi Narodowemu sumy, wydatkowane przez byłą legację naszą w Paryżu (na pożyczki osobom udającym się do kraju podczas powstania; jako zaliczki na broń, która na brzegi Żmudzi rzuconą być miała), a wynoszące około 75.000 fr. Celem ich dochodzenia komitet zgłaszał się do Niemojowskiego, do Teod. Morawskiego i do L. Platera, ale daremnie, bo owe fundusze nigdy nie zostały odzyskane.

Jak wiadomo Sejm na ostatniem swem posiedzeniu w Zakroczymie (18. września 1831) uchwalił ustanowienie Gwiazdy Wytrwałości«. Dziwna to była myśl tworzyć »Gwiazdę »Wytrwałości« w chwili kiedy wszystko trwać ustawało. Nie przysłała też ona do skutku. Ale dziwniejszy był pomysł wskrzesić tę dekorację na wychodźstwie, lub zastąpić ją projektowanym »Znakiem Tułactwa«. Nie znano dotąd odznaczenia za kapitulację i złożenie broni. W lutym 1832. »Ogół« paryski mieć je zachciał. Komitet, zgodny z żądaniem Ogółu, na posiedzeniu 18. lutego, powziął dziwną loiką sformułowane postanowienie: »Z uwagi, że Gwiazda Wytrwałości przeznaczona właściwie dla tych, co wytrwają aż do ostatecznego losów ojczyzny rozstrzygnięcia, zgodzono się na ustanowienie zupełnie oddzielnego znaku, »Znaku Tułactwa«, któryby służył samym tylko tułaczom polskim¹⁾. Cacko to miało się składać z żelaznej kotwiczki z Orłem i Pogonią. Sam prezes komitetu

¹⁾ Posiedzenie komitetu, rękopis w Zbiorach Raperswylskich.

wniósł (22. lutego) w tym przedmiocie referat, popierał go gorliwie, i kilkakrotnie nalegał na byłego prezesa Rządu Narodowego, by on uchwałę Zakroczymską, nie wiążąc się »urojonemi formalnościami« w życie wprowadził¹⁾. Na szczęście Niemojowski, oceniając niewłaściwość żądania komitetu, za-



JENERAŁ JAN NEPOMUCEN UMIŃSKI.

(Wedle sztychu z r. 1832).

dość mu nie uczynił. Śmieszność kreowania polskiej dekoracji na bruku paryskim, została nam oszczędzona²⁾.

¹⁾ Zdanie sprawy z czynności komitetu, str. 17.

²⁾ Później jeszcze, już po osiedleniu się w Brukseli, przysłała Lewelowi chęć wznowić utworzenie tej dekoracji. Wahał się tylko w wyborze wstążeczki. Ale Wal. Pietkiewicz, w liście z Tours, ostrzegwał, »że Francuzi i demokraci drwić z tego będą«.

Do czynności, do których komitet przywiązywał szczególną wagę, należało wydawanie odezw rozlicznych. Po odezwie z dnia 25. grudnia nastąpiły liczne inne: do Węgrów, do Niemców i ich komitetów, do Izby deputowanych francuskiej, do towarzystwa niemieckiego dla utrzymania wolności druku i t. p.; protestacya z powodu rozdawania krzyża *Virtuti militari* wojsku rosyjskiemu, protestacya przeciwko bezprawiom krwawym w Elblągu i Fischau i t. d., i t. d.

Głosy te cechował duch ogólnie-humanitarny, republikańsko-rewolucyjny. Wypowiadały one retoryczne ogólniki i naiwne iluzje o wspólności interesu narodów, o łączności ludów, bo »pociąg który kojarzy uczucia, przeświadczenie które ożywia działalność, przewidzenie przyszłości, zbliża umysły. Wszędzie ścisłejsze węzły krępują ludy...«¹⁾.

Realniejszą czynnością komitetu było rozdawnictwo funduszków, dostarczonych z kasy komitetu lafayettowskiego, a udzielanych wyłącznie tylko Polakom przebywającym w Paryżu. Każdemu, bez różnicy stopnia, dawano po 2 fr. dziennie, z dodatkiem po 15 fr. miesięcznie, na mieszkanie. Dystrybucję wykonywali L. Chodźko i podskarbi komitetu polskiego Wodziński, z pomocą Saniewskiego. Sam ten szafunek zasiłków dawał komitetowi lelewelskiemu znaczenie i kładł mu w ręce liczne sposoby oddawania istotnych usług rodakom, i zjednywania sobie popularności między nimi: najmował im stancye, opatrywał odzieżą i rozmaitym sposobem opiekował się nimi; tego jednak nie było dosyć, by pozyskać istotną i trwałą więźność wśród tak różnorodnych anormalnych żywiołów, które każdy rozgrom wytwarza, i z jakich się składała ówczesna kolonia polska w Paryżu. Nowy komitet narodowy nie posiadał w sobie powagi moralnej; krom prezesa, składali go ludzie bez szczególnych zasług, nie znani, albo nawet znani niechlubnie; jeden z nich, Krajsir, nie był nawet Po-

¹⁾ Z odezw komitetu do Niemców z 24. stycznia 1832. (Zdanie sprawy komitetu, str. 77).

lakiem. Przytem brakło mu zupełnej jednolitości; byli w nim członkowie względnie umiarkowani (Zwierkowski, Sołtyk), ale większość była radykalnie rewolucyjna. Nie upłynął jeszcze miesiąc od narodzenia się komitetu, a już niezadowolenia i niesnaski zaczęły się objawiać. Gurowski i Krępowiecki narzekali, że w nim sprawy odbywają się nie kolegialnie; że prezes sam lub z sekretarzem tylko decyduje. Ale i zewnątrz, po za komitetem, podnoszono już zarzuty; na ogólnych zgromadzeniach w »Taranie« odrazu zapanowały wrzaski, bezład i dyskusye bez drogi i celu, namiętne spory o przyczynach i winowajcach upadku powstania.

Na początku stycznia 1832. przybyli do Paryża generałowie Bem i Umiński. Bem przybiegł z Niemiec, by przekonać się, co rząd francuski o Polakach myśli, i szukać funduszów na sprowadzenie żołnierzy z Prus do Francyi. Obecność tego generała w owej chwili jeszcze bardzo popularnego, sprawiła niezwyčajne ożywienie wśród rodaków w Paryżu, tem bardziej, że z nim zawiązała pogłoska o 8000 żołnierzach naszych, mających wkrótce nadejść z Prus do Francyi. Bem udał się do księcia Orleańskiego i do ministra wojny, ale ci mu odpowiedzieli, że żołnierzy polskich sprowadzać nie mogą. Widział i inne oficjalne osoby, odbierał wszędzie ogólne, sympatyczne oświadczenia, ale napotykał też żywe uzalania na postawę, którą w obec sfer rządowych przybierał Komitet Lelewela. Obaj świeżo przybyli generałowie nie ukrywali o nim swej opinii, Bem zwłaszcza mówił z głośnem oburzeniem o jego samozwańczych uroszczeniach, a Ogół tarański nazywał »małżeństwem Honoratki z Jakobinizmem«. Na listu urzędowym komitetu, zapraszający go do miejsca swych obrad, nietylko, że się nie stawił, ale odpisał w sposób niezmiernie ostry, oświadczając, że w imieniu narodu mogą tylko działać wybrani jego reprezentanci, i odpowiedź swą kończył temi słowami: »Wojsko nie chce mieć żadnych stosunków z tymi, co tylko po brukach warszawskich i paryskich, dalecy od wszelkiego niebezpieczeństwa czas swój tracili i tracić umieją,

a korzystając z okoliczności, najświętsze poświęcenia narodu i chwałę oręzą sobie przywłaszczają i na dobro osobiste używają».

Na takie *dictum acerbum* Komitet mocno się obruszył; powstała mała burza; posypały się na Bema żądania eksplikacyi. Oficerów, prawdziwych wojskowych, Bem wnet zaspokoił, oświadczając, że ich dotknąć weale nie myślał, i że słowa jego wymierzone były tylko na oficerów brukowych, na wiochrzycieli klubowych. Nożyce się odezwały: Gurowski, Krępowiecki, Mochnacki, czując się szczególnie dotknięci, żądali satysfakcyi. Do rozprawy jednak nie przyszło, bo i oni, lubo Bem listu swego nie odwołał, wyzwania swe cofnęli. Gurowski mianowicie cofnięcie swe temi słowami tłumaczył: »Ponieważ większość ma to przekonanie, że dobro ogólne szkodowałoby na ostateczności, jakiej chwycić się chciałem, gdybym miał to nieszczęście uszkodzić osobę, która swe życie poświęcała dobru ojczyzny i która ma dalej być użyteczną tej wspólnej sprawie; proszę by wyzwanie z mej strony uczynione, zechciał uważać jako nie mające miejsca«¹⁾. Krew się więc nie polała. Bem, po wysłaniu pułkownika Kruszewskiego do Galicyi, by tam chroniących się wiarusów zebrał²⁾, nie znalazłszy w Paryżu środków do wykonania ulubionej swej myśli, śpiesznie znowu do Niemiec odjechał.

W krótko po jego wyjeździe przybyli wspólnie do Paryża Jan Ledochowski i... Zaliwski; Ledochowski, promotor »Reformy«, prześladowca Gurowskiego w Warszawie, zwolennik i narzędzie Skrzyneckiego — i Zaliwski, ulubieniec klubu, oszczerca Skrzyneckiego — na jednym wózku! Zadziwiła

1) Papiery generała Bema, w Bibliotece Polskiej w Paryżu.

2) Po ustąpieniu z Krakowa wojska rosyjskiego, 24. listopada, część żołnierzy wpartych przez Bertoletti'ego do królestwa, zaczęła stamtąd uciekać i przybywać w obwód Rzeczypospolitej. Wysłani przez Bema oficerowie znaleźli tułających się koło Krakowa kilkaset wiarusów, których, oporządziwszy jako tako, zdołali w lutym 1832. kolumnami do Francyi wyprowadzić.

wszystkich ta niespodziana komitywa tych dwóch bohaterów tak różnej wody. Ich przystąpienie do »Ogółu« i ich wspólne usiłowania pogodzenia przeciwników komitetu z jego adherentami, dało temu ostatniemu poturbowanemu napadem Bema, znowu niejakię wzmocnienie. »Ogół« paryski powitał Zaliwskiego jako największego bohatera powstania i wydał mu ucztę. Ledochowski w »Taranie« stanął zupełnie innym człowiekiem niż w Warszawie. Nagła zaszła w nim metamorfoza. Kiedy pierwszy raz przyszedł na zebranie »Ogółu«, Czyński wyrzucał mu jego reakcyjne postępowanie w Warszawie. Wtedy broniąc się krzyknął patetycznie Ledochowski: »Przeklinam i złorzeczę uprzywilejowanym, depcę przekłętę kasty i nienawidzę ciemniężycieli rodu ludzkiego. O! gdybym powrócił jeszcze do mojej ojczyzny, tymi samymi pazurami wydzierałbym oczy tej potworze, którą wy arystokracją nazywacie. Co monarchia! mam ją pod nogami, ona nie warta nawet wspomnienia...«

Jakkolwiekby niezadowolenie nie ustawało. Nawet do-brotliwy opiekun komitetu, Lafayette, odzywał się, że komitet i jego zapaleńce (*les ardents*), nie wiedzą sami czego chcą; sfery rządowe objawiały głośne niezadowolenie z postępowania jego. Bem ze swej strony, choć z daleka, nie przestawał napadać gwałtownie na Komitet; z Altenburga pisał do Lafayette'a z ciężkimi na komitet zarzutami i w tym samym sensie odzywał się do oficerów, już we Francyi znajdujących się, w odpowiedzi na otrzymany od nich adres.

Wychodźtwo jeszcze we Francyi się nie zebrało, a już wojna zapaliła się między »Bemistami« i »Lelewelistami«. Pociski Bema niepokoiły Lelewela. Podwajał on usiłowania, by je odeprzeć i byt swego Komitetu obronić. Ale w nim i koło niego niesnaski nie ustawały.

Sołtyk zupełnie się z niego usunął; Gurowski i Krępowiecki wciąż się dąsali, to niby wychodzili z niego, to znów wracali.

Znaleźli się w Paryżu i tacy, co opinij członków klubu warszawskiego i założycieli Komitetu paryskiego nie podzielali.

Z nimi na ogólne zgromadzenia weszła głośna opozycja. Powstawali oni nasamprzód przeciwko samej nazwie komitetu, twierdząc, że jest to nieusprawiedliwiona usurpacja nazwać się »narodowym«, przemawiać w imieniu Polski, na podstawie głosów kilkudziesięciu rodaków, dorywczo w Paryżu zebranych, w chwili kiedy ich kilka tysięcy do Francji nadciągało. Zarzucali również komitetowi, że niewłaściwie szafuje funduszami Komitetu centralnego; że je konfiskuje na utrzymanie swoich stronników w Paryżu, z wyraźną krzywdą reszty Emigracji¹⁾. Lelewel wprawdzie tłumaczył się, że komitet francuski sam rozporządza swymi środkami, ale wiadomo było wszystkim, że to się działo w porozumieniu z Lelewelą, według jego żądań i wskazówek. Owoż kiedy pierwszą potrzebą było podanie ręki biednym wiarusom w Prusiech, kiedy najżywszem życzeniem wszystkich było sprowadzenie ich, ile możności, do Francji i kiedy temu właśnie brak środków się sprzeciwiał — Lelewel wydawał pieniądze komitetu francuskiego na utrzymanie stukilkudziesięciu Polaków w Paryżu, których pobyt w tem mieście nie był ani potrzebny ani pożyteczny, a którym rząd ofiarował subsydia, byleby tylko na prowincję się udali. Było to więc istotne marnowanie wdowego grosza, na to tylko, żeby dogodzić duchowi partyi, żeby mieć pod ręką chór oddanej klienteli i nią zebrania tatarskie zapełniać.

Polacy wciąż napływali do Francji. Rząd gromadził ich na prowincyi, gdzie wkrótce zebrało się ich bez porównania więcej, jak w Paryżu. Wobec tego, Komitet Lelewela, postawiony głosami kilkudziesięciu zaledwie rodaków, znajdujących się w Paryżu, czuł że grunt, na którym stoi, zbyt ciasny i słaby. Należało go wzmocnić. Ale o zarządzeniu nowych,

¹⁾ Na upomnienie się Podczaszyńskiego, delegowanego w Metz. o pomoc dla przechodzących tamtędy rodaków, Lelewel odpowiedział mu urzędowo, że fundusze komitetu lafayettowskiego przeznaczają się wyłącznie dla Polaków w Paryżu. W skutek tego Podczaszyński zerwał stosunek z komitetem Lelewela.

ogólnych wyborów na komitet rozszerzony, Lelewel nie myślał. Starano się więc o zwiększenie liczby adherentów drogami bocznymi, namową i indywidualnem werbowaniem. W tym względzie byli bardzo czynnymi ajenci komitetu, wysłani na granicę, do Metz i Strasburga. Na progu ziemi przytułku czyhał na wygnańców drapieżny duch partji.

Między tymi wysłannikami komitetu odznaczył się gorliwością w łowieniu stronników Konstanty Zaleski w Strasburgu — głowa zapalona i niespokojna, ciałem i duszą oddany Lelewelowi. Przybyszów naszych ujmował drobnymi usługami, prowadził do kawiarni *Au Miroir*, gdzie głośno rozprawiano o rewolucji w Niemczech i we Francji, zbierał ich u siebie, nauczał, przedstawiał Avignon w barwach najczarniejszych, namawiał, by tam nie szli, budził nienawiść do rządu francuskiego i zaklinał, by nie słuchali Kniaziewicza i Bema; lecz z drugiej strony przekonywał, że jedyną nadzieją Emigracyi jest Lelewel i jego Komitet, że Lelewel tylko zasługuje na zupełne zaufanie, że on tylko ma związki i »on tylko robi, że będziemy narodem«.

W końcu podawał gotowe adresy do Lelewela z oświadczeniem uznania i przystąpienia do jego komitetu, i na prędcę brał na nie podpisy tego i owego olśnionego rodaka. W ten sposób — jak sam donosi Lelewelowi — »śród odmętu potrzeb, wymagań, niedostatku i walki z chęcią zbytkowania, zaradzam i pieniężnym potrzebom i politycznym naszym staraniom«. To natarczywe werbowanie w interesie wyłączonej partji, to podchwytywanie podpisów od nowicyuszów, nie obeznanych jeszcze z okolicznościami, dawało też powód do wyrzutów i skarg na postępowanie Lelewela i jego Komitetu.

O tym istnym »werbunku na popasie« mówi generał Sznajde, bawiący podówczas w Strasburgu, w liście (z 1. lutego 1832) do Kniaziewicza, »podają tu oficerom do podpisu przystąpienie do reprezentacyi narodowej, proponowanej przez komitet. Nie znam ani zamiarów komitetu ani jego widoków,

zatem wstrzymuję sąd, jednakże nie widzę potrzeby tak powyższego działania i podchwytywania podpisów w podróży. Czemuż komitet nie czeka aż się zbierze wielka nasza familia, a wtenczas dosyć czasu radzić i wybory stanowiąc, które daj Boże aby były szczęśliwe«.

Pierwszych stokilkadziesiąt Polaków, świeżo przybyłych do zakładu w Besançon, w piśmie do generała Sierawskiego z dnia 27. lutego 1832, żaliło się jeszcze dobitniej w następujących słowach: »Pierwszy krok na ziemię Francyi uczyniony zachwiał nasze zdanie o komitecie... Niezręczna misja w Strasburgu zgrozą nas tylko przejęła, kiedyśmy spostrzegli, że pierwszym jej usiłowaniem jest siać ziarno niezgody między nas, utworzyć partye, niszczyć zarody porządku, który jeden tak znaczną nas liczbę utrzymać tylko jest w stanie«.

Zbyt gorliwe, namiętne werbowanie stronników dla komitetu, pociągnęło za sobą posługiwanie się oszczerstwem — oszczerstwem niezręcznym wprawdzie i niedorzecznym, ale prowadzonym z pewną metodą, z wytkniętym celem dyskredytowania i bezczeszczenia wszystkich wybitniejszych i zasłużeńszych ludzi, znajdujących się zagranicą, i mogących pozyskać wpływ na umysły w Wychodźstwie. I tak, n. p. Niemcewicz zestarzały i niedołęga; Kniaziewicz robi tylko, co mu ministrowie francuscy każą, w przyjaznych stosunkach z ambasadą moskiewską, i chce być dyktatorem. Czartoryski udał się do Londynu, by przez metresę Lorda Greya wyrobić zwrot konfiskowanych majątków; ma tam dwa mieszkania — jedno bardzo skromne, gdzie przyjmuje Polaków, drugie okazałe, gdzie daje uczy znakomitym Anglikom i Moskalom; Bem chce zaprzedać Emigracyę do Algieru; 800.000 fr. od różnych komitetów zachował sobie. Rybiński kupił dobra w Prusiech za 200.000 talarów. Dembiński »uciekł z Litwy;« teraz chce wrócić do kraju i namawia do powrotu niższych oficerów. O Skrzyneckim wiadomo, że sprzedał Polskę za 8 milionów; odkrył to przecie Zaliwski i wyszedł na Podgórze, że Skrzynecki odebrał pieniądze, w baryłkach. -- Umiński wierzyciela,

któremu winien był znaczną sumę, a który się dopominał, obwinił o szpiegostwo, i kazał powiesić... i t. p., i t. p.

W samym więc zaraniu Emigracyi zawziętość stronnicza już się zapala, już namiętność zaciemnia sumienia, i nie wzdraga się chwycić za broń haniebną, jaką jest oszczerstwo.

Mówiono już w Paryżu o potrzebie zwołania nadzwyczajnego zgromadzenia dla ułożenia nowych ustaw i wyboru nowego komitetu. Jedni na miejsce Lelewela projektowali stawić generała Umińskiego, drudzy myśleli upoważnić obecnych posłów (było ich już wtedy w Paryżu koło 20) do wybrania od siebie komitetu; niektórzy wojskowi projektowali uformować osobny komitet, pod prezydencją Zaliwskiego, ale u innych ten ostatni już był tylko »zdrajcą«. Wyrastały coraz to nowe wnioski i projekty odnowienia lub zwalenia komitetu; zgromadzenia tarańskie pełzły na czeczych i niesfornych sporach i na burzliwych rozterkach.

W końcu przyszło do tego, że na jednym z ogólnych zgromadzeń (5. lutego) Ksawery Bronikowski wniósł przeciw komitetowi formalne zaskarżenie, w skutek czego na następnem zebraniu ogólnem (16. lutego), wybrana została komisya (Płuzański, Pułaski, Janowski, Czyński i Januszkiewicz) dla bliższego rozpoznania czynności komitetu.

Dotkliwsza może jeszcze dla Komitetu okoliczność zaczęła wyrastać: fundusze komitetu centralnego zmniejszały się — a to było źródło, z którego komitet lelewelowski czerpał i z którego poniekąd sam się żywił. Ten bowiem komitet płacił za niego komorne, oraz wydatki biurowe i pocztowe. W lutym, kiedy w Paryżu zebrało się do 180 Polaków, potrzebujących wsparcia, Lefayette ostrzegał Lelewela, że na utrzymanie tak znacznej liczby nie starczą mu środki, i zachęcał przeto, by Polacy, których bytność w stolicy nie jest koniecznie potrzebną, opuszczali ją i udawali się na prowincyę, gdzie im rząd subsydyja płacił, lub też, gdzie im gościnność prywatna pojedynczych obywateli, swe domy otwierała.

Już w początkach stycznia 1832 władze wzywały poszczególne wszystkich Polaków w Paryżu do przyjęcia rządowej pomocy na prowincyi; ale ten środek nie odpowiadał myślom komitetu Lelewela i tych, co się skłaniali do opuszczenia Paryża, uważano na zgromadzeniu tarańskim niemal za zdrajców. Gurowski piorunował na niepatriotyzm tych, coby chcieli opuścić stolicę i połączyć się z rodakami, już codziennie liczniej gromadzącymi się w Avignonie, Besançon i Chateauroux. W odezwie autografowanej wołał on: »Interes polski wymaga, żebyśmy wszyscy zostali w Paryżu. Uczynimy to, czego się obawia ambasada rosyjska, a nie będziemy potrzebowali rządowej jałmużny... Polacy w Paryżu są straszni dla cara, jak Annibal nawet w Azji, w tułactwie swoim był straszny dla Rzymian«.

Chodziło o zachowanie i utrzymanie w Paryżu ogniska agitacji, w oczekiwaniu »wielkich wypadków.« Do niechęci przeciw komitetowi przyczyniała się niemało obecność w jego składzie dwóch znienawidzonych ludzi, Ad. Gurowskiego i Krępowieckiego, którzy już z kraju wynieśli pogardzone imię¹⁾. Z tego powodu powstawały wciąż narzekania i głosy oburzenia. Otrzymały one nawet wyraz stanowczy na ogólnem zgromadzeniu 29. stycznia, na którym kapitan Skowroński uczynił formalny wniosek usunięcia z komitetu Gurowskiego i Krępowieckiego, będących główną przyczyną rozdwojenia i odstręczających wielu rodaków od Komitetu. Ale na ich obronę powstali Lelewel, Czyński, Płużański i Mejzner i wniosek ten odparli. Jednakowoż najbliżsi nawet przyjaciele Lelewela domagali się wykluczenia owych dwóch członków. Zwierkowski,

¹⁾ Oto jakie świadectwo daje o Gurowskim Barzykowski (II. 264): »Gurowski zły syn, wyrodek ojczyzny, łotr polityczny, hrabia i demagog, dumny i nikczemny, patryota i szpieg, wicherzył publicznie, poduszczał na klubie, a rankami i wieczorem wślizgiwał się do zamku, aby uwiezionym generałom rosyjskim doniesienia czynić«. Krępowieckiego zaś Bem, jego generał podczas powstania, w rozkazie dziennym ogłosił za niegodnego nosić mundur wojskowy.

kolega Lelewela w Komitecie, najzaufańszy jego powiernik, znajdujący się w początkach lutego w Lipsku¹⁾, pisze stamtąd do Lelewela: »ja tu nic nie zrobię (t. j. że nie zjedna opinii dla komitetu paryskiego), jeżeli komitet się nie zmieni co do niektórych osób (Gurowskiego i Krępowieckiego) ... Albo ja, albo oni muszą wyjść, bo inaczej mnie tu ten przeklęty nasz *juste-milieu*²⁾ nie uwierzy«. Drugi, dawny, jeszcze z kraju wielbiciel Lelewela, Podczaszyński, pisze mu z Metz, 25. lutego: »Coby powiedzieli Bemisći, żebym im pokazał moje raporta i twoje listy? — Porzuć te łajania, a lepiej objaśń Komitet, zamiast mu tumanić oczy urojeniami Gurowskiego. Obecność jednego wicherzyciela więcej szkodzi temu gronu, jak tysiąc wyraźnych nieprzyjaciół. Mówię o Gurowskim: ... Wypędźcie go z Komitetu«...³⁾.

Tych rad Lelewel nie usłuchał, i snadź przez wzgląd na poufne stosunki warszawskie i paryskie z Gurowskim, nie mógł czy nie chciał z nim zrywać. Ale ten, z podrażnioną pychą i złością, knuł już inne zamiary.

Komisya, wysadzona 16. lutego, obradowała tymczasem. Lelewel, proszony przez nią o niektóre objaśnienia ustne, jak powiada jeden z jej członków, Janowski⁴⁾ »zżymał się i wzbraniał się przyjść osobiście, i przysyłał Pietkiewicza, Hłuśnicwicza lub Chodźkę«. W końcu jednak stawił się, i po dwóch

¹⁾ W styczniu, sekretnie, za paszportem na imię Karola Schneidera, razem z Amerykaninem Howe wyjechał do Niemiec z celem sprowadzenia papierów sejmowych do Paryża, i pozyskiwania obok tego opinii przybywających Polaków dla komitetu lelewelowskiego.

²⁾ Ten przeklęty *juste milieu* był to komitet polski w Dreźnie, złożony z kilku posłów, wojskowych i t. p. — Komitet Lelewela na posiedzeniu 3. marca 1832. zdecydował nie wchodzić z nim w urzędowe stosunki »z przyczyny uległo-pacyfikacyjnego sposobu zapatrywania się jego na rzeczy ojczyste i obce«.

³⁾ Zbiór rękopiśmienny L. Chodźki w muzeum Raperswylskim p. t. *Annales polonaises. (Roczniki polskie)*. Tomy 55. i 56.

⁴⁾ Notatki autobiograficzne. Rękopis w Bibliotece Jagiellońskiej, nr. 4180.

tygodniach, na zgromadzeniu 3-go marca, komisya złożyła swój raport.

W nim przyznawała Komitetowi, że dobrą chęcią, pracowitością, gorliwością odpowiadał położonemu w nim zaufaniu, ale zarazem oświadczała, że Komitet nie pojmował wysokości swego powołania, że nie miał odpowiedniej śmiałości i siły, jako reprezentant wielkiej sprawy, która w tak ścisłym stoi stosunku z przyszłymi losami Europy, że obce nawet ludy »chwilowym upadkiem Polski zachęcają siebie nawzajem do odzyskania wydartych sobie praw człowieka, i wydają despotyzmowi, przesądom i nadużyciom stanowcze walki«. — Europa nas nie zna tak dobrze, jak my znamy siebie nawzajem. Trzeba więc było — mówiła dalej komisya — aby komitet, donosząc Europie o swoim wyborze, uczynił otwarte i śmiałe wyznanie wiary; z otwartością demokratyczną »należało powiedzieć, że do reprezentowania sprawy polskiej (*sic*) powołani zostali ci, których pragnienia nie ograniczała sama niepodległość kraju; lecz którzy usiłowali wrócić masom wydarte im prawa, i kilkunastoma milionami walecznych, niezwalczonych ludzi powiększyć europejskiego oświecenia siłę«. Zaniedbania podobnego wyznania wiary komisya przypisuje, że Komitet nie mógł »zawiązać z Europą ścisłych, rozległych politycznych stosunków«.

Na podstawie powyższych uwag komisya sformułowała kilkanaście wniosków, z których ważniejsze tu przytoczymy. Komisya żądała mianowicie:

— Aby »zgromadzenie narodowe« (t. j. zebranie tarańskie) poleciło komitetowi uczynić wyznanie przed Europą swoich politycznych zasad, i aby to wyznanie było szczere i śmiałe.

— Jeżeli komitet nie wszedł jeszcze w stosunki polityczne z narodami: angielskim, amerykańskim, niemieckim, hiszpańskim, włoskim, z Persją, z Turcją, z wyznawcami możeszowego prawa i z liberalistami rosyjskimi, ażeby jak najprędzej wszystkie te zawiązał stosunki.

— Aby nie zaniedbywał żadnego środka na przeszkodzenie nadużyciom i niesprawiedliwościom francuskiego rządu względem losu wojowników naszych, i aby od opozycji Izby deputowanych, jeśli się ta szczerze nie zajmie naszą sprawą, odwołał się do opozycji narodowej. (?)

Kiedy na tem zgromadzeniu komisya zaczęła stawiać swe wnioski, Lelewel, który jak wiadomo stanowczych oświadczeń nie lubił, cichaczem wysunął się z sali. Tymczasem zaś zgromadzenie, wysłuchawszy raportu z oznakami wielkiego zadowolenia, przyjęło dwa pierwsze (wyżej przywiedzione) wnioski prawie jednomyślnie a zatem uchwaliło uczynić »przed Europą wyznanie zasad politycznych szczerze i śmiałe«. Jakie miały być te zasady, to wynikało z dalszej dyskusyi i z oświadczenia, mianowicie: że, lubo sejm ostatni przyjął zasadę rządu monarchiczno - konstytucyjnego, uchwała ta jednak nieważna, bo sejm sam był nieważny, konstantynowski; że Polska inaczej powstać nie może i nie powinna tylko jako rzeczpospolita demokratyczna.

Pomimo entuzjazmu, z jakim wnioski komisyi na zgromadzeniu przyjęte zostały, już prawie nazajutrz okazało się, że wrażenie wynikłe z uchwały, było jakoś bardzo podzielone, że nawet pomiędzy tymi, co za nią wotowali, wielu nie brało jej zupełnie na seryo, i że niektóre jej punkty, jak n. p. postulat zawiązania stosunków politycznych z Persyą obudził powszechną wesołość i wywołał liczne humorystyczne uwagi. Lelewela ten odmęt rosnący mocno trapił.

Pisząc do Zwierkowskiego (4. marca)¹⁾ żali się, że życliwość dla komitetu zachwiana, okazaniem się licznem »oficerstwa« i »plotkami Bema;« że komitet centralny »bankrutuje«. Uskarża się mianowicie na Skowrońskiego, Zaliwskiego, Ledochowskiego, Bronikowskiego, Płużańskiego, Czyńskiego i na różne spory i wnioski, które mu dużo kłopotu robią²⁾.

¹⁾ Rapperswyl. Zbiór Chodźki. Tom 56,

²⁾ W odpowiedzi na te utyskiwania Lelewela, Zwierkowski (z Lipska 21. marca) przesyła przyjacielowi następujące rady: »Tajnie się ułożyć.

»Żądają wyznania wiary« — powiada w końcu — »Żadnych nie zrobię«.

I istotnie żadnych nie zrobił. Na następne ogólne zgromadzenie przybył znowu, z powodu protokołu zabrał głos i dłuższem przemówieniem, przełożeniem iż wyznanie wiary czynić można nie koniecznie słowami, ale i czynami, i że nie należy narażać się przed rządem francuskim, otrzymał, że zgromadzenie z równym prawie entuzjazmem, z jakim przyjęło »wyznanie wiary przed Europą« teraz tę samą uchwałę cofnęło i unieważniło.

Zahuczał straszliwie Taran. Przez dwa dni (15. i 16. marca) zawrzały zawzięte spory i dyskusye. Drugiego dnia Płużański podał w swoim imieniu i czterech kolegów, oburzonych »samowładnem i podstępnem zniweczeniem jednomyślniej decyzji Zgromadzenia«, rozległy, ale bardzo niejasno motywowany wniosek, żądający, by się »Zgromadzenie Narodowe«, (t. j. Ogół paryski) i komitet, jako działający pod zbyt umiarkowanym wpływem, jako nie posiadający jedności jasno określonych zasad, ani podstawy ogólnych wyborów, rozwiązał się i istnieć przestał, i zastąpiony został przez nowy komitet, złożony z ludzi, wyznających te same demokratyczne zasady«. — Gdy jednak zgromadzenie wniosek ten »zakrzyżowało« i odrzuciło, nie dopuściwszy nawet szczegółowej nad nim dyskusyi, Płużański, Pułaski i Janowski z Ogółu a Gurowski i Krępowiecki z Komitetu usunęli się i salę posiedzeń opuścili, z myślą założenia osobnego Towarzystwa, do czego już mieli wszystko przygotowane.

Za nimi wyszło zaraz kilkunastu innych członków, śród śmiechu, oklasków i ironicznych pożegnań zgromadzenia, które nie przeczuwało, że w tej chwili pod jego oczami staje się

tajnie działanie przedsięwzięć, a jawne musi tajnemu uleż. Oświadczyć poświęcenie miłości własnej, a jak dwóch ustąpi, reszta zostanie i głową ty zostaniesz; a głowę muszą członki słuchać, jeżeli dobrze zarządzi; wszak na krnąbrnych jest lekarstwo: perswazyja, wytrwałość, z początku mały opór, a nareszcie zupełne opanowanie«. (Zbiór Chodźki Tom 56).

coś, co będzie miało głębiej sięgające skutki; — było to bowiem narodzenie: »Towarzystwa Demokratycznego Polskiego«.

Nazajutrz, dnia 17. marca 1832. pierwsi jego założyciele, zebrali się w pięciu, zawiązali je formalnie, natychmiast przyjęli kilkunastu przystępujących członków, i rozpoczęli działać.

Zdawało się zrazu, że Ogół paryski oczyszczony z najskrajniejszych i z najniespokojniejszych żywiołów, wzmocnił się w opinii — ale w rzeczywistości sytuacja się nie uzdrowiła i nie polepszyła; pozostało to samo zbaczanie od celu, ta sama bałamutność w pojęciach, ta sama burza słów i wrzasków.

Komitet zapełnił luki, które w jego składzie zaszyły: na miejscu Sołtyka, który motywował swoją dymisyę »niedostatecznem uzdolnieniem«, wybrany został Erazm Rykaczewski; na zastąpienie Gurowskiego i Krępowieckiego, weszli Józef Zaliwski i stary Hube, referendarz. Po niedługim namyśle wystąpił z komitetu Krajtsir i przyłączył się do Gurowskiego i Krępowieckiego; powołany na jego miejsce Pac, wyboru nie przyjął.

Poczem sprawy szły znowu dawniejszym trybem. Zgromadzenia Ogółu schodziły jak przedtem na niesforem gaudulstwie i na pustych deklamacyach, sporach i uchwałach.

Na wieść, że w Badeńskiem zagrożona została wolność druku, i że na jej stłumienie, król bawarski ma wydać wojnę Księstwu Badeńskiemu, Komitet., w imieniu Ogółu paryskiego (na wniosek kapitana Mrozowskiego) wydał uroczyste oświadczenie (z dnia 24. marca 1832.) gotowości biedz z bronią w rękę do Badenii, by tam »walczyć w sprawie ludów« ¹⁾

Co prawda, wielka część Polaków w Paryżu wzięła tę odezwę z jej strony krotofilnej, śmiała się i nazwała ją żartobliwie »interwencją tarańską«; ale nasi przyjaciele w Niemczech żalili się na nią. O żadnej wojnie król bawarski nie

¹⁾ Zdanie sprawy komitetu, str. 66, 88.

myślał, a »interwencya tarańska« miała to w następstwie, że Polakom wciąż jeszcze przechodzącym przez środkową Europę, w Bawaryi zwłaszcza, zaczęto znów stawiać zwiększone trudności.

Narzekał Lelewel, że podczas trwania powstania »tchórzliwa legacya nasza w Paryżu, nie umiała niczego w ministerstwie wyjednać, a tym sposobem zamknęła nam porządkowe drogi, tak iż teraz nikt nie może się spodziewać, aby to ministerjum z reprezentacją waszą (t. j. z komitetem) znosić się chciało«¹⁾. Ale nie tchórzliwa legacya zamknęła Lelewelowi drogę do władz rządowych, tylko jego własne postępowanie. Sympatya dla Polaków we Francyi, z małymi wyjątkami, była ogólna, całego narodu, nie zaś jednego stronnictwa. Lelewel jednak, od przybycia swego ostentacyjnie łączył się tylko z opozycją, z republikanami, słowem z żywiołami wrogimi dla rządu, wyrażał się o nim pogardliwie lub z lekceważeniem. Był to ciężki błąd, bo nam przybyszom do kraju, gdzie znajduwaliśmy gościnność, oczywiście prosta rozwaga jak i uczucie godności, nakazywało uszanować gościnność i zachować neutralność w stosunku do stronnictw wewnętrznych, tymczasem Lelewel stawał się chętnem narzędziem opozycji i bez żadnej racyi stawał do walki z rządem. W odezwach swoich i sprawozdaniach Lelewel głośno wyrażał skargi na rząd, żalił się na »arbitralne dispozycie ministeryalne«, na »nie-ludzkość i prześladowanie« wywierane przez rząd na Polakach, co oczywiście było skargą przesadzoną i niesprawiedliwą. Rząd francuski był panem u siebie, wydawał postanowienia nieraz pozbawione taktu lub niemiłe Polakom, ale tego jeszcze nieludzkim prześladowaniem nazwać nie godziło się. A my, przybywszy do domu gościnnego, gdzie znajdowaliśmy chleb i schronienie, nie mieliśmy nic śpieszniejszego do zrobienia, jak wyrzekać na gospodarza, czynić mu na przekorę i szukać z nim zwady. Nic dziwnego, że takie zachowanie się nie

¹⁾ Ibidem str. 10.

mogło zachęcać sfery rządowe do dobrych stosunków z Komitetem polskim; co więcej zniechęcało nawet przyjaciół i sam Lelewel już ubolewał, że w kole nam najprzychylniejszem, bo wśród samych członków komitetu lafayetteowskiego, »wielu ostygło«¹⁾.

Do kłopotów Komitetu przybywał, w sposób dotkliwy, rosnący ubytek funduszków. Komitet lafayetteowski zadłużył się; ani loterya na Polaków nie szła tak dobrze, jak się spodziewano, ani sprzedaż broni dla Litwy przeznaczonej nie powiodła się. Podkomitety na prowincyi zaczęły ustawać w swej czynności. Wkrótce więc Lafayette musiał oświadczyć Lelewelowi, że nadal tylko 50 Polaków, zasilać będzie w stanie, ale i to nawet nie długo trwało. W początkach kwietnia komitet centralny nareszcie zapowiedział, że mu funduszków nie staje, że od 20. kwietnia wszelkiego regularnego wspierania zaprzestać musi, i że tylko osobom mającym charakter reprezentacyjny, jako to posłom, członkom komitetu, i członkom Rządu Narodowego, będzie jeszcze w stanie udzielać zapomogi; że zatem inni będą musieli udać się do miejsc przez rząd wyznaczonych, na prowincyi, gdzie rząd ze skarbu państwa wypłacał wszystkim co miesiąc regularne subsydy.

Przed przybyciem Emigracyi naszej do Francyi, Izby tego kraju, dla wychodźców hiszpańskich, włoskich i portugalskich na budżet 1832 r. zawotowały były 600.000 franków. Teraz ta suma oczywiście już nie wystarczała, i rząd musiał żądać powiększenia kredytu, przeznaczonego na wsparcie cudzoziemców, chroniących się we Francyi. Ale zanim gabinet wystąpił z żądaniem powiększenia funduszu, wprzód postawił w Izbie wnioski do prawa o cudzoziemcach, prawa, ograniczającego ich swobodę osobistą i wyjącego ich, w pewnym względzie, z pod prawa ogólnego. Kniaziewicz i Plater, skoro się dowiedzieli o tym projekcie rządowym, starali się go odwrócić lub zmodyfikować przynajmniej. Ale

¹⁾ Zdanie sprawy komitetu, str. 64.

ich kroki skutku nie odniosły. Projekt został wniesiony do Izby 9. kwietnia przez ministra Bartha. Przemawiali za nim Montalivet i Guizot; przeciw niemu Lafayette, Odilon-Barrot, Pagès, Teste i inni; dyskusya była bardzo ożywiona, ale ostatecznie prawo zostało przyjęte znaczną większością. W ciągu dyskusyi minister Montalivet nieostrożnie wymówił się »że rząd ma też do spełnienia obowiązki względem dworów, z którymi żyje w pokoju«. Te słowa podchwycił deputowany de Corcelles i zawołał: »*Ah, c'est la loi Orloff!*«. Nazwano zatem to prawo »orłowskiem«, bo wniesione, rzekomo, jakby na powitanie Orłowa, wysłanego właśnie w tym czasie przez Mikołaja do Hagi i Londynu, na zakończenie konferencyi belgijskiej. Prawo to dawało rządowi, t. j. ministrowi spraw wewnętrznych moc gromadzić w jednym lub w kilku miejscach, na to specjalnie wyznaczonych, wychodźców (*étrangers-refugiés*), i przymuszać ich do pobytu w takowych; w razie nieposłuszeństwa lub w razie jeśliby zachowanie się wychodźców zagrażało zakłóceniem porządku i spokoju publicznego, upoważniało władzę wydalać ich z granic Francyi drogą administracyjną, t. j. bez wszelkiego wyroku sądowego. — Tym sposobem nowe prawo oddawało poniekąd wychodźców, a w pierwszym rządzie Polaków, na łaskę lub niełaskę organów władzy wykonawczej t. j. policyi. Obecni w Paryżu posłowie nasi usiłowali jeszcze nową ustawę powstrzymać, i w tym celu wystosowali przełożenie do Izby Parów, przez które jeszcze prawo nie było przeszło. Ale i ten krok był daremny. Dnia 19. kwietnia i Parowie zawotowali je większością 74 głosów przeciw 7-miu. Był to cios niespodziany, a bardzo dotkliwy.

Rząd, otrzymawszy uchwałę z 9. kwietnia w Izbie niższej, na drugi dzień wniósł swe żądanie o kredyt nadzwyczajny na utrzymanie wychodźców. Chodziło o 3 miliony franków dodatku do 600.000 fr. na ten sam cel zawotowanych już pierwotnie, oraz o 500.000 fr. na rachunek budżetu roku 1831., na kosztta pochody Polaków aż do granicy fran-

cuskiej. Obie pozycje zostały na tem samym posiedzeniu, bez żadnego umniejszenia przyjęte, i natychmiast bez opozycji i bez dyskusji zawotowane.

Te 3 miliony, to był chleb codzienny naszych tułaczy. Ale szczodrość Izby nie ukoila rozczarowanie i rozżalenie, sprawione pośród Polaków prawem 9. kwietnia. Umysły gorętsze wzburzyły się». Jakto — wołano — w Niemczech witano nas jak bohaterów, a tu w bratniej Francji, stawia nas niżej od ogółu ludności, oddają pod nadzór policyi!«. Najzapaleńsi jęli wołać i wzywać, by wszyscy Polacy razem, całą masą, »procesjonalnie«, opuścili Francję. W tym celu, z natchnienia świeżo narodzonego Towarzystwa Demokratycznego, stanął wnet, na prędcie (już 11. kwietnia) osobny komitet, pod prezydencją Wincentego Matuszewicza (zwanego »Piorunowy«) i wydał odezwę (podpisaną przez założycieli Towarzystwa Demokratycznego, przez Rudolfa Wieszczyckiego, Antoniego Winnickiego, Trzebiatowskiego, Mejniera i — przez Dębińską, osławioną awanturnicę). Zarazem komitet ten wysłał misjonarza na prowincję, dla pociągnięcia rodaków tam zebranych do nowego exodu, do kraju »gdzieby obok zapewnienia bytu materialnego, mogli mieć byt skoncentrowany, polityczny, wolność wyjawienia swoich uczuć, i pewien rodzaj własnej reprezentacji«. Ale w jakiej części świata ten kraj leży, tego zapewne sami instygatorowie wywędrowania z Francji, nie wiedzieli. Bo też myśl ich w gruncie wiodła gdzieindziej. Spodziewali się oni, a raczej roili sobie, że posunięcie masy Polaków przez Francję, poruszy całą ludność i da hasło do pożądaney ogólnej rewolucyi...

Bem, który opuściwszy Niemcy, od końca marca bawił znowu w Paryżu, kłął na agitatorów i pisał na prowincję uspakajając i powstrzymując od szalonych kroków. Lelewel przeciwnie ogłosił w dziennikach oświadczenie (z 15. kwietnia), w którym zapowiadał »że przy pierwszej sposobności i możności, tułacze polscy wyjdą precz«; że »uczyniliby to bez ociągania się, gdyby nie wspomnienia wiążące Polskę z ludem

francuskim, gdyby tak liczne nowe sympaty dowody, nie okazywały niezmiernej różnicy między rządem a rządzonymi¹⁾. To były puste słowa: naturalnie nikt nie wyszedł; nawet prezes »Piorunowy« improwizowanego komitetu, nie ruszył się z miejsca. Propozycja nowej wędrówki nie trafiała do przekonania większości; na prowincyi, wysłannik Towarzystwa Demokratycznego Winnicki, doznał nawet wcale nie uprzejmego przyjęcia, a na zapytanie, dokąd więc Polacy mieliby się udać, poprostu nie umiał odpowiedzieć.

Krzyki i odgrażania się rychło przebrzmiały, a po pierwszym ochłonięciu każdy spostrzegł, że Polacy, opuszczając Francję, dogodziliby tylko gorącemu życzeniu Mikołaja.

Głos nierozsądny nie został usłuchany. — Emigranci nasi nie emigrowali z jedyne go kraju, który im dawał przytułek; zostali tam, gdzie byli, ale nowe prawo przyjęli z głośnym i gorzkim żalem, jako poniżenie i krzywdę, którą znieść musieli, ale z którą się nigdy pogodzić nie mogli.

¹⁾ Zdanie sprawy komitetu, str. 87.

IV.

Legacya polska. — Zostaje w Paryżu. — Utrzymanie stosunków. — Widzenie się z Ks. Ad. Czartoryskim. — Zawiazanie stałej korespondencji. — Zarodek partii »arystokratycznej«. — Kniaziewicz i Soult. — Konferencya między nimi. — Wysłanie 3-ch oficerów polskich do Avignonu. — Obawa wojny zmniejsza się. — Rozmowy z ministrami. — Podanie do prezesa gabinetu. — Obojętność rządu. — Brednie Thiers'a. — Memoriał o kongresie Wiedeńskim. — Bierność gabinetu francuskiego. — Troska o dziennikarstwo. — Założenie Tow. Literackiego. — Zamierzona protestacya przeciw Komitetowi. — Zepsuty stosunek z ministrem spraw zagranicznych. — Ks. Czartoryski zapowiada przybycie do Paryża.

Dnia 3. września 1831. Legacya nasza w Paryżu, (generał Karol Kniaziewicz i kasztelan Ludwik Plater), złożyła hr. Sebastianiemu, ministrowi spraw zagranicznych, memoriał, wyżej przez nas podany, wykazujący, że rząd Francyi, lubo uwiadomiony dokładnie o przebiegu spraw polskich, najdrobniejszej nie udzielił nam pomocy. Ze złożeniem tego oświadczenia legacya urzędowo istnieć przestała. Mimo to jednak Paryż nie opuściła; szybko po sobie następujące wypadki, oczekiwanie wciąż jeszcze nowych zawikłań, wojny na wiosnę, następnie przybywanie do Francyi Polaków, spowodowały ją pozostać na miejscu. Chociaż już w charakterze prywatnym, starała się ona utrzymać i nadal zawiązane stosunki z osobami politycznymi, a mianowicie z Ks. Orleańskim, z Perierem, prezesem gabinetu, z marszałkiem Soulttem, Bignonem z Lafayettem i jego komitetem, oraz z prasą paryską. Miała

ona jeszcze nadzieje, że wdaniem się Francyi i Anglii nasze polityczne położenie da się może nieco naprawić, i w tym celu nie ustawała czynić prywatne starania.

Pod koniec roku 1831. Ks. Adam Czartoryski, zdążając z Podgórza do Anglii, przejeżdżał przez Francję. Wtenczas L. Plater pobiegł do Strasburga, by się z nim widzieć i naradzić. W dalszej swej drodze, księżę zatrzymał się w Soissons, dokąd dla widzenia się z nim przybył i generał Kniaziewicz. Po krótkim spotkaniu i naradzie, księżę ruszył dalej do Londynu, a Kniaziewicz z Platerem wrócili do Paryża; ale odtąd między była legacją paryską a ks. Adamem w Londynie zawiązuje się częsta i stała wymiana korespondencji. Kniaziewicz i Plater donosili o swoich czynnościach i o tem, co się dzieje w sprawie naszej i w świecie polskim we Francyi. Listy ich ¹⁾ w pierwszych miesiącach nie powierzano poczcie; przewoził je, dla większej pewności, zwykle kamerdyner pani Tyszkiewiczowej, (siostry ks. Józefa Poniatowskiego), którego ta pani, wielka przyjaciółka i wielbicielka Talleyranda, wysyłała co tydzień z listami i pakunkami do Londynu, gdzie ten nestor dyplomatów był ambasadorem Ludwika Filipa. Księżę Adam, ze swej strony, zawiadamiał o swoich staraniach w świecie politycznym londyńskim, i przesyłał swoje uwagi i rady.

Kiedy w grudniu stanął w Paryżu Komitet pod prezydencją Lelewela, przeważna większość obecnych w Paryżu Polaków przystąpiła do niego i do »Ogólnych Zgromadzeń«. Pozostało na boku mniej liczne grono ludzi wyznających opinie umiarkowane, złożone z posłów na Sejm, z wyższych wojskowych, urzędników powstania i agentów zagranicznych, słowem tych, których odezwa Komitetu z dnia 25. grudnia

¹⁾ Listy te, znajdujące się w zbiorze korespondencji ks. Adama Czartoryskiego, podały nam niejedną cenną informację. Kreślone najczęściej ręką Platera, podpisane są zwykle przez obu, Kniaziewicza i Platera.

potępieniem swem mniej lub więcej obejmowała. Nie podzielali oni skrajnych zasad »Ogółu«, i nie uznawali Komitetu, który przywłaszczał sobie nazwę »Narodowego«, a który od razu stawał się dalszym ciągiem klubu warszawskiego. Zato nazywano ich »egoistami, dyplomatami, arystokratami«. I Kalliszenie, jak B. Niemojowski, Teodor Morawski i inni, którzy w Warszawie nieraz kokietowali i porozumiewali się z klubem, po zejściu z placu Komitetu tymczasowego, zupełnie do nich przystali. Była legacya stała się środkowym punktem tej grupy, wśród której między wydatniejszymi, od pierwszej chwili widzimy: generałów Paca, Bema, Umińskiego, Mycielskiego, pułkowników: Potulickiego, Proszyńskiego, Kruszewskiego, oraz Fr. Wołowskiego, Jelskiego, Alb. Grzymałę, Zabiellę, R. Załuskiego, A. Biernackiego, T. Działyńskiego, Plichtę, Kunatta; posłów: Zienkowicza, Lud. Pietkiewicza i innych. Miała ona daleko mniej adherentów, niż Komitet Lelewela, który się ruszał, zajmował rodakami, deklamował i płacił; Kniaziewicz i Plater pracowali cicho i w odosobnieniu, byli mniej przystępni i niepopularni. Była legacyę i tych, co ją otaczali, sama nazwa i skład nowego Komitetu, oraz jego pierwsze wystąpienia nie mało trapiły. Widzieli oni, że ten Komitet przybrał tendencye rewolucyjne, anti-rządowe. Zaniepokojeni, że to sprawie szkodę tylko przynieść może, zamyślali oni, zrazu dla przeciwwagi, o ustanowieniu naczelnego wojskowego Komitetu, złożonego z generałów naszych, ale ta myśl się rozbiła już z powodu rozprószenia najwybitniejszych między nimi; w Paryżu znajdowali się wtenczas oprócz Kniaziewicza tylko generałowie: Pac, Umiński, Mycielski i Sołtyk; o Skrzyneckim i Dębińskim nie wiadano nawet gdzie się znajdują; Dwernicki i Różycki siedzieli jeszcze w Austrii; Sierawski, Sznajde, Rybiński przybyli dopiero później, a największą część naszych generałów, tych co pozostali w kraju, rząd Mikołaja wywoził w głąb Rosyi. Inni sądzą, że generał Kniaziewicz sam powinienby wziąć na siebie główny kierunek spraw dotyczących się przybywających wojskowych polskich; w tym

sensie pisał generał Rożycki w imieniu wojskowych pod jego dowództwem; by mu to przełożyć udali się do niego pułkownicy Kruszewski i Pruszyński; list z Drezna podpisany przez przebywających tam starszych oficerów i posłów, objawiał to samo wezwanie, i generał Bem, który mu to pismo przywiózł, oświadczył w imieniu wojska, że takowe życzy sobie, ażeby generał Kniaziewicz przyjął na siebie jego losów opiekę. — Weteran naszych generałów już sam, z własnej pobudki zajmował się sprawą młodszych towarzyszków broni. Ułatwiał mu to jego dawne i bliskie stosunki, z czasów napoleońskich, z ministrem wojny, marszałkiem Soulttem, który sam mu zrazu oświadczył, że on powinien się zająć interesem polskich wojskowych, i że z nim tylko wyłącznie, w tym przedmiocie, porozumiewać się pragnie. Kniaziewicz odbywał z nim też w tej materii od czasu do czasu narady.

W grudniu 1831. obawiano się jeszcze we Francji, że na wiosnę przyjdzie do starcia z koalicją, jak w latach 1792 i 1815. Rewolucya lipcowa podarła traktaty wiedeńskie, któremi mocarstwa podpisujące były się zobowiązały solidarnie utrzymać na tronie francuskim starszą linię Burbonów. Spodziewano się więc, że to wyzwanie przez skoalizowaną Europę zostanie podniesione, i że wybuchnie nowa, zacięta wojna. Powstanie Belgii przeciwko panowaniu holenderskiemu skruszyło drugie jeszcze ogniwo tego łańcucha, ukutego przez Święte Przymierze. Francya w obec tego miała powody przewidywać wojnę i nie było dla niej obojętnem mieć w danym razie do swej dyspozycyi kilka tysięcy wypróbowanych wojaków naszych. Stąd, jak się zdaje, we francuskim ministerstwie wojny, przez pewien czas przynajmniej, zamysłano istotnie o utworzeniu kadrów polskich. Generał Pelet, jeden z naczelników wydziału w tym departamencie, wyraźnie się z tem odzywał. Ale i konferencya odbyta 2. stycznia 1832. między generałem Kniaziewiczem a ministrem wojny, zdawała się to potwierdzać. Na niej bowiem zostało umówione:

»Że wojskowi polscy, którzy zechcą sformować się w korpus i korzystać z warunków proponowanych im przez rząd francuski, udadzą się do Avignonu;

że marszałek Soult zaprosi generała Kniaziewicza by stanął na czele przedsięwzięcia tego, mającego na celu zebranie wojskowych polskich w kadry;

że generał Kniaziewicz przedstawi ministrowi wojny trzech wyższych oficerów polskich, dla utworzenia komisji tymczasowej, mającej zebrać wiadomość o stopniach, służbie i przymiotach wojskowych polskich, przybywających do Avignonu, — a to wszystko wedle instrukcyi, danej im przez ministerstwo wojny;

że za przybyciem do Avignonu żołnierzy i podoficerów polskich, utworzone zostaną kadry batalionowe i kompaniowe, z umieszczeniem w nich oficerów polskich;

że każdy oficer polski umieszczony w kadrze, korzystać będzie z żołdu czynnego (*d'activité*), odpowiedniego stopniom w armii francuskiej;

że generał Kniaziewicz utrzymywać będzie korespondencję z komisją wojskową polską w Avignonie i, że w razie potrzeby sam się tam uda¹⁾.

Stosownie do tego układu Kniaziewicz przedstawił ministrowi 9. stycznia trzech oficerów: pułkownika Potulickiego i majorów Kormańskiego i Bobowskiego, mających tworzyć ową komisję, i ci niebawem udali się do Avignonu, zabrawszy ze sobą odezwę generała Kniaziewicza do naszych wojskowych, która za zezwoleniem francuskiego komendanta, po polsku im ogłoszona została.

W niej weteran naszych wodzów »jako spółrodak i towarzysz, jako stary, doświadczony i szronem wieku przysypiany wojak«, wzywał przybywających wojskowych naszych,

¹⁾ Treść tej konferencyi, jak również następujące relacye rozmów z ministrami, czerpaliśmy z rękopisów, znajdujących się w archiwum książąt Czartoryskich. Wysyłane one były do Londynu, do księcia Czartoryskiego, jako alegaty do listów Kniaziewicza i Platera.

by »korzystali z chwili do nabycia wszelkich, jakich tylko służba wojskowa wymagać może, nauk i wiadomości«.

Kiedy na początku stycznia generał Bem przybiegł do Paryża z projektem ściągnięcia do Francji 10.000 naszych żołnierzy z Prus, i szukał na to funduszków, Kniaziewicz natychmiast udał się do prezesa gabinetu, by na ten cel wyjednać środki, ale otrzymał tylko odpowiedź, że Francya przybyłym do jej granic wojakom wsparcia nie odmówi, ale że bez skompromitowania się w obec Rosji ich szukać i sprowadzać nie może. Ale znać, tymczasem, rzeczy się zmieniły. Obawa wojny usuwała się, a z jej niknięciem rósł raczej wzgląd, by nie obrazić cesarza rosyjskiego. Kiedy Kniaziewicz, po kilkunastu dniach (25. stycznia), znowu poszedł do marszałka Soult'a, znalazł go w kwaśnym humorze, którego szorstkie objawy nie rzadkie u niego bywały.

— Otóż, panie marszałku — zaczął Kniaziewicz — rodacy moi przybywają do Francji; szukają schronienia na ziemi, która im zawsze była gościnną.

— Tak, tak, przybywają, i to tak tłumnie, że nie wiemy, co z nimi robić.

— Są to szczątki armii, która wstrzymała Rosyę, która może oszczędziła Francji najście nieprzyjacielskie.

— Nie podzielam tej opinii. Nic nie winniśmy Polakom. Nie potrzebowaliśmy ich wcale. Może inne kraje winni wam co w tym względzie, ale nie my.

— Inne kraje okazują nam swą wdzięczność. Widzimy jak przyjmują naszych walecznych w Saksonii, w Hanowerze, w Badeńskim, we Frankfurcie — wszędzie. Francya pewnie za nimi nie zostanie.

— Ale nie myślisz o tem, jaki to ciężar nam sprawi. Co za niesłychana liczba oficerów! Co my z nimi poczniemy.

— Byłeś łaskaw, panie marszałku, przyrzec, że ci oficerowie, co za przybyciem żołnierzy i podoficerów będą mogli wejść w kadry, otrzymają żołd służby czynnej, a że inni tymczasem pobierać będą pół żołdu.

— Ale skąd na to wziąć fundusz?

— Izby zawotowały półtora miliona; dadzą może i drugie tyle. Czy to dla kraju, jak Francya, za wielka suma?

— Ale zalani jesteśmy przez waszych oficerów; nie wiemy, co począć z nimi. A jeszcze mamy tych Włochów, Portugalczyków, Hiszpanów. To bez końca... Dlaczego nie wracają oni do kraju i nie poddają się ces. Mikołajowi?

— Czy to z ust twoich, panie marszałku, słyszę te słowa! Pomyśl że ci, co znajdują się po za krajem wygnani są całą masą, a ci, co wrócili, tych na Wschód pędzą...

W dalszym ciągu tej rozmowy, Kniaziewicz rzekł:

— Przyszedłem też z zamiarem, panie marszałku, zaproponować ci byś posłał generała Sznajde do Avignonu. Jest to człowiek godnego charakteru, który pożyteczny będzie miał wpływ na zebranych tam wojskowych polskich.

— *C'est impossible*. Nie mogę tego zrobić. Zresztą, znajduje się tam zaledwo 30 Polaków; nie idą tam.

— Nie idą, bo się rząd nie decyduje. Wasze wahanie się wywołuje podobneż i z ich strony i daje rację zagorzałym.

— Och! Pańscy rodacy żółć mi poruszają. To pewno. Dają nam nie lada robotę. A generała Sznajde do Avignonu posłać nie mogę.

Nasz generał pożegnał ministra, i dawni towarzysze broni rozstali się ze sobą więcej niż chłodno. Przez kilka tygodni Kniaziewicz nie udawał się już wcale do ministra wojny, widywał tylko generała Peleta, który go zaspokajał, że interes naszych wojskowych, lubo powoli, postępuje jednakże. Polacy gromadnie przybywali. Z końcem stycznia liczono w ministeryum, że przez granicę francuską weszło ich już 1.200; tu i ówdzie zdarzały się nieporządki, wynikające ze zburzonych umysłów. Zgromadzające się we Francyi wychodźstwo wojskowe stało się teraz głównym przedmiotem troski i zabiegów naszej byłej legacyi; myśl ogólna, która ją zaprzątała była »przechować szczątki naszego wojska, i utrzymać

ducha narodowości w Wychodźstwie, bez zakały demagogicznej«. Ale rząd względem wojska żadnego nie objawiał zamiaru, żadnego nie brał postanowienia, do żadnej organizacji nie przystępował. Owa umowa z 2. stycznia w życie wcale nie wchodziła. Minister wojny, jeśli myślał o formacji polskiej, to chyba tylko w zamiarze użycia jej w Afryce. Ale nasi do Afryki iść nie chcieli.

Kniazewicz udał się teraz (5. lutego) do Periera, prezesa gabinetu, upominać się o zajęcie się naszymi.

— Ale co mamy robić — rzekł minister. — Niepodobna formować legionów, boby to nas naraziło. Zresztą muszę wyznać, że wasi wojskowi robią nam kłopoty. Oto z ich powodu były zbiegowiska w Metz; krzyczano „*A bas le ministère*“.

— Chciej mieć wzgląd, panie prezesie, na nieszczęście i uniesienie. Wszystko toby ustało, jakbyście natychmiast formowali kadry; a nazwijcie je jak zechcecie. Karność wojskowa zaradzi nieporządkom; honor Polaków odpowiadać będzie za spokój Francji. Ale trzeba działać; wahanie się, niepewność zrodzi zniechęcenie i posłuży tylko warchołom.

— Dlaczego opozycja w Izbie nie proponuje w tym względzie jakich sposobów? Mówiłem już o tem z generałem Lafayettem.

— I ja mówiłem o tem z generałem. Przyrzekł mi przygotować wniosek i uprzedzić mię o nim.

— Nic nie robi Lafayette; marzy tylko o swej republice... Zajmuje się zbyt wielu rzeczami odrazu; interesuje się szczegółami, drobnostkami. Wstawia się za tym lub owym Polakiem, ale o całości sprawy nie myśli.

— Będę go pobudzał i mam nadzieję, że zrobi wniosek co do naszej sprawy... Ale upraszam cię, panie prezesie, chciej dać swe poparcie sprawie naszych wygnańców; będzie stąd korzyść nietylko dla nas, ale i dla was samych.

— Bardzo chętnie. Będziemy o tem myśleć.

— Ale na jedno winienem zwrócić szczególną uwagę: jak uczynicie postanowienie, jak zechcecie przystąpić do or-

ganizacyi jakiej, koniecznem będzie byście się znieśli z Polakami, którym ufacie, i zasięgnęli ich wskazówek. Trzeba zaspokoić naszych walecznych; a tylko Polacy będą w stanie znać ich żądania i podać wam myśli i uwagi w tym względzie.

— Z pewnością to uczynimy, i nie zdziwisz się generale, że w takim razie do ciebie się zwrócimy.

W kilka dni potem Kniaziewicz został wezwany na audyencyę (8. lutego) do księcia Orleańskiego. Książę przyjąwszy naszego generała bardzo uprzejmie, prosił go o wpłynięcie na naszych gorących (*ardents*), by się nie dali użyć za narzędzie widoków opozycyi, która marzy o przewróceniu rządu. Przytem wystawił książę, że Francya jest jedynym krajem, którego rząd przyjmuje serdecznie Polaków, i że dla nich robi wszystko, co jest możliwe i na co polityka pozwala. Tymczasem Polacy zle się odwdzięczają, rzucając się w objęcia opozycyi. »Ona marzy o przewróceniu rządu — dodał książę — niech Polacy temu nie ufają. My się jej nie boimy i nie będziemy jej szczeni. POCO Polacy mieliby się stać gwardyą szwajcarską partyi przewrotu? To mogłoby mieć dla nich najzgubniejsze skutki«.

Kniaziewicz, korzystając z tej sposobności, przedstawił i księciu konieczną i nagłą potrzebę organizowania Polaków, oraz zamianowania od rządu osobnego urzędnika, któryby specjalnie się zajmował sprawami wychodźców polskich; wystawiał, że to jest jedyny środek zapobieżenia niedogodnościom i nieporządkom; że on proponował ministrowi posłać do Avignonu generała Sznaide; że ten środek zapewni spełnienie życzeń rządu i że on błaga księcia o jego poparcie. Książę zupełnie przyklasnął propozycyi Kniaziewicza, przyrzekł ją poprzeć, wyraził jak wielce jest przywiązany do sprawy Polaków i powtórzył jeszcze żądanie, by generał Kniaziewicz starał się nadać właściwy kierunek duchowi Wychodźstwa.

Nie zważając na ostatnie niemiłe widzenie się z ministrem wojny, stary nasz generał poszedł znowu do niego przedłożyć mu to samo żądanie. Znalazł go tą razą grzecznym

i uprzejmym; rzecz przyjął dobrze i obiecał niebawem wnieść ją na radę.

Ale mimo obietnicy sprawa się ani o krok nie posuwała; widać, że na radzie myśl Kniaziewicza nie została przyjęta. Na konferencji, którą miał L. Plater w kilkanaście dni później (10. marca) z prezesem gabinetu, gdy mu wykazywał pożytek i konieczność ustanowienia przez rząd organu, coby się Polakami specjalnie zajmował i w danym razie porozumiewał się z wybranymi na ten cel Polakami, pan Perier wręcz mu już oświadczył:

— My tego oficjalnie uczynić nie możemy.

— To nie jest potrzebne. Zróbcie pod jaką formą zechcecie, byle rzecz się stała.

— Pomyślimy o tem...

I znowu na tem się skończyło.

Rząd nie wychodził z postawy nieruchomej i biernej. Sędziwy Kniaziewicz nie zrażał się tą jego nieczynnością. Dla dodania większej wagi ponawianym staraniom przybrał dwóch towarzyszy. Postanowiono wystosować podanie do prezesa gabinetu z podpisem trzech generałów: Kniaziewicza, Umińskiego i Paca. Ten ostatni cofnął się jednak w ostatniej chwili, tłómacząc to, że do niczego nie chce się mieszać. Pismo to, podane 13. marca, wyrażało w treści:

»Jeżeli szlachetna gościnność rządu francuskiego względem Polaków nie otrzymała skutku, jaki mieć była powinna, przypisać to należy brakowi scentralizowania kierunku spraw, dotyczących się przybyszów polskich. Gdyby od samego początku ustanowiony został organ środkowy polski, przez który rząd dałby poznać zamiary swe i widoki, zaufanie odrazu byłoby się utwierdziło i udaremniłoby zamysły ze strony źle usposobionych i niechętnych. Ten krok, chociaż usilnie doradzany, nie został przyjęty. Gdy do Polaków nikt nie przemawiał w imię rządu, gdy już na samej granicy wyradzały się trudności pewne co do przyszłego miejsca ich pobytu i kierunku ich drogi, cóż dziwnego, że w umysłach powstawały nieporo-

zumienia, z których niechętni tylko korzyść ciągnęli. Złe to może się pogorszyć, ale może być i powstrzymane, i w tym to celu podpisani proponują co następuje:

1. By rząd francuski zechciał powierzyć delegowanemu urzędnikowi francuskiemu specjalną funkcję, zajmowania się wszystkim, co się tyczy wychodźców polskich wojskowych i cywilnych.

2. By rząd zechciał wybrać z pomiędzy wychodźców polskich jedną lub kilka osób, posiadających jego zaufanie, które mogłyby mu służyć radą i wskazówkami co do spraw Polski i Polaków. Ci wybrani przez rząd Polacy mogliby z jednej strony znosić się bezpośrednio z owym delegowanym od rządu, jak z drugiej strony podawać do wiadomości rodaków, to co im od delegowanego rządowego przełożonego zostało.

W razie przyjęcia powyższych propozycji byłoby pożądanem by rząd raczył komunikować owej radzie Polaków swoją opinię co do losu, jaki przeznacza wychodźcom, i by nie brał żadnego postanowienia nie zasięgnąwszy jej opinii.

Powyższe przełożenia zostały wręczone prezesowi gabinetu, ale jak przedtem czynione i ponawiane ustnie, tak i te ostatnie podane na piśmie, skutku większego nie sprawiły i z bierności rządu nie wyrwały. Powstrzymywała go widocznie zawsze obawa »kompromitowania się«, a zatem wstręt dotykania się sprawy Polaków.

Minister spraw zagranicznych, Sebastiani, od kiku miesięcy złożony był ciężką słabością. Chorego ministra zastępował prezes gabinetu, Casimir Perier. Z nim i po złożeniu swego urzędowego charakteru, Kniaziewicz i Plater utrzymywali stosunek, widywali go i podawali mu noty i objaśnienia. Casimir Perier wprawdzie drzwi swych nie zamykał, słuchoł, przyrzeczeń stanowczych nie dawał, ale też nie zrażał odmową, zapewniał tylko, że gabinet francuski myśli o interesie polskim i zajmuje się nim. Ae w dziennikach pół-oficyalnych pojawiały się głosy utrzymujące, że rządy zachodnie obstawać nie będą i nie mogą za utrzymaniem traktatu Wiedeńskiego,

i że wszystko zależeć będzie od własnej decyzji cesarza Mikołaja, który w opinii narodu swego największy znajdzie opór przeciwko egzystencji Królestwa polskiego.

W pierwszej połowie marca, podczas dyskusji nad budżetem spraw zagranicznych, opozycja uderzyła na gabinet, między innymi i z powodu sprawy polskiej. Młody deputowany Thiers, broniąc ministrów, wygłaszał wierutne banialuki o traktacie Wiedeńskim.

Na nie Aleksander Walewski napisał odpowiedź, która miała być umieszczona w dziennikach. Ale widać, jakie już wtenczas Thiers zaczynał nabierać znaczenie. Dzienniki się wymówiły; jedne (liberalne) oświadczały, że takiemu jak Thiers odpowiadać nie warto, inne znajdowały, że zaczepić p. Thiersa jest zbyt śmiałym przedsięwzięciem. Lecz nasza legacja miała już przedtem wygotowane, obszerne memorandum, objaśniające prawdziwe znaczenie i doniosłość tego aktu, a ponieważ sposób wystąpienia Thiersa nawet ministrom nie bardzo się podobał, postanowiła uderzyć w tę stronę i zrobić z owego memorandum właściwy użytek.

Pismo to powiada na wstępie, że celem istotnym i jawnym traktatu Wiedeńskiego, odnośnie do Polski, było w miejsce zupełnej niepodległości nadać Polakom pewny i niewątpliwy byt narodowy za pomocą konstytucyi, odrębnej administracyi i tytułu królestwa, oraz za pomocą gwarancyj, zapewniających innym prowincjom polskim, podległym Rosyi, Austrii i Prusom reprezentację i instytucje narodowe. — Po przytoczeniu dosłownem artykułu I. aktu ogólnego Kongresu (tyczącego się Polski), podana szczegółowa i dokładna jego analiza. — Przywodzą się następnie punkty, w których Rosya pogwałciła konstytucję w Królestwie, i działała wprost przeciwie przyjętym zobowiązaniom co do Litwy i Rusi. — Pakt obowiązujący wzajemnie obie strony, został więc złamaną przez Rosyę, i do Polski należało protestować przeciwko oczywistemu zgwałceniu jej praw. — Uczyniła to powstaniem 29. listopada. — Zwyciężona dziś niema głosu,

i nie może stawić żądań. — Do Francyi i do Anglii należy mówić za nią, nie dopuścić jej zniesienia, nastawać przynajmniej na ścisłe zachowanie traktatu, i żądać spełnienia następstw, z niego wypływających.

W dniu 10. marca, kiedy Plater miał audyencyę u Periera, złożył mu to pismo. Wręczając je prezesowi gabinetu, wzywał go ustnie gorącemi słowy, by Francya nie opuszczała naszej sprawy; wystawiał, że ani Francya ani Anglia nie mogą zezwolić, by konstytucya Polski, której same na kongresie wymagały, została zdeptana lub zmieniona.

— Zajmujemy się tem wciąż — powtarzał i tą razą minister -- i uczynimy co tytko będzie można.

— Zaklinamy was, byście nas nie opuścili. Jeśli mimo waszych usiłowań, nie zniewolicie Rosyę by uszanowała stypulacye wiedeńskie z wynikającemi z nich następstwami, to przynajmniej żadnem słowem, żadnym aktem nie dajcie aprobacyi, nie zatwierdzajcie naszej zguby, naszego zniszczenia. Niechaj sprawa zostaje w zawieszeniu. Później może inne okoliczności sprowadzą zmianę za sobą.

— Nie przestaniemy nastawać na utrzymanie traktatu; powinniśmy to czynić; uczynimy to.

Pomienione memorandum z ustnem objaśnieniem wręczył Plater i marszałkowi Mortier, wyjeżdżającemu właśnie na ambasadę do Petersburga; wręczył je również adjutantowi króla, hrabiemu Flahaut i panu Mignet, jednemu z głównych naczelników w departemencie spraw zagranicznych.

Mimo wszystkie w tym celu starania, mimo zapewnienia prezesa, wprawdzie ogólnikowe i nieokreślone, wdanie się Francyi skutku nie przyniosło żadnego; jeśli z jej strony było istotnie jakie działanie, to było miękkie, *pour sauver les apparences*, z przekonaniem z góry powziętem, że każdy krok na tej drodze będzie daremny.

Nam się zdawało, że sprawa polska nietylko nas samych obchodzi, ale z nią bezpośrednio złączony interes pokoju i bezpieczeństwa Europy. Gabinet Periera tak daleko

wzrokiem nie sięgał; myślał tylko jakby wszelki powód do wojny usunąć i jakby, w obec monarchów Świętego Przymierza, zmasać z korony nowego króla Francuzów, rodzimą skazę jego pochodzenia. Ówczesny rząd Francyi nie czuł że stoi na czele wielkiego narodu, mogącego wpływać mocno na los Europy, i przeto wolne zostawiał pole naszym nieprzyjaciołom. Urok groźny Mikołaja i wpływ jego ambasadora w Paryżu, hr. Pozzo di Borgo, zwyciężał. Słaby głos naszych adwokatów tonął w gabinetach ministrów, lub budził w Izbach czeze tylko echa.

Była legacya nasza i na innych drogach starała się, wedle sił, być czynną. Podczas walki, prasa francuska, z małymi wyjątkami, stała otwarcie po naszej stronie, chociaż Gurowski bruździł i, trafiwszy do niektórych gazet republikańskich (*Tribune, Globe, Français*), siał w nich swe fałszywe i oszczerstwa przeciwko Rządowi Narodowemu i misyi paryskiej. W brzydkiej tej robocie pomagał mu niekiedy i Leonard Chodźko. Karlistyczna *Gazette de France*, jak za Karola X. nie przestawała utrzymywać swoją tezę i radzić, żeby Rosya wzięła Stambuł, a zato zgodziła się na niepodległość Polski i Grecyi. Ale i po upadku powstania dziennikarstwo paryskie zachowało dla nas przychylność, którą L. Plater starannie pielęgnował, zagrzewając je i podsycając zajęcie się rzeczami polskimi. Wszelako i to stawało się coraz trudniejszym. Fakta drobniejsze, dotyczące się represyi w kraju lub Wychodźstwa, gazety chętnie podawały, ale artykuły polityczne o naszym położeniu, obronę sprawy z wykazaniem słusznej podstawy praw naszych przyjmować wzdragały się, jako materję, która już zesła z porządku dziennego i przestała być aktualnością.

Już w styczniu 1832 zamyślała była misya o własnym organie francuskim, a przynajmniej o układzie z którą z gazet paryskich, w której mogłaby stale głos swój w sprawie naszej podnosić. W tym celu umawiano się z przychylnym nam dziennikiem *Le Temps*; ale wkrótce trzeba było tego zamiaru zaniechać, bo pismo to coraz gwałtowniej przeciwko

ówczesnemu gabinetowi zaczęło występować, tak że spółka z nim mogła stać się nam szkodliwą. Wybór innego dziennika nie był łatwy, bo bezstronnych i niepodległych, rzecz można, nie było. Stał jeszcze na przeszkodzie i niedostatek wśród nas sił redakcyjnych, a nareszcie i słuszna obawa, ażeby organ specjalnie polski nie wywołał z przeciwnej strony podobny organ, który opatrzone silniejszymi środkami działania mógłby w polemice stać się nam niebezpiecznym.

Zamiar został zawieszony i ostatecznie do skutku nie przyszedł.

Ale inna, w tym kierunku skuteczniejsza, myśl wyszła w tym czasie ze stronnictwa umiarkowanego, czyli »arystokratycznego«, jak je już teraz pospolicie nazywano. Za poparciem księcia Czartoryskiego stanęło świeżo w Londynie Stowarzyszenie Literackie Przyjaciół Polski. Zachęcani przykładem londyńskim, kilku rodaków w Paryżu, będących już w stosunkach z dziennikarstwem, uderzonych potęgą opinii publicznej i mających przed oczyma świeże doświadczenie, ile nam zaszkodziło niedokładne na Zachodzie o sprawie polskiej pojęcie, za inicjatywą L. Platera powzięło myśl wzmocnienia działania na prasę, złączywszy się w ściślejszy związek. Po kilku naradach zgodzono się utworzyć w tym celu koło pod nazwaniem Towarzystwo Literackie i w krótce, 29. kwietnia, trzynastu stowarzyszonych, zebranych w mieszkaniu T. Morawskiego, uchwaliło jego ustawę. Oto ich imiona: Generał Bem, Albert Grzymała, Alfons d'Herbelot, Ludwik Jelski, Stanisław Kunatt, Teodor Morawski, Ludwik Plater, Andrzej Plichta, Prot Prószyński, generał Umiński, Aleksander Walewski, Franciszek Wołowski i jego syn Ludwik Wołowski. Pomimo nadanej mu nazwy, nowemu stowarzyszeniu nie o uprawę literatury chodziło. Była to raczej garstka patriotów, którzy chwytały za pióro, aby niem dalej bronić sprawy, poruszyć opinię publiczną i ożywić obronę praw pogwałconych. Fundamentalny artykuł ustawy opiewał, że przedmiotem Towarzystwa będzie »zbierać i ogłaszać

materyały, dotyczące się dawnego Królestwa Polskiego, jego obecnego położenia lub pomyślności przyszłej, a to w widoku zachowywania i ożywiania w opinii narodów społecznia, które dla Polski okazywały«. Otoż ostatnia część tego artykułu wyrażała główny cel stowarzyszonych.

Pierwszym aktem Towarzystwa po zawiązaniu się było zaproszenie na prezesa księcia Adama Czartoryskiego, bawiącego w owej chwili jeszcze w Londynie, i powołanie do swego grona, również przebywającego w Anglii, J. U. Niemcewicza, ostatniego prezesa towarzystwa warszawskiego Przyjaciół Nauk. W kilka dni potem, 3. maja, odbyło się pierwsze jego posiedzenie.

Skład towarzystwa dzielił się na różne kategorye: jądro jego stanowili członkowie Kollaboratorowie; wymagało się od nich szczególnej kwalifikacyi literackiej; bo główna obowiązkowa czynność na nich polegała, lecz zato w naradach do nich tylko należał głos stanowczy. Obok nich byli Stowarzyszeni, dobrowolnie i wedle możności podzielający zatrudnienia, następnie Korespondenci i w końcu Członkowie honorowi. Główny redaktor z pomocnikami stanowili Komitet Redakcyjny, który dawał swe zdanie o pracach przedstawionych przez członków.

Pierwszy skład biura był następujący: Prezes książę Adam Czartoryski, wice-prezes kasztelan L. Plater, główny redaktor L. Plater, 1. redaktor pomocniczy Morawski, 2. redaktor pomocniczy d'Herbelot, sekretarz Jelski. Gdy d'Herbelot (Francuz, spółpracownik gazety *Courrier Français*) wkrótce umarł, a Jelski wyjechał do Genewy, zastąpili ich K. A. Hoffman i L. Wołowski.

Posiedzenia zwyczajne miały zwykle miejsce co czwartek. Przedstawiano na nich artykuły, przygotowane do prasy francuskiej, wyjątki z gazet zagranicznych, dotyczące się Polski, listy i wiadomości z kraju lub z różnych centrów Emigracyi i t. p.; a prócz rzeczy bieżących i polemicznych, odczytywano i inne obszerniejsze rozprawy. Nadmienmy, że zrazu sesye

odbywały się w języku francuskim, co, w owym czasie, kiedy kółka i stronnictwa emigracyjne żyły między sobą w stanie nader wojowniczym, dało naturalnie powód do krzyków i zaczepiek, a zbyt głośny w Emigracji Jan Ledóchowski wystąpił nawet z publicznem oskarżeniem, jako Towarzystwo Literackie »w uniesieniu patryotycznym, za pierwszy warunek nakazało członkom swoim wyrzec się ojczystego języka i w tem zetknęło się zupełnie z zamiarami ojcowskimi Mikołaja dla nieszczęśliwej Polski (*sic*)«. Tymczasem używanie francuskiego języka prowizorycznie zaprowadzone było ze względu na obecność cudzoziemców, którzy w pierwszych latach częściej na sesjach bywali, i zarazem dla własnej wprawy członków. Ale z przytoczonej tu próbki wnosić można, jakiej natury była »polemika« niektórych szermierzy emigracyjnych owego czasu.

Towarzystwo Literackie własnego pisma nie miało, broniło więc i wyjaśniało sprawy nasze w różnych innych przychylnych nam gazetach; były niemi mianowicie: *Journal des Débats*, *Courrier Français*, *Constitutionnel*, *Temps*, *Siècle*, *Massager*, *Tribune* i *National*. A dla łatwiejszego czuwania nad prasą, członkowie podzielili się na sekcye, z których każda pewną klasę pism miała specjalnie na oku. I tak: 1. sekcya śledziła francuskie dzienniki opozycji konstytucyjnej (*Temps*, *Courrier Français*, *Massager* i t. p.) 2. dzienniki republikańskie (*National*, *Tribune*) i »karlistowskie« (*Quotidienne*, *Echo*, *Gazette de France*), jak wówczas nazywano gazety legitymistyczne; 3. ministeryalne (*Moniteur*, *Journal des Débats*); a 4. dzienniki krajowe (*Dziennik Powszechny*, *Tygodnik Petersburski*), emigracyjne, oraz niemieckie i angielskie.

Z tego co poprzedza widzimy, że czynność Towarzystwa, acz mianującego się Literackiem, miała przeważnie charakter polityczny. Tak zresztą ono samo przy swem zawiązaniu się pojmowało swe zadanie. Znaczna część jego członków świeżo zajmowała była w Rządzie Narodowym lub w Izbach wysokie lub wybitne stanowiska; a co mu najbardziej nadawało powyższą cechę i zarazem sposoby działania i wpływu, to

uznana powaga jego prezesa i wysoka jego pozycja w świecie politycznym. Na całej przestrzeni kraju wszelki objaw życia publicznego był w owej chwili niemożliwy; wszelki głos swobodniejszy, wszelki nawet jęk lub okrzyk boleści stłumiony. Stało się tedy drogą naturalną, że piecza zabiegów narodowych na zewnątrz przeszła do wychodźców, — i w ten sposób Towarzystwo Literackie, biorąc na siebie prace, które nie były w mocy kraju, stało się poniekąd organem protestacyi, wołania o sprawiedliwość i szukania pomocy, bądź w gabinetach bądź w opinii publicznej.

Dzisiaj, zapewne, pod tym względem okoliczności i zapatrywania nasze zmieniły się; inaczej pojmujemy skuteczność środków zbawienia z e w n ę t r z n y c h: bądź tak zwana »wielka polityka«, bądź sympatya i ruchy ludów, bądź wojny europejskie, — wszystko to było, przeszło, a naszej doli nie zmieniło. Ale zaraz po powstaniu 1831 roku, inaczej myśleliśmy. Byliśmy tak przejęci zgrozą dokonanej nad nami niesprawiedliwości, iż sądziliśmy, że świat, skoro tylko przekona się o niej, wyszle nam na pomoc legiony mścicieli. Cóż więc dziwnego, że wychodźcy nasi, rozżarzeni jeszcze zapałem bojowym, upadek ojczyzny brali tylko za epizod, straszny, ale tymczasowy, — własne wychodźstwo za chwilową tylko przerwę walki orężnej. Za najpilniejszą rzecz więc mieli głosić nasze krzywdy, budzić współczucie i werbować sprzymierzeńców. Z tego więc stanowiska, usiłowania, które sobie założyło Towarzystwo Literackie, odpowiadały potrzebom, jak je w owej chwili pojmował ogół społeczeństwa.

W tym samym prawie czasie, kiedy, jak to widzieliśmy wyżej, Gurowski ze swem gronem zrywał z Komitetem i Ogółem, i na przeciwnym krańcu opinii polskiej w Paryżu gotował się ruch, wymierzony wprost przeciw niemu. Owa grupa umiarkowanych, owa »arystokracja« z Kniaziewiczem i Plasterem na czele, zważając że postawa Komitetu i zgromadzeń starańskich budzi coraz żywszą niechęć rządu francuskiego

i że naraża na szwank powagę i kredyt moralny imienia polskiego, postanowiła, dla oświecenia opinii publicznej i dla wyparcia się wszelkiej solidarności z kierunkiem, którego nie podzielała i który za szkodliwe uznawała, uczynić głośne, otwarte oświadczenie. Postanowiono wystąpić z publiczną deklaracją, zawierającą protest przeciw zasadom, roszczeniom i działaniom stowarzyszenia, nieprawnie przywłaszczającego sobie pozor reprezentacji narodowej. W tym celu odbyto kilka narad i zredagowano projekt deklaracji czyli protestacji. W niej deklaranci oświadczyli »iż dążenia, sprawy i zdania tak zwanego Komitetu Narodowego Polskiego, jako szczegółowe i osobiste, w niczem honoru i godności narodu uwłaczać nie mogą«. Deklarację rozesłano do miejsc, gdzie się Polacy znajdowali — do Galicyi, w Poznańskie, do Drezna, Brukseli i t. d.; ogłoszenie jej publiczne miało nastąpić jak się zbierze przynajmniej sto podpisów, a na ich czele imiona księcia Adama Czartoryskiego, Wład. Ostrowskiego, prezesa Sejmu, i B. Niemojowskiego, ostatniego prezesa Rządu Narodowego. Pierwsi podpisali ją (8. marca): generałowie Kniaziewicz, Umiński i Mycielski; L. Plater, Fr. Wołowski, Teodor Morawski, Jelski, Grzymała i Al. Walewski. Generał Pac wahał się, ale w końcu oświadczył, że podpisze skoro to uczyni książę Czartoryski. Deklaracja napisaną była dość słabo i niedoładnie i bez dostatecznego umotywowania, tak że książę Czartoryski zgodził się ją podpisać dlatego tylko, że już rzeczy nie można było zmienić. Ale i tu przy miękkości w działaniu stało się, co się tak często dzieje w zbiorowych wystąpieniach tak zwanych »białych« naszych. Z powodu szczenięcia drogiej popularności przez jednych, lub wstrętu innych dać przykład wojny między swoimi, podpisy zbierały się powoli, i rzecz się przewlekła aż do kwietnia. W Izbie francuskiej zapadło tymczasem owe prawo »orłowskie«, i wtenczas najgorliwsi nawet zwolennicy zamierzonej deklaracji odstąpili od jej wykonania, nie chcąc ogłoszeniem jej, jakby wskazywać rządowi, w którą stronę ostrze nowego prawa ma skierować.

Ostatnia czynność urzędowa misji naszej w Paryżu, owe oświadczenie z 3. września 1831., poróżniła ją całkiem z hr. Sebastianim, ministrem spraw zagranicznych. Wszelkie z nim zetknięcie ustało. Wkrótce potem zachorował on na czas długi, przez który zastępował go prezes gabinetu, Perier. Z nim Kniaziewicz i Plater nie przestawali zostawać w stosunku. Ale gdy w początku kwietnia, Sebastiani wyzdrowiawszy, wrócił do urzędowania, poróżnienie z nim trwało niezmiennione, i mimo kroków ze strony Kniaziewicza, nie dawało się załagodzić. W tym kłopotcie Kniaziewicz i Plater pisali raz po raz do księcia Adama Czartoryskiego do Londynu, prosząc go usilnie, by przybył do Paryża, bo on jeden tylko będzie w stanie zepsutą z ministrem harmonię naprawić. Utyskiwał przytem Kniaziewicz, że coraz bardziej się przekonuje, iż między Polakami, bądź zagorzałymi, bądź nawet spokojnymi, zaufania do rządu francuskiego niema, i że on już nie czuje się w mocy rozbudzić lepsze uczucia. Niczego bowiem wykołatać nie można; wszystkie starania trafiają na bierność i obojętność rządu, który z odpowiedzią ociąga się, waha się, nie czyni nic, ażeby zorganizować naszych wojskowych, a nawet nie objawia swoich myśli i zamiarów względem Polaków. Wystawiał więc stary generał, że i pod tym względem przyjazd księcia do Paryża jest niezbędny, bo chyba księciu może się uda poruszyć rząd francuski do wyraźniejszego kroku w rzeczy naszego położenia, i wyjednać, by się nareszcie zajął szczerze uregulowaniem bytu naszych wojskowych. Jeśli to wkrótce nie nastąpi, wyniknie ogólne rozprzeżenie.

Książę w Londynie tymi czasy mocno był zajęty sprawą wniesienia do Parlamentu mocyi za Polską, o której w następnych kartach mówić będziemy. Kiedy jednak ta załatwioną została, a Kniaziewicz i Plater wciąż naglili, zapowiedział im, że z końcem kwietnia przybędzie na kilka dni do Paryża.

V.

Książę Adam Czartoryski w Krakowie i na Podgórzu. — W drodze; w Lipsku. — List do Niemcewicza. — Widzenie się z L. Platerem w Strassburgu. — W Manheim zjazd z żoną. — W Soissons spotkanie z Książęciem i Platerem. — Rada i zaproszenie Talleyranda. — Sytuacja w Anglii. — Księżna Liewen. — Nasi dyplomaci w Londynie. — Niemcewicz. — Przybycie do Londynu. — Pierwsza rozmowa z Talleyrandem — Wilja Bożego Narodzenia. — Gościnni Anglicy. — Pierwsze rozmowy z Palmerstonem i Grey'em. — Gniewy księżny Liewen. — Lord Brougham. — Stałe postanowienie. — Założenie »Stowarzyszenia Przyjaciół Polski«. — Gotowanie wniosku do Parlamentu. — Reforma i konferencja belgijska. — Memorandum dla Lorda Brougham. — Wyjazd do Clifton. — Zakłócenie w »Stowarzyszeniu Przyjaciół Polski«. — Fergusson. — Powrót księcia do Londynu. — Palmerston oziębły. — Odwołka wniosku o Polsce. — Statut Organiczny. — Bill Reformy. — Nareszcie nasz wniosek. — Sesya. — Niezwykła jednomyślność. — Skutek moralny, choć nie realny. — Wyjazd z Londynu Niemcewicza i księcia Adama. — Książę Adam w Paryżu. — Powrót do Londynu.

Książę Adam Czartoryski po nocy 15. sierpnia, po zejściu z rządu wyszedł z Warszawy z korpusem Ramoriny, a kiedy ten 17. września postanowił schronić się do Galicyi, książę rozstał się z nim, przeprowił się z kilku oficerami przez Wisłę pod Zawichostem, i połączył się z Różyckim, który się jeszcze trzymał w krakowskim. Ale i ten wkrótce widział ostateczny ratunek w przejściu przez granicę, i przekroczywszy obwód Rzeczypospolitej krakowskiej, wszedł pod Bobrkiem na terytorium austriackie.

W tym samym czasie książę Adam dostał się do Krakowa, gdzie znalazł się wśród rodziny, która tam od lutego przebywała.

Stęskniony ojciec, po ośmiomiesięcznej ciężkiej rozłące z rodziną nie wiele miał czasu nią się cieszyć. Po nocy przebytej w Krakowie, już od samego rana, 27. września, widzimy księcia Adama Czartoryskiego zajętego sporządzeniem różnych pism, z pomocą Karola Sienkiewicza, który mu towarzyszył w obozach od chwili wyjścia z Warszawy. Każda chwila była droga i nagła.

Kraków z własną swą ludnością, pomnożoną licznymi rodzinami, co się w nim z Królestwa schroniły, był w osłupieniu. Pełen był w tej chwili oficerów i żołnierzy z korpusów Ramoriny i Rózyckiego, którzy, jak kto mógł, przechodzili na Podgórze, do Galicyi. Tu i ówdzie niektórzy z nich przebrani, pogoliwszy wąsy, snuli się po ulicach. Z ust do ust najsprzeczniejsze latały wieści: wedle jednych Warszawa napowrót odebrana została przez naszych, ale wedle innych Moskale zbliżali się do Krakowa.

Księżę Adam ociągał się aż do wieczora. Właśnie miał u siebie notaryusza i naradzał się z nim, gdy około godz. 6-tej nagle dano znać, że Moskale wchodzą do miasta. Śród przerażenia księżny i pani Zamoyskiej, siostry księcia, księżę porzuciwszy niedokończone pisma i interesa, zczesawszy na tył włosy i przykrywszy je peruką, wyszedł tylnymi drzwiami z księdzem Łętowskim i z Karolem Sienkiewiczem. W tej samej chwili oddział kozaków przelatował cwałem przez rynek ku ulicy Grodzkiej, pędząc na zajęcie mostu podgórskiego. W dalszej drodze spotkali więcej wkraczającego wojska, a kiedy nareszcie doszli nad Wisłę już ich tam rosyjskie armaty były wyprzedziły. Baron Lorentz, konsul austriacki w Krakowie, który miał polecenie dbać o bezpieczeństwo księcia Adama, przeprowadził go. Na drugim końcu mostu rogałka austriacka podniosła się... Księżę Adam był ocalony.

Księżna, zaspokojona co do męża, myślała zrazu, że przez kilka dni bezpiecznie będzie mogła w Krakowie pozostać, aż tu nagle daje znać Baron Lorentz, aby natychmiast, tak jak stoi, z dziećmi uchodziła na Podgórze. W pięć minut cała rodzina

była na nogach: księżna z dwoma synkami, z których starszy chory na febrę, nianka z małą ośmiomiesięczną córeczką i z nimi Sienkiewicz i Błotnicki. Tak idąc spotkali Rydygera z liczną świtą. Droga do mostu daleka — księżna i dzieci zmęczeni się; szczęściem Sienkiewicz wynalazł dorózkę, którą podjechali aż do mostu. Wysiedli ze strachem, weszli na most niepewną nogą, ale tu wyszli im na spotkanie urzędnicy austriaccy i major od huzarów, a w końcu przyjął zatrwożonych niepewną przeprawą i księżę w towarzystwie wielu znajomych z Warszawy.

Noć pierwszą przebyto jakby na biwaku, ale następnego dnia ściągnięto z Krakowa rzeczy, powozy i konie i na pręde rozlokowano się w mieszkaniu ustąpieniem przez pułkownika austriackiego. Na Podgórzu mnóstwo się w tej chwili mieściło osób, którzy się tu schronili lub odsiadawali kwarantanę. Między niemi byli: Skrzynecki, Szembek, Gustaw Małachowski i Józef Zaliwski, kryjący się jako kucharz u księcia Czartoryskiego — i wielu, wielu innych. Chłopicki leczący się z rany otrzymanej pod Grochowem, pozostał w Krakowie. Austriacy, a zwłaszcza huzarzy węgierscy, okazywali Polakom wiele uprzejmości. Po drugiej strony Wisły burmistrzowali sami Moskale. Ten pas wody nieprzebyty odgradzał od nich. Codziennie mnóstwo osób z Krakowa przychodziło na tamten brzeg odwiedzać Podgórze, ale tylko z daleka głośnym wołaniem lub na migi mogli witać się, żegnać, dawać sobie polecenia. I tę nawet komunikację Moskale brutalnie utrudniali. Wiarusów naszych, których tu było do tysiąca¹⁾, których wkrótce potem przeniesiono do koszar, trzymano jeszcze w obozie, w tak zwanym dole Twardowskiego; niektórzy zebrali; z oficerów ten i ów wymykał się za granicę; broń i armaty polskie (10. października) przewieziono z Podgórza przez most i oddano Moskalom. Ci jakby na urągowisko odbierali je z umyślną uroczystością, przygrywając nasze narodowe pieśni.

¹⁾ W Zatorze i Oświęcimiu było ich do dwóch tysięcy.

Na pozostanie księcia Adama w Galicyi, gdzie przecie posiadał on dobra, rząd austriacki nie zezwalał. Musiał więc gotować się do wyjazdu. Baron Lorentz, otrzymał od Metternicha rozkaz wydania mu paszportu i wyprawienia go we wskazanym kierunku, przez Czechy na Saksonię. Paszport wydany był z warunkiem zachowania najściślejszego *incognito* pod przybranem nazwiskiem. Przed wyjazdem ksiązę pragnął zobaczyć się choć na kilka godzin z matką, która od marca, opuściwszy Puławę, zamieszkała w Wysocku, w Galicyi, ale gdy i na to Metternich się nie zgodził, ksiązę z Sienkiewiczem dnia 6. października opuścili Podgórze: ksiązę pod nazwiskiem »Georg Hoffmann«, a Sienkiewicz jako »kamerdyner Karol Plauzowski«. Wyjazd nastąpił późno w nocy, w wielkim pośpiechu i sekrecie, tak, że domownicy nawet nie wiedzieli dokąd.

I my tracimy tu bliższy ślad podróży, wiemy tylko, że od 8. do 11. odbywali kwarantanę, a potem znajdujemy ich 16. października już o sto mil, w Neustadt w Saksonii, a w parę dni później w Lipsku.

Tutaj zatrzymali się na dłuższy przystanek, nietylko dla odpoczynku, ale i dla odbycia niektórych czynności w owej chwili wymaganych. Wysłali stąd rozmaite listy, a mianowicie: do członków byłej legacji polskiej w Paryżu i do J. U. Niemcewicza w Londynie, zachęcając ich, by mimo ustania oficjalnej ich misji, pozostali i dalej na swych stanowiskach.

W liście stąd (23. października) do Niemcewicza ksiązę Adam tak do niego przemawia:

»Łatwo sobie wyobrazisz, Szanowny Przyjacielu, iż po zaszłych wypadkach nie można było w domu pozostać; nawet z Rakuzkich ziem zmuszony wydać się, tu stanąłem i korzystam z pierwszej chwili odetchnienia, aby o sobie dać wiedzieć. Zbyt długo byłoby się rozwodzić nad przyczynami naszych klęsk i upadku. Choć nieobecny możesz te przyczyny odgadnąć i zapewne przewidziałeś kraju zgubę, skoro doszła Cię wiadomość o szkaradnej nocy 15. sierpnia, o krótkim lecz okropnem klubowładztwie, o wyniesieniu przezeń Kruko-

wieckiego i t. d. Wszelako i w tych ostatecznych momentach rzecz publiczna mogła jeszcze być ocaloną; t. j. Warszawa mogła nie być wziętą, gdyby tylko byli korpus Ramoriny odwołali, gdyby mu kazali pospieszyć do obrony stolicy. Gdyby był przyszedł na koniec drugiego dnia szturm, nieprzyjaciel byłby odparty niezawodnie z największą stratą. Warszawa dotąd byłaby nie wziętą.

»Po stracie stolicy zniechęcenia, znużenia i brak karnośći coraz bardziej bitność wojsk zaczęły niszczyć. Nie było wodza, zabrakło wytrwałości. Lecz jedną z główniejszych przyczyn naszego upadku jest owe srogie opuszczenie nas przez zagranicznych; wszystko byłoby poszło inaczej, gdyby nam rządy okazały choć cokolwiek istotnej przychylności. Próżno o przeszłości nieodwrotnej gadać; wieleby o niej pisać trzeba dla nauki i poprawy własnej«.

»List pierwszy z Londynu 25. sierpnia pisany już zagranicą, dopiero 28. września odebrałem. Żaden inny nie doszedł mnie. Ponieważ traktatu wiedeńskiego chcą się trzymać tak aby włos jeden z warunków jego nie spadł, niechże teraz ściśle jego dopełnienia wymagają. W to nam tylko bić pozostaje. Jeżeli jeszcze na miejscu jesteś, będziesz miał sposobność o to dopominać się, gruntując się na własnych słowach ministra ¹⁾. Zatem niepodległość Królestwa pod berłem cesarza Rosyi, jasno zawarowana (przez zmazanie 1. artykułu naszej konstytucyi, który w wątpliwość to podawał) i zawarowanie narodowości prowincjom są nieodbitie potrzebne. Dla pewniejszej zaś na przyszłość spokojności, powinnyby mocarstwa wymódz połączenie prowincyj z Królestwem w jedno ciało pod temże berłem, a wówczas niechby jakieś zmiany zaszły w konstytucyi... Osobne o tem pismo dołącza się...«

¹⁾ »Nigdy nie dozwolimy, by na włos traktatowi wiedeńskiemu uchybiono, i owszem silnie za wami czynić będziemy« — rzekł Palmerston do Niemcewicza, przy pierwszej danej mu audyencji 26. sierp. 1831. Patrz: Żywot J. U. Niemcewicza przez księcia A. Czartoryskiego str. 364.

»Jeżeli byś nie był w Londynie, to ktoś tam zapewne pozostał... Trzeba aby tam i w Paryżu zawsze ktoś pozostał, aby rządy oświecać i wskazać im o co mają nastawać i jak mogą nam pomódz, trzymając się własnych ich zasad. Bo inaczej, z najlepszą chęcią — jeśli ją mają — nic dobrego nie potrafią nam uczynić. Trzeba także nie przerywać związków z żurnalami. Niech nie rozumieją, że sprawa nasza skończyła się. Żyje ona i żyć będzie, bo te same uczucia, te same powody żyją w sercach pomimo klęsk i terażniejszego upadku; tysiączne były i będą koleje; niech nie zamilkną raptem, nie opuszczą nieszczęśliwych. W każdym położeniu warciśmy pamięci i wsparcia; zawsze nam dopomódz lub smutek osłodzić można, a przyszłość jest nieskończona i nigdy nie jest zamknięta dla nadziei narodu, póki narodem być nie przestanie...«

Koniec nagły naszego powstania, łatwe wzięcie Warszawy, wyjście z kraju 50.000 zbrojnego żołnierza — były fakta, do których i rządy i opinia Europy były zupełnie nieprzygotowane — zdawało się koniecznem wytłomaczyć przyczyny upadku naszego; pokazać o ile obojętność rządów była jego powodem, oświadczyć, że nasza sprawa nie skończona, że ją za straconą na zawsze mieć nie można. Memoryał w tym celu zaczął książę Adam układać zaraz przybywszy do Krakowa; pracę tę nagle przerwana prowadził dalej w Podgórzu, dokończył w Lipsku i dokument ten p. t. *Mémoire sur les affaires de Pologne*, wysłał do interesowanych gabinetów.

Kładł w nim w pierwszym rzędzie ocalenie zagrożonej narodowości na całej ziemi polskiej, utrzymanie postanowień kongresu wiedeńskiego, którego mocarstwa zachodnie były przecie i współautorami i poręczycielami. Obok tego wskazywał na potrzebę otrzymania wdania się dworów w imię ludzkości, celem zmniejszenia o ile możności liczby ofiar mściwej Mikołaja represyi i ratowania kraju od ruiny.

Po jedenastu dniach opuścił książę Lipsk, nie doczekawszy się wiadomości od księżny, która temi czasy w ślad za mężem miała też z Podgórza wyjechać. W tej chwili nie miał

jeszcze żadnego postanowienia co do wyboru miejsca stałego zamieszkania; tymczasem zmierzał przez Heidelberg do Strassburga, a stamtąd zamyslał udać się do Szwajcaryi i tam przez pewien czas z rodziną zatrzymać się.

Przybywszy (14. listopada) do Strassburga, zastaje tu księżę wiadomość, że żona z dziećmi opuściła 18. października Podgórze, że zbliża się, i że niedługo spodziewa się z nim spotkać w Manheimie.

Kasztelan Plater, skoro tylko otrzymał w Paryżu wiadomość od księcia Czartoryskiego z wezwaniem do widzenia się w Strassburgu, natychmiast tam pospieszył. Widzenie się ich było nie długie: zabawiwszy dzień jeden tylko, Plater znowu wrócił do stolicy. I księżę niebawem Strassburg opuścił i wyruszył do Manheimu i tam się zjechał ze swoją rodziną.

Już w Strassburgu zaszła stanowcza zmiana w najbliższych zamiarach księcia. Po widzeniu się z Ludwikiem Plate-rem, po otrzymanych wiadomościach, po rozejrzeniu się dokładniejszym w sytuacji, myśl udania się do Szwajcaryi została zaniechana. Powodem tej zmiany była nadzieja podniesienia sprawy polskiej w stolicy Anglii. Zaraz tedy z Manheimu księżę napisał do Niemcewicza, zapowiadając mu zamiar przybycia do Londynu. Następnie, po niedługim odpoczynku, cała rodzina opuściła Manheim, udając się traktem wiodącym do Francji na Metz. Księżna z dziećmi zawróciła na Paryż, a księżę z Sienkiewiczem przez Chalons i Soissons, podążyli, omijając Paryż, wprost ku Calais.

Do Soissons, nie zbyt odległego od Paryża, przybiegli na kilkanaście godzin, dla widzenia się z księciem, generał Kniaziewicz i Plater, a ich opinie, wiadomości i zaległe listy, które ze sobą przywieźli, utwierdziły tylko księcia w powziętem w Strassburgu postanowieniu.

I Talleyrand, obecnie ambasador króla Francuzów w Londynie, a dawny znajomy księcia Adama, nakłaniał go, by przybył do Anglii. Synowica i nieodstępna towarzyszka jego słynna księżna Dino-Talleyrand, pisząc w tym celu do księcia Adama,

nazywa gościnność francuską »musującą i wielosłową« (*cette mousseuse et verbeuse hospitalité française*) i nalega, by książę w wyborze miejsca pobytu dał pierwszeństwo Anglii. Wyrażając radę swego stryja, pisze ona do księcia: »Obecność twoja tutaj jedynie może odeprzeć skutek, jaki Petersburg, Berlin i Wiedeń usiłują wyrzucić tłumaczeniem fałszywym artykułów kongresu wiedeńskiego. Tylko ty sam książę, z powagą swego charakteru, opartą właśnie na udziale, wziętym w tym kongresie, możesz wyrzec, że owe artykuły nie podlegają żadnej innej interpretacji, jak tej, która Cię spowodowała przystąpić do powstania...« Wrazie gdyby książę nie chciał przybyć do Anglii, Talleyrand ofiarował mu na mieszkanie pałac w Valençay, księżna oddawała mu swą willę Rochecotte koło miasta Tours.

Odbierał książę Czartoryski i inne podobne zaproszenia, tak mianowicie od dawnego przyjaciela, księcia Karola de Beauvau, ale wobec postanowienia udania się teraz do Londynu, korzystać z nich nie mógł, choć bardzo serdecznie były mu czynione.

Wyjechawszy ze Soissons, książę 20. grudnia w Calais, siadł na statek, i tego samego dnia, w Dover, stanął na brzegu Anglii.

Coraz wyraźniejsze chylenie się króla francuskiego Karola X. ku Rosyi; projekty zawarcia z nią ścisłego przymierza: rzekome zachcianki Polignac'a »zmienienia karty Europy i przełamania wyłącznej brytańskiej potęgi na morzu«, drażniły i zaniepokoiły Anglię; przewrót przeto lipcowy, dokonany we Francyi, nietylko przez wielką masę publiczności angielskiej, nietylko przez jej część liberalną, ale nawet w kołach torysowskich został powitany z zadowoleniem. Obok tego jednak, nad Tamizą, nie znikł duch nieufności dla odwiecznej rywalki z tamtej strony kanału, bo i tu jak w całej Europie ludy i rządy żywili przekonanie, że świeże wypadki nad Sekwaną zwiastują wskreszenie owej propagandy zbrojnej, owych

tendencji jakobińsko-wojowniczych i zaborezych z lat 1792 do 1814, którym dopiero koalicja europejska przed piętnastu laty tamę była położyła.

Prawie jednocześnie z wybuchem powstania naszego, w Anglii stanął był (15. listopada) nowy, liberalny gabinet. Ustąpienie Torysów, upatrujących wówczas w Rosyi twierdzę



JULIAN URSYN NIEMCEWICZ

(według współczesnego portretu).

porządku i zasad konserwatywnych, a przyjście do władzy Whigów, znanych jako przeciwników wpływu i wzrostu kolosa północnego, mogło być poczytane za okoliczność szczególnie dla nas pomyślną. Zentuzyazmowane głowy i u nas i w innych miejscach, zapalały się myślą, że połączone Anglia i Francja rozniosą tryumf wolności po całej Europie. Ale i tu się pokazało, że wielka zachodzi różnica między Whigami na

ławach opozycji a Whigami w urzędzie. W ich oczach, teraz Rosya przestała być groźną; natomiast wzniecone umysły we Francyi, głosy jej trybuny i prasy, wołania »że trójkolorowa chorągiew oznacza odwet za Waterloo« — budziły w nich obawy i podejrzenia, wobec których uważali za interes polityki angielskiej »nie osłabiać Rosyi, której wkrótce Europa może znowu potrzebować będzie«¹⁾. Sprawa polska, mogąca ich Rosyi narazić, stała im się przeto od razu niedogodną. W kraju panowała nędza; rolnictwo, przemysł i finanse były w upadku; utrzymanie więc pokoju *à tout prix* i oszczędność wzięli Whigowie za podstawę swego programu; wszelkie zaś śmielsze wdanie się w naszą sprawę mogło wywołać zakłócenia, wojnę, a z nią nowe pożyczki i ciężary. Schodząc zresztą głębiej do gruntu rzeczy, wspomnienie łączenia się naszego z Napoleonem i Francją stawiały nas raczej po stronie przeciwników Anglii; nadto Polska pozbawiona wybrzeża morskiego, bez portu, miała tylko bardzo nieznaczące z nią stosunki, i dla jej handlu było to rzeczą obojętną, czy Polska będzie niepodległą czy też zostanie pod rządem rosyjskim; pod względem zaś politycznym, gabinet angielski, który widział w Polsce naturalnego sprzymierzeńca Francyi i przypisywał powstanie nasze porozumieniu się z Francuzami, wcale nie życzył by Polska niepodległa stała się »prowincją francuską nad Wisłą«.

Do niepomyślnych dla nas okoliczności nareszcie i to jeszcze dodać trzeba, że dwie kwestye po nad wszystkie inne zajmowały teraz rząd angielski i odwracały uwagę jego od naszych losów: wewnątrz wielka sprawa reformy elektoralfnej, a zewnątrz piekąca kwestya belgijska. Obawa, by odpadłe od Holandyi prowincye nie przyłączyły się do Francyi, nie dawała pokoju ministrom angielskim i jak zmora ciężyla im na duszy.

¹⁾ Depesza margr. Wielopolskiego z 19. marca 1831 do misyi polskiej w Paryżu; depesze A. Walewskiego z dnia 29. marca 1831 do misyi polskiej w Paryżu i z dnia 8. kwietnia tegoż roku do Małachowskiego, min. spr. zagr. (akta misyi pol. rkp. bibl. pol. w Paryżu).

Powyższe względy tłumaczą powściągliwe i obojętne zachowanie się Anglii, która, uczyniwszy wprawdzie na początku naszej kampanii przedstawienia w Petersburgu, że jako uczestniczka traktatu wiedeńskiego na jego nadwężenie przystać by nie mogła, później, w lipcu, gdy Francya proponowała jej by wspólnem pośrednictwem powstrzymać rozlew krwi w Polsce, przyłączyć się do tego kroku stanowczo odmówiła.

W owej chwili w Londynie znajdowało się główne ognisko polityki i dyplomacyi europejskiej. Od roku odbywały się tu mozolne narady konferencyi dla owej sprawy belgijskiej, i na niej ważyły się szale pokoju lub wojny.

Na wielkiej widowni londyńskiej, z pomiędzy ministrów uwydatniają się szczególnie: Lordowie Grey, Palmerston, Brougham, Holland, Melbourne, Lausdowne, Althorp. — Przy zielonym stole areopagu dyplomatycznego zasiadają: nestor dyplomacyi Talleyrand, Liewen i Matuszewic, Esterhazy, Wessenberg i Bülow.

Śród pań wielkiego świata trzymają berło salonowe: Lady Holland, księżna Dino-Talleyrand i pani Liewen — a ich rola nie jest i bez szerszego politycznego znaczenia.

Pierwsza z nich, rozwiedziona niegdyś z panem Webster, dama nosząca jeszcze ślady wielkiej piękności, dowcipna a dumna i wyniosła »jak jaka carowa«, gromadzi w swym domu wszystko co jest najświetniejszego z pozycyi, zasług, nauki lub talentu i przewodzi na słynnych recepcyach w *Holland-House*, o którym mówiono, że jest »domem całej Europy«.

Księżna Dino, córka ostatniej księżny kurlandskiej, synowica księcia Talleyranda ¹⁾, od dawnych lat stale mieszkająca

¹⁾ Kiedy Talleyrand, ówczesny minister spr. zagr. cesarstwa, szukał żony dla swego synowca, a gdy we Francyi »cesarz Napoleon wszystkie posażne panny zabierał dla swych adjutantów«, wtenczas zwrócił się za osobistem pośrednictwem cesarza Aleksandra, do wdowy ostatniego deposadowanego księcia kurlandskiego, mieszkającej wtedy w Niemczech, z prośbą o rękę najmłodszej jej córki. Młodziutka księ-

przy nim, posiadająca całe jego zaufanie i wywierająca nań wielki wpływ, robi honory w wykwińtych komnatach starego swego stryja, reprezentującego tutaj Francję.

Nareszcie — *last not least* — pani Liewen, głośna ambasadorowa rosyjska. Któż nie słyszał o tym arcytypie agenta polityki carskiej w falbanach i z wachlarzem w ręku ¹⁾. Julian Ursyn, który tym, których nie lubi, dosadnych rysów nie szczędzi, dziwi się, że pani Liewen »kobieta stara, niepiękna, z czerwonym nosem, taki wpływ wywiera i zuchwale wszystkim imponuje«. Tłómaczą to jednak niepospolite przymioty umysłowe, »nienasycona ciekawość«, oraz zręczność i przebiegłość a obok tego niezmierna giętkość w obcowaniu z ludźmi. Już od roku 1813 a więc od ośmnastu lat bez przerwy, przebywała ona w Londynie i przez tak długi czas nawiązawszy tu rozległe stosunki przyjaźni i zażyłości, stała się istotnie nie tylko towarzyszką ale i polityczną potęgą. Wywierała ona niekiedy wpływ na postanowienia, a nawet na losy gabinetu samej Anglii. Najznakomitsi mężowie stanu angielscy: Lordowie Liverpool, Castelreagh, Aberdeen, książe Wellington, Canning, Rob. Peel, Lord Harrowby stawali się jej zaufanymi i poufałymi przyjaciółmi. Chociaż z usposobienia i pojęć była ultra-tory, nie przeszkadzało to, że teraz, ku pożytkowi polityki carskiej, z ministrami wigowskimi była w najlepszej ko-

źniczka Dorota kurlandska stała się w roku 1808 żoną hr. Edmunda de Talleyrand-Perigord, któremu stryj w późniejszym czasie ustąpił tytuł księcia Dino. Wkrótce zasłynął on szalonym marnotrawstwem, a w skutek tego stryj usunął mu rękę, a żona rozstała się z nim i przemieszkowała odtąd przy stryju. Matka księżny Dino była przyjaciółką Polski, króla Stanisława Augusta i wielu innych Polaków.

¹⁾ Pani Liewen z rodziny estońskiej szlachty von Benkendorff. Była rodzoną siostrą generała Aleksandra von Benkendorff, nieodstępnego powiernika Mikołaja I., twórcy i pierwszego wszechmocnego naczelnika owej ciemnej a najwyższej w Rosyi instytucji tajnej policji, znanej pod skromną nazwą »III. wydziału kancelaryi cesarskiej«.

mitywie. Z jedynym podobno Palmerstonem nigdy zładzić nie mogła i serdecznie go nienawdziła. On zaś odzywał się o niej: »Byłem w gabinecie torysowskim — i wiem co jej usługi kosztują«. Ale zato ogólnie utrzymywano o Lordzie Grey, że wedle dawnego przyzwyczajenia, regularnie co rano, z łóżka jeszcze, pisywał do niej liściki pachnące myszką czy paczulą — nawpół zalotne, nawpół polityczne, i że nie było prawie dnia, w którymby do niej na jaką godzinę pogadanki nie wstępował.

Zatrzymaliśmy się nad nią nieco dłużej, bo też osobistość jej dla naszych spraw obojętną nie była. Oczywiście jako gorliwa sługa i wielbicielka swego cara, pani Liewen zawziętą rozwijała nieprzyjaźń dla zbuntowanych Polaków. Nie znosiła by w jej obecności jakąkolwiek sympatyę dla Polaków zdradzono, i pod tym względem, rzecz można, koła swych znajomych iście teroryzowała, tak dalece, że gdy raz się dowiedziała, iż któryś z sekretarzy poselstwa francuskiego przychylnie o powstaniu polskim się odezwał, wpadła na Talleyranda i żądała by winowajca koniecznie z posady został usunięty. Wieści z Polski niepomysłne zawsze najwcześniej rozgłaszała, a wszystkie inne w najgorszym świetle przedstawiała, w czem zresztą Lord Heytesbury, ówczesny ambasador angielski w Petersburgu, depeşami swemi doskonale jej wtórował.

Po tem wszystkim, cośmy powiedzieli, musimy uznać, że rola improwizowanych naszych dyplomatów roku 1831 w Londynie łatwą nie była.

Wysłany tajnie przez Rząd Narodowy, pierwszy przybył tu (5. stycznia 1831) margrabia Aleksander Wielopolski. Ale już pod koniec marca zastąpił go młody Walewski. Piękny jak Adonis, elegancki i ujmujący, owiany przejrzystą tajemnicą swego urodzenia, okryty świeżym, chwalebny kurzem bitwy grochowskiej, wnet ujrzał przed sobą otwarte nietylko gabinety ministrów ale i te salony, które przedtem pod grozą gniewu pani Liewen, dla Polaka były zamknięte.

Nareszcie, na poparcie zabiegów tego ostatniego, na samym już schyłku powstania (20. sierpnia) przybył do Londynu J. U. Niemcewicz ¹⁾. Z wielu względów wybór jego na tę misję był szczęśliwy i trafny; przemawiały za nim znajomość angielskich obyczajów i języka, dawne stosunki z wielu Anglikami, reputacya towarzysza Kościuszki, w końcu sama postać poważna i miła. Z drugiej jednak strony, Julian Ursyn, przyznać trzeba, wcale na dyplomate nie był stworzony: drażliwy i niecierpliwy, czuł zbyt żywo i mówił prosto z duszy, »śmiał się grzmotem a kichał piorunem«; wymagał natarczywie, i zwłaszcza nie umiał znosić spokojnie zarzutu i odmowy. Sam też o sobie pisze: »znajduje Palmerston, że ja jestem za gorący, a ja znajduję, że on zimniejszy od lodu«. Mimo to, twierdzić wszelako można, że żaden inny wytrawniejszy w zawodzie i układniejszy agent, więcej by tu nie wskórał. Zresztą młody kolega jego, Walewski, w niektórych względach szczęśliwie go dopełniał. Ale położenie sprawy było tak niepomysłne, że istotnie nie można mierzyć usiłowania naszych wysłańców wedle skutków praktycznych, jakie osiągnęli; te były niestety tak szczupłe, że pozostaje nam oceniać chyba tylko stopień ich gorliwości. A pod tym względem Niemcewicza nikt nie prześcignął. Pamiętniki ²⁾ jego i akta misyi dają świadectwo niestrudzonej czynności i zabiegliwości 74-letniego starca. Popycha go »namiętna, nigdy niezadowolona, niedająca mu na chwilę spokoju, żądza ratowania od upadku sprawy narodu... Nigdy może nie okazał on więcej nieograniczonej miłości i przywiązania do kraju, jak w tej ostatniej, trudnej publicznej usłudze... Mimo wieku i napadających go słabości, myśli

¹⁾ Z misją specjalną, finansową przybył też do Anglii Albert Grzymała. W czerwcu zawarł pożyczkę czterech milionów funt. szterl., która się jednak niebawem rozchwiała.

²⁾ Pamiętniki Juliana Ursyna Niemcewicza. Dziennik pobytu za granicą. Tom I. 1831—1832. Poznań, 1876. Do książki tej, aczkolwiek wydanej z niesłychaną opieszałością i niedbałością, zaglądaliśmy często w ciągu naszej pracy.

o wszystkim, o niczem nie zapomina; we dnie i w nocy widzimy go sprawą krajową jedynie zajętego«¹⁾).

Najwytrwalszy, kiedy mu klęski otuchę odejmą, miewa gorzkie chwile znużenia i zniechęcenia. I Niemcewicz, pod koniec października 1831 zamysłał już o opuszczeniu Anglii. Ale nadeszły namowy kolegów z Paryża, oraz ów list od księcia Adama z Lipska, i bez długiego wahania, zdecydował się nasz weteran pozostać; tylko zajmowane dotąd mieszkanie na *St. James Place* opuścił i przeprowadził się na *George Street Allee*, najawszy tam przy rodzinie angielskiej, w tak zwanym *boardinghouse*, zarazem stancję i stołowanie.

Urzędowanie zakończyło się, rozpoczynało tułactwo.

Tymczasem zaczęli już pojawiać się i w Anglii pierwsze rozbitki naszego wojska, a mianowicie kilku oficerów z wyprawy Giełguda na Litwę, którzy z Prus dostali się byli tutaj. Niemcewicz zajmował się ich losem i wyjednywał dla nich zasiłki z departamentu spraw zagranicznych.

Znajdujący się wówczas w Londynie nieliczni Polacy, jako to: Walewski, Albert Grzymała, W. Krasiński, Tyszkiewicz, Jelski, Stan. Małachowski²⁾ schodzili się zwykle zrana u Niemcewicza by rozmawiać o nadchodzących nowinach z Polski. Koło połowy grudnia, garstka ta się rozprószyła. Walewski 1. grudnia pojął Lady Karolinę Montaigu, córkę Lordostwa Sandwich, i zaraz po ślubie, zwyczajem angielskim z młodą żoną wyjechał na wieś a potem do Paryża. Z nimi zabrał się do Francyi i Grzymała. Przedtem jeszcze wyjechał Małachowski do kraju, Jelski do Szkocyi zwiedzać fabryki,

¹⁾ Żywot J. U. Niemcewicza przez księcia Adama Czartoryskiego. Berlin i Poznań, 1860.

²⁾ Na wiosnę 1830 r. Lubecki wysłał Małachowskiego do Indyi Wschodnich z okrętem naładowanym cynkiem polskim. Sprzedaż nie udała się; spekulacja zupełnie chybiła. Dowiedziawszy się o wybuchu powstania, Małachowski opuścił Kalkutę i przybył do Londynu kiedy już powstanie dogorywało. Ładunek polski został na pieczy kapitana okrętowego Feldhausena, który miał się starać zamienić cynk na indygo.

a Waleryan Krasin-ski do hrabstwa Devon-shire, szukać tańszego życia. Julian Ursyn pozostał sam bez towarzystwa rodaków i to osamotnienie dotkliwie ciężyło starcowi. Z tem żywszą niecierpliwością wyglądał teraz księcia Adama Czartoryskiego, którego przybycie już od kilku dni miał sobie zapowiedziane. W sąsiednim domu opatrzył mu już kwaterę i spodziewając się co chwila upragnionego gościa, nie śmiał prawie oddalać się ze swego domu. Nareszcie też 22. grudnia, stanęła przed nim dorózka z dwoma szczupłymi tłómaczkami obok woźnicy; wysiedli z niej dwaj podróżni — a w minutę później Niemcewicz ścisnął w objęciach swoich drogiego, dawnego przyjaciela.

Nastąpiła długa bolesna rozmowa, przerywana niezliczonymi zapytaniami. Późno w nocy cały jeszcze poruszony świeżem spotkaniem, Niemcewicz wraca do swej stancyjki, i przed udaniem się na spoczynek, zapisuje w dzienniku: »Przybył wieczorem ks. A. C. bez słuźącego, z małym tylko tłómaczkiem, obdarty z całego majątku... Co za igrzysko fortuny. Gdy wspomnę kiedym był adjutantem przy ojcu jego, przed 50 laty, gdyśmy lustrowali wojsko litewskie, jeździłiśmy taborem liczącym do 300 koni dworskich i przyjaciół, 14 wielbłądów, co namioty niosły za nami. Dziś syn tuła się w nędzy; ale go otacza sława, więcej czuje on niedolę kraju niż swoją«.

Pierwszy dzień zeszedł na niezbędnych drobnych zacho-dach rozpatrzenia się i instalacyi. »Dziś ekwipuję się, bo nie mogę pokazać się w tej starzyźnie w której odbyłem kampanię i podróż« — pisze ksiąźę Adam do żony, donosząc o swem przybyciu do Londynu, i dodaje: »Niemcewicz odmłodził, zdrowszy niż dawniej; tu wszystkich beszta jak w Warszawie. Bardzo dobrze widziany«.

Dnia następnego ksiąźę nasamprzód poszedł do ambasady francuskiej, gdzie jak to nadmieniliśmy, panią domu była księźna Dorota Dino. I ona już od kilkunastu dni z żywym upragnieniem oczekiwała księcia. Dawne bo też i bliskie związki łączyły ich ze sobą. Ksiąźę Adam był zaprzyjaźniony z jej

matką, księżną kurlandską, wielką przyjaciółką Polaków i w młodości księżniczki Doroty spotykał ją w Warszawie, w Petersburgu i w Mitawie. Wtenczas to nawet (1808) Piattoli, przyjaciel domy księżny kurlandskiej, a zarazem przyjaciel i wielbiciel księcia Adama Czartoryskiego, usnuł był projekt połączenia małżeństwem tego ostatniego z księżniczką Dorotą. Zachodziła znaczna różnica wieku i pieszczone przez Piattoliego marzenie nie doszło do skutku.

I z Talleyrandem bliższa zażyłość księcia Adama istniała od dawna. Jak wiadomo w r. 1807 Talleyrand nie sprzyjał nam i wyrzekł wtenczas surowe o nas słowo: »*Avec les Polonais, on ne fait que du désordre*«. Później jednak usposobienie jego pewnej uległo zmianie, co u ex-biskupa Auto-duńskiego wielką rzadkością nie było, i podczas kongresu Wiedeńskiego był nam przychylniejszy, a w chwili, o której mówimy, uważano, że od ambasady francuskiej ku ambasadzie rosyjskiej w Londynie wieje dość chłodno. W każdym razie podczas naszej walki w Londynie był on jeszcze, wedle doniesień Walewskiego, ze wszystkich »najmniej dla nas obojętny«.

Jak synowica tak i stryj przyjęli księcia Czartoryskiego z wielką serdecznością. Po chwilach powitania, po ponowionem naleganiu, by książę Adam ofiarowaną w zamku *Valençay* gościnność przyjął, stary dyplomata zaraz w długiej rozmowie wystawił swe widzenie rzeczy na ogólną sytuację sprawy polskiej.

Wobec dominującej troski gabinetów zachowania pokoju, dla tej ostatniej widział jeden tylko i jedyny sposób w postawieniu jej na gruncie traktatu Wiedeńskiego. Nie przypuszczał nawet, by gabinety nie miały wymagać jego wykonania. Z tego stanowiska wywodził też zachowanie się osobiste i postępowanie księcia Adama, który w czasie układania wiedeńskich postanowień, będąc niejako pośrednikiem między Polską a cesarzem Aleksandrem, czynił w jego imieniu zapewnienia i obietnice; a gdy te nie zostały dotrzymane, wypływało z obowiązku i honoru pośrednika, nie ścierpieć, że naród został zawiedziony.

»Przejdzie jednak jeszcze nie mało czasu, nim do rozbioru waszej sprawy przystąpią — rzekł kończąc Talleyrand — bo tak jak my, tak i inni nie chcą jej rozpocząć. Zarzucają traktatowi niejasność w punktach co do Polski; nikt lepiej od ciebie, książę, nie będzie w stanie wytłómaczyć jego znaczenie, gdy rzecz podniesioną zostanie«.

Już z tej pierwszej rozmowy książę Adam wyniósł niepokojące wrażenie, że sprawa nasza odsunięta do dalszej przyszłości, że Francya nie pewna siebie i wypadków, rada na nas rachować w razie potrzeby i trzymać nas na wodzy, ale że na teraz najgoręcej pragnie utrzymać pokój przedewszystkiem.

Był to dzień 24. grudnia. Smutna to była wilia na całym obszarze ziemi polskiej. Ileż to cichych łez spłynęło, ileż to ciężkich westchnień wyrwało się ze ściśniętych piersi, na wspomnienie tych wszystkich, których zabrakło przy rodzinnym stole, gdy zaświeciła gwiazdka tradycyjalna. Na niebie londyńskiem nawet bladym światłem nie mignęła ona naszym wygnańcom, bo mgła posępna od rana ciążyła nad miastem. Z racyi podwójnego znaczenia dnia, bo był to też dzień imienin księcia Adama, Niemcewicz zaprosił nowoprzybyłych na wieczerzę. Śród ciszy, jaka panuje w jadalniach klubów czy restauracyj angielskich, śród obojętności publiki wielkiego miasta, trzej rodacy nasi, zajęli przeznaczony im stolik i smętnymi wspomnieniami przepełnieni, z cicha ze sobą rozmawiali. Aliści po pewnym czasie, nieopodal siedzący Anglik z niezwykłą uwagą na nich poglądujący, przez usługującego przysyła najprzód swą kartkę, a za nią sam podchodzi, kłania i przedstawia się jako pułkownik Staunton St. Clair, który przed kilku laty spotkał się z księciem w Genewie, a teraz poznawszy go przychodzi złożyć mu hołd swojej czci. Po tym wstępie jał zapraszać księcia do swego domu na wyspie Wight, i w miarę jak mówił, coraz goręcej i serdeczniej prosił: najprzód samego księcia, potem z księżną, ze znajomymi — na tydzień, na dwa

tygodnie, na miesiąc... Gdy się to dzieje, zbliża się nowa postać, chuda, długa i bardzo śniada. Wymienia swe nazwisko i oświadcza, iż słysząc, że tu się znajdują Polacy a między nimi księżę Czartoryski, on głęboko spólczujący sprawie polskiej, na znak swego uwielbienia, uprasza księcia by zamieszkał kiedy tylko zechce w jego zamku *Tanerana Castle*, w Północnej Irlandyi, nad morzem. Po tych słowach wręczył swoją kartę z adresem, pożegnał się i wyszedł.

Drobne to zdarzenie, nacechowane właściwą brytańską oryginalnością, może służyć poniekąd za dowód ówczesnego dla nas nastroju pośród Anglików, jakoteż za próbkę angielskiej gościnności.

W młodości swej (w latach 1789 do 1794) księżę Adam Czartoryski dwukrotnie zwiedzał Anglię i spędził w niej blisko trzy lata; poznał wtenczas język, kraj i konstytucyę, i zawarł dużo znajomości, które w późniejszym życiu, w latach 1825 i 1826, podczas podróży we Włoszech i Szwajcaryi, sposobność miał odnowić i jeszcze pomnożyć.

Miał więc w Anglii nie mało znajomych i przyjaznych osób, z nich jednak wielu nie było w Londynie w tej chwili. Zimę wyższe towarzystwo angielskie przepędza na wsi. Nie wszyscy nawet ministrowie znajdowali się na miejscu; Lord Grey, prezes gabinetu, z którym księcia Adama łączyła osobista przyjaźń z lat młodych, bawił zwykle w *East Sheen*, wiejskiej swej rezydencyi, nieopodal stolicy; a Lorda Brougham, kanclerza, z którym księżę także był w bliższym stosunku, słabość trzymała w odległej prowincyi. Lord Holland pierwszy sam zaraz zapragnął widzieć się z księciem i już 27. grudnia spotkał się z nim na obiedzie u Talleyranda. We dwa dni później miał księżę pierwsze posłuchanie u ministra spraw zagranicznych, Lorda Palmerstona. Udał się na nie w towarzystwie Niemcewicza i tak o niem mówi w liście do Kniaziewicza i Platera ¹⁾:

¹⁾ Korespondencye księcia Adama Czartoryskiego, wojewody, w czasie pobytu w Anglii od dnia 25. grudnia 1831 do dnia 30. lipca

»Lord Palmerston uczynił na mnie wrażenie człowieka bardzo zimnego, który zawarłszy się w swoim pojmovaniu kwestyi, miał tylko na myśli wynajdywać odparcia i zarzuty na nasze argumenta, bo zawczasu był sobie postanowił, bądź co bądź, swego sądu nie zmienić.

»W zagajeniu oświadczyłem mu, że jakkolwiek Polska nie otrzymała od Anglii żadnej pomocy, winniśmy mu wdzięczność za życzenia i osobiste uczucia, jakie on i jego koledzy mieli dla sprawy polskiej. Uchwycił te słowa minister i zapewniał, że nie zakończyłaby się ona tak nieszczęśliwie, jeśliby zależała była tylko od ich uczuć prywatnych; ale traktaty i okoliczności często nie pozwalają iść za najszlachetniejszymi pobudkami. Odpowiedziałem na to — że nie wątpię o tem; lecz ponieważ —względ na traktaty nie dozwolił usłuchać tych szlachetnych pobudek, spodziewam się, że teraz te same traktaty zostaną wykonane; że cesarz Mikołaj powoływał się na traktat Wiedeński podczas trwania walki, nie zdawałoby się więc możliwem, by się go wyparł po jej ukończeniu. My Polacy — dodałem — jesteście w tej chwili po za kwestyą; niczego poniekąd nie mamy do żądania, ponieważ niczego z tej strony spodziewać się nie możemy... My mówimy o traktacie Wiedeńskim tylko, aby nie mieć sobie do wyrzucenia, że odpychamy jakkolwiek sposób zmniejszenia naszych cierpień; sprawa utrzymania traktatów dotyczących się Polski powinna teraz specjalnie obchodzić mocarstwa, które go podpisały. Na to powiedział Lord Palmerston, że państwa mają zasadę nie mieszania się w obce zatargi między panującym a krajem mu podwładnym; że traktat Wiedeński w stypulacjach dotyczących się Polski, jest nie jasnym i może być rozmaicie tłómaczonym: powiedziano w nim, że Królestwo połączone zostaje z Rosyą przez swą konstytucyę, lecz że nie

1832 roku. Rkp. w archiwum Ks. Czartoryskich. Jest to spory zeszyt in fol., zawierający kopie i minuty listów, pisane ręką Sienkiewicza i mający obraz czynności księcia z tego czasu.

wyrażono jaka ona ma być, lub, że cesarz nie będzie mocen jej zmienić; że przeto nie zdaje się, by państwa winny były opierać się modyfikacyom, które cesarz rosyjski uzna za właściwe w niej zaprowadzić; że Austria i Prusy najbardziej w tem interesowane, są tego samego zdania; że nawet względ wzrostu potęgi rosyjskiej, który je najbliższej dotyka, nie skłania je do zabezpieczenia ustępstw udzielonych Królestwu... Odpowiedziałem na to, — iż nie dziwnego, że paragraf o Polsce nie jest wyraźny i jasny, ponieważ pospiesznie został skleiony po długim oporze, w chwili, kiedy otrzymano wiadomość o powrocie Napoleona z wyspy Elby, a ci co go redagowali, nawet ze strony rosyjskiej, byli przeciwnego zdania z cesarzem Aleksandrem; że przecie nie na to umieszczono w traktacie wyraz »Konstytucya«, by on nie miał znaczenia nadającego mu wagę rzeczywistą; że chodziło tu o konstytucyę, jaką przeznaczał Polsce cesarz Aleksander, i że w tej konstytucyi mówił w imieniu swych następców, i zobowiązywał się nigdy jej nie zmienić. Zresztą jest jeszcze sposób poznania, co znaczył wyraz konstytucya: Kongres dbał szczególnie o zachowanie narodowości polskiej, — owoż wszelka zmiana, zmierzająca ku osłabieniu tej narodowości, byłaby oczywiście przeciwną duchowi traktatu...«

W dalszym ciągu rozmowy, między innemi, podniósł książę Adam, jak dalece sprzeciwia się wszelkiej oczywistości, utrzymywać dzisiaj — jak to czynią Austria i Prusy — że Polska jako państwo oddzielne, choć pod berłem rosyjskiem nie przedstawia większego bezpieczeństwa dla sąsiadów, jak Polska złączona z Rosyą w jednolitą całość. Cesarz Aleksander czuł dobrze, że Polska zadowolona i szczęśliwa powiększała siłę obronną; lecz wiedział niemniej, że Polska posiadająca własną konstytucyę, zmniejszyłaby jego siły zaczepne, w razie zamiarów zaborczych. Ale że takowych wcale nie miał (czemu ufać nie chciano), względ ten nie zatrzymywał go wcale w ustanowieniu Królestwa polskiego i nadaniu mu konstytucyi.

Lord Palmerston zdawał się uznawać słuszność tych uwag, i zadał kilka zapytań co do instytucyj nadanych przez Austryę Galicyi. Książę odpowiedział, że są zupełnie niezna-
czące; że jednak jej mieszkańcy są zawsze najgorętszymi Po-
lakami i, że jeżeli nie wzięli udziału w powstaniu, to tylko
przez wzgląd na stanowcze zakazy Rządu narodowego.

»Lord Palmerston — kończy książę w swym liście —
spojrzał na zegarek, a gdyśmy się żegnali powiedział mi,
że ile razy zechcę się z nim widzieć, zastanę go codzien-
o południu«.

Nazajutrz zrana Lord Grey przybył na kilka godzin do
miasta, i tego samego dnia książę udał się do niego. Ro-
zmowa z nim w znacznej części była powtórzeniem wczoraj-
szej. Lord Grey zapewniał, że traktat Wiedeński utrzymał
się, że tylko chodzi o jego interpretacyą; gabinet angielski
radby go tłómaczyć jaknajbardziej na naszą korzyść, ale rzecz
ta, jak on sądził, bezpośrednio obchodzi Austryę i Prusy
i więcej od nich zależeć powinna. Mówił dalej Lord Grey,
że książę Liewen komunikował mu memoriał, w którym
Austria dowodzi, że traktat Wiedeński nie zmusza do zacho-
wania konstytucyi, że mocarstwa nie mają prawa zabronić
cesarzowi Mikołajowi wszelkich w niej zmian, i że zdaniem
Austrii jest dosyć, aby Królestwo miało Stany prowincjonalne
na wzór Poznania i Galicyi. »Książę Liewen nie był kontent
ze mnie — rzekł Lord Grey — gdyż mu oświadczyłem, że
my nie możemy w ten sposób rozumieć traktatu Wiedeńskiego,
i że naszym zdaniem, należałoby utrzymać konstytucyę, tak
jak była daną. Ale cóż my możemy zrobić — dodał smutnie —
jeżeli Austria i Prusy są przeciwnego zdania, jeżeli te dwa
mocarstwa najbliższe Rosyi nie będą przeniknione potrzebą
określenia potęgi rosyjskiej przez koncesye zrobione Pola-
kom«. Pod koniec rozmowy wypytywał o generała Skrzyne-
ckiego i o przyczyny różnych wojennych błędów, poczynionych
w ciągu powstania, oraz, tak jak i Lord Palmerston, gorzko
utyskiwał nad zgubnym wpływem klubów w Warszawie.

Jeżeli księżę Adam przybył do Londynu z żywszemi nadziejami, to opisane audyencye u głównych dwóch ministrów w niemałym stopniu powinny były je słumić. Wyszedłszy od Lorda Greya, pisze on też do Paryża: »Ta rozmowa smutne na mnie zrobiła wrażenie, z tego najbardziej względu, iż mi się zdało spostrzegać, iż to ministerjum nie czuje się na siłach, nie czuje się na czele wielkiego narodu, mogącego mocno wpłynąć na los Europy. To daje wolne pole naszemu przeciwnikowi i trójgłowej potworze, która nas pożera«.

Dla powitania Lady Grey i jej rodziny, nazajutrz księżę Adam pojechał na wieś, do East-Sheen. Po obiedzie, kiedy dawni przyjaciele znaleźli się sami, wśród dłuższej, poufnej rozmowy o wypadkach w Polsce, wyrzekł Lord Grey, jakby tłumacząc się: »Tak — być może, iż rząd angielski zachował się zbyt nieśmiało w sprawie polskiej« i przyznał wtedy, że Anglia i Francya w tej okoliczności nie znały dosyć swych środków ¹⁾.

Niejakie stwierdzenie retrospektywnego tego żalu znajdujemy w liściku Lorda Greya, napisanym do Lorda Broughama, właśnie nazajutrz po tej rozmowie z księciem Adamem. Oto jego treść:

East Sheen, 1 stycznia 1832.

»Kochany Kanclerzu! Życzę Ci szczęśliwego Nowego Roku. Był u nas na obiedzie ktoś, co nie ma tej nadziei — biedny Czartoryski. Istotnie, na widok jego serce się kraje. A teraz ci przekłęci Moskale robią co tylko mogą, by pomieszać sprawę belgijską. Prawdziwie żałować trzeba, że przeszłego lata nie mieliśmy mocy wysłać flotę na Bałtyk, by sprawę polską do porządku doprowadzić« ²⁾.

¹⁾ Własnoręczna notatka księcia Adama Czartoryskiego w pozostałych po nim papierach.

²⁾ The Life and Times of Henry L. Brougham, written by himself. Edinburgh and London, 1871. Vol. III. p. 164.

Wysokie położenie towarzyskie, reputacya w świecie politycznym, postawa jego w ostatnich wypadkach oraz gromy petersburskie, które teraz nań spadały, otoczyły księcia Adama urokiem nawet dla cudzoziemców i otwierały mu na oścież wszystkie drzwi i podwoje. Wszędzie przyjmowano go z niezwykłą czcią i poważaniem. Znakomitsze osoby same ubiegały się o sposobność poznania go, zaczęły sypać się inwitacye, wielkie kluby stolicy przysyłały zaproszenia na honorowego członka. I nie tylko w kołach arystokratycznych, gdzie osobiście był znany, tak go spotykano, ale i w klasie średniej; i tak klub, zwany *Literary Union*, złożony głównie z literatów, uczonych i kupców, już 2. stycznia 1832, pospieszył wyprawić mu ucztę, na której poeta Tom. Campbell, znany z gorących uczuć dla Polski, »wulkaniczną« miał mowę. Ale dobre przyjęcie, które na każdym kroku spotykał, nie wielką mu sprawiało pociechę, gdyż poza tą uprzejmością dla własnej jego osoby, poza czczymi wyrazami spółczucia dla naszego położenia, nie odkrywał lepszej nadziei znalezienia tu istotnej dla sprawy pomocy.

Pani Liewen, widząc z jakimi względami i odznaczeniem Anglicy go wszędzie spotykają, zaczęła się srożyć i wyrzucać wszystkim, że przyjmują »Prezesa Rządu buntowników«; ale oburzenie jej urosło jeszcze, kiedy doszło do jej uszu, że nawet tak oddany jej przyjaciel i sługa jak Lord Grey, miał u siebie księcia Adama na obiedzie. Pan ambasador rosyjski »w ciągu rozmowy dyplomatycznej«, skarżył się z tego powodu Lordowi Palmerston, a pani ambasadorowa napisała list z gwałtownymi wyrzutami do Lorda Grey. Nawet dzienniki podniosły to zajście, jako próbkę arogancyi rosyjskiej. Oczywiście, że ona księciu Czartoryskiemu w niczem nie zaszkodziła; owszem, publiczność londyńska znalazła, że ambasada rosyjska straciła w tem zdarzeniu doskonałą zręczność okazania więcej taktu i godności. Nawet Lord Grey, pobudzony w miłości własnej, przez swą żonę, jakoś nie ugiął się tu zbyt znacznie przed groźną przyjaciółką i wkrótce książę Adam otrzymał ponowne zaproszenie od Lordostwa

Grey. Przez delikatność, nie chcąc ich jednak narazić na jakie przykrości, wahał się, czy ma z niego korzystać, i widząc się z Talleyrandem, z nim o tej rzeczy rozmawiał. Zdanie swe w tej okoliczności wyraził stary dyplomata w następującym listku:

»Kochany Książę! Byłeś łaskaw mówić wczoraj ze mną o pewnej rzeczy, która cię obchodzi. Powiem ci, co mi me zastanowienie radziłoby w podobnym zdarzeniu. Napisałbym; nie poszedłbym. Powiedziałbym w liście, iż za najlepszy sposób uznania przyjaźni Lady Grey uważam bywać u niej wtenczas tylko, kiedy jest w rodzinnem kole; że zresztą mogłem być zmuszony do opuszczenia mej ojezyny, lecz że nie zostałem skazany na spotkanie się z Rosyanami, których widok jest mi bardzo nieprzyjemny. Powiesz Książę to lepiej odemnie, ale to jest sens, w jakim bym napisał. Oddany

Talleyrand» ¹⁾.

Już dla Walewskiego i Niemcewicza dom nestora polityki europejskiej i jego synowicy był w Londynie niejako punktem oparcia, zwłaszcza pod względem towarzyskim. Tembardziej, z powodu dawnej zażyłości, był on zawsze szeroko otwarty dla księcia Adama. Często też do niego zaglądał i znajdował w nim źródło informacji, obfite wiadomości, wskazówki lub rady, oraz inne dogodności i ułatwienia. »Książę Talleyrand wiele się mną trudni — pisze książę Adam — i utrzymuje, że osobista wziętość potrafi tu coś wyjednać i bardzo zdaje się dbałym, aby mi ją u ministrów zachować«. Oprócz tego, wieczorami, książę Adam znajdował w ambasadzie francuskiej nieraz chwile odpoczynku i rozrywki, bo Talleyrand, mimo 78 lat, tryskał zawsze dowcipem, żartami, subtelnem szyderstwem i w towarzystwie bywał niezmiernie zabawny. Salony na *Hanover-Square*, utrzymywane na wykwintnej stopie mieszkań wielkich panów ośmnastego wieku,

¹⁾ Zbiór korespondencyj księcia Adama Czartoryskiego. (Archiwum rodzinne).

były w owej chwili jedną z największych ponęt — *great attraction* — dla wysokiego świata londyńskiego, — a kuchnia jego niemniej słynęła, co jego dyplomacya.

Koło połowy stycznia i Lord kanclerz wrócił nareszcie do miasta. Nadmieniliśmy poprzednio, że ksiązę już przed laty był z nim w stosunku. Kiedy bowiem w przeddzień zebrania kongresu Wiedeńskiego szło o to, by zwrócić uwagę świata politycznego na położenie Polski i przygotować dla niej przychylne sądy areopagu europejskiego, ksiązę Adam zwrócił się w tym celu do głośnego już wtenczas prawnika i mowcy p. Brougham, i dla pozyskania jego pióra oraz dostarczenia mu wskazówek i materyałów, wysłał umyślnie do Anglii Franciszka Biernackiego, sekretarza swojego. Wkrótce też potem ukazało się w Londynie bezimienne pismo, skreślone z niepospolitą potęgą słowa, p. t. *An appeal to the Allies and the English Nation in behalf of Poland*. (Głos do mocarstw sprzymierzonych i do Angielskiego narodu w sprawie Polski), a tuż za nim, w styczniowym zeszycie 1814 r. słynnego kwartalnika *Edinburgh Review*, wyszedł obszerny artykuł parafrazujący wymienione pismo i dzielnie i gruntownie podnoszący nasz interes. Autorem obu tych prac, które w owym czasie zyskały szeroki rozgłos, był właśnie dzisiejszy Lord Brougham.

Niebawem po jego przybyciu, ksiązę miał z nim widzenie się, ale i to, nie różniło się od konferencyj z innymi członkami gabinetu, i lepszych widoków dla sprawy nie rokowało.

— Niewątpliwie pojmuje W. Ks. Mość, — zaczął Lord kanclerz — różnicę między uczuciami prywatnego człowieka, a obowiązkami ministra. Różnica ta tem większą musi wydawać się w mojej osobie, jak w Lordzie Greyu¹⁾. Ale postę-

¹⁾ Lord Grey niegdyś żarliwy przyjaciel Polski, w mowie d. 21. lutego 1793, wyrzucał mocno gabinetowi oziębłość i nieczynność w sprawie Polski. a w r. 1797 wręczył w imieniu narodu angielskiego szpadę honorową Kościuszce.

powanie nasze musiało się stosować do stanu Anglii, która była w zupełnej niemożności wojowania.

— Bez wojny można było nam pomódz — odrzekł książę — kiedy Francya proponowała wspólne wstawienie się w Petersburgu, dlaczego Anglia wymówiła się od tego ?

Na to pytanie kanclerz odpowiedział nieznaczącemi słowami, wreszcie powątpiewaniem, by ten krok mógł być stać się skutecznym.

— Nie wiem na jakim stopniu — mówił dalej — są dziś nasze negocyacye co do Polski. Byłem na wsi, chorowałem, i dotąd z ministrami tylko o jednej Reformie czas miałem naradzić się. Upewniam jednak, że Polska będzie zawsze nas zajmować, i teraz nawet los jej nie jest nam obojętnym. Lecz w tym względzie chce nieszczęście, że sprawa Polski przeciwną jest sprawom wszystkich innych mocarstw. Wszyscy pragną pokoju, Polska wywołuje wojnę i zaburzenia.

— Dziś, kiedy uciśniona Polska nie znajduje sprawiedliwości ni pomocy, życzy zapewne zmian, bo w zmianach jej nadzieja, jej byt, jej pógodzenie się z systemem pokoju, upragnionym przez wszystkie mocarstwa. Lecz ten upragniony pokój, jestże szczerem życzeniem, jestli podobnym ? W całej Europie niepewność, nieukontentowanie, nieufność. Rządy chcą pokoju, lecz stan Europy nie zapowiada go; prócz tego Moskwa ma jakiś instynkt, który ją popycha do wojny.

— Jakkolwiek bądź Anglia boi się wojny, jej handel ucierpiałby przez nią...

W dalszym ciągu rozmowy książę zapytał:

— Jaki skutek może zrobić mocya w parlamencie o sprawie polskiej, i jak to uważanem będzie przez ministrów ?

— Teraz nie mogę na to odpowiedzieć — odrzekł Lord Brougham — lecz skutek jej zależeć będzie od sposobu, czasu i osoby. Radzę wszakże nie rozpoczynać tego przed skończeniem sprawy o Reformie.

— Jeżeli chcecie nam pomagać — dodał książę — i potrzebujecie argumentów dla Petersburga, oświadczenie się parlamentu za nami, będzie jednym z najwłaściwszych.

Zgodził się na to kanclerz.

Rosya dbała, niemało o utrzymanie dobrego stosunku z Anglią, pragnąc ją od zbliżenia się do Francyi odciągnąć: była więc niejaka podstawa liczyć na to, że ponawiane przedstawienia angielskie w Petersburgu, choć w części uwzględnione zostaną.

Książę Adam, wygotowawszy z Sienkiewiczem nowy memoriał, dostarczający argumentów na poparcie naszej sprawy, zaniósł go Palmerstonowi. Przyjmując go, rzekł minister:

— Podczas trwania powstania nie mogliśmy wam pomagać nawet drogą negocyacji, bo wasza uchwała detronizacji Mikołaja, odebrała nam podstawę, na której mogliśmy się opierać; i odtąd rzecz ta przestała być kwestyą angielską.

— Ale sprawa nasza mogłaby stać się kwestyą angielską — zarzucił książę — gdyby Anglia oświadczyła się za zupełną niepodległością Polski, opierając się na słuszniejszej i sprawiedliwszej zasadzie, niż traktat Wiedeński.

— To bez wojny nigdy udać by się nie mogło, i dlatego nie przyjęliśmy nawet propozycji wspólnego kroku z Francją... Z tem wszystkim po skończonej walce posłaliśmy nasze przedstawienia i uwagi względem zachowania traktatu Wiedeńskiego. Uznajemy, że go Rosya nie wypełniła: bo w Prowincjach nic nie zrobiła, a w Królestwie zrobiwszy, sama własne dzieło zgwałciła. Przy tem zdaniu my mocno obstajemy, chociaż Austria i Prusy inaczej tę rzecz tłómaczą. Utrzymujemy, że konstytucya nadana przez cesarza Aleksandra, powinna być zachowana i odmienioną być może tylko przez Sejm; a Prowincye powinny otrzymać reprezentację i administrację prowincjonalną. Lord Heytesbury donosi nam, że przez księcia Liewena odbierzemy na to odpowiedź. Liewen dotąd milczy...

Pod koniec stycznia, na ręce ambasadora rosyjskiego, przysłała istotnie owa zapowiedziana nota petersburska, w odpowiedzi na przedstawienia czynione w przedmiocie zachowania traktatu Wiedeńskiego. Potwierdzała ona, niestety, zupełnie wiadomość jaką o niej już poprzednio L. Palmerston był otrzymał: w formie bardzo grzeczna i uprzejma, w rozumowaniu nieloiczna, ale w konkluzji stanowczo odrzucająca tłumaczenie gabinetu St. James, i opierająca się na większości trzech głosów, t. j. Rosyi, Austrii i Prus, przeciwko dwóm, Anglii i Francji.

— To wcale nie jest zgodnem z istotą rzeczy — wyznał sam L. Palmerston — ale w jakiż sposób możemy ich przymusić do przyjęcia naszego zdania? Lądowego wojska posłać nie możemy, a spalenie floty rosyjskiej tyleby skutku uczyniło, co spalenie Moskwy...

Środek ten może nie okazałby się tak dalece bezskutecznym, jak to o nim zdawał się sądzić Palmerston, ale to pewna, że od myśli użycia jego, i on i inni ministrowie angielscy byli bardzo dalecy. Wszyscy oni w teorii mniej lub więcej nam sprzyjali, w przekonaniu swem nienawidzili despotyzmu rosyjskiego, a sprawie polskiej, mimo naszych wad i błędów, przyznawali wyższość moralną. Zgadzała się z księciem Czartoryskim w sposobie interpretowania traktatu Wiedeńskiego i wciąż zapewniali, że przy nim obstawać będą. Ale w praktyce, bez udziału Austrii i Prus, wobec Francji, usiłującej teraz zaskarbić łaskę Mikołaja, nietylko nie czynili na Rosję twardszego nacisku, ale baczili nawet, by z nią nie oziębili stosunków. Zarzucają wogóle Whigom, że w polityce zewnętrznej widzą ciasniej i krócej, a działają lękliej. Ale i Torysi, w 1832 roku, czy skuteczniej wdaliby się za nami? Nie sądzimy. Jak już nadmieniliśmy, ze wszystkich kwestyj zagranicznych najbardziej trapiła Anglię obecnie kwestya belgijska, a na to ażeby ją zażegnać, na to, by otrzymać ratyfikację układów londyńskich w tej sprawie ze strony cara, wypadało im oszczędzać dumę północnego samodzierżcy. Jakież

więc wrażenie mogły wywierać na hardy jego umysł przedstawienia nieśmiałe, akademickie, bez zamiaru poparcia ich czy-nem, a nawet bez postawy godnej potęgi Lwa Brytańskiego? Wszystkie rządy, w tym czasie, potrzebowały i pragnęły pokoju, ale najgłośniej i najskwapliwiej oświadczały się za nim właśnie rządy, rzekomo nam sprzyjające. Cóż dziwnego, że to ośmie-lało do bezwzględnego działania nie tylko Mikołaja, ale nawet i Prusy, chociaż wówczas nie były jeszcze Prusami Bismarka.

W Austrii zaś Metternich, przerażony jaskrawem widmem dni lipcowych, przejęty istic chorobliwym wstrętem i strachem do wszystkiego co trąciło wolnością, marzył o nowem wzmożeniu ś-go Przymierza, i »z dwojga złego — wolał Moskwę, jak rewolucyę i liberalizm«.

Tak więc nawet i nadzieje ocalenia traktatu Wiedeń-skiego coraz upadały niżej. A zdawałoby się jednak, że jeśli Rosya w r. 1814 budziła nieufność Anglii, Francyi i Austrii, to dziś, po nowych zdobyczach na Turcyi i Persyi, po zwycięstwie nad Polską, wzrost jej potęgi tembardziej wymagał tamy i zabezpieczenia się. Przez pierwsze miesiące po upadku powstania, najwybitniejsi jego uczestnicy, rozsypani po Europie, nic o sobie wzajemnie nie wiedzieli. Książę Adam, przy-bywszy do Londynu, dopytuje się o pobyt marszałka Ostro-wskiego, Gustawa Małachowskiego, Skrzyneckiego i innych, i dolegliwie czuje ten brak możności znoszenia się i porozu-mienia z nimi. Jedynie z Paryżem mógł książę zawiązać zaraz stałą korespondencyę i znosić się z żoną i z byłą legacyą naszą, której przysyłał częste wiadomości o swoich czyn-nościach, o rozmowach z ministrami i t. p. Tylko wkrótce pokazało się, że nawet tu korespondencya jego nie uchodzi bacznosci agentów mikołajowskich; dla zabezpieczenia jej, musiano ją więc wysyłać pod kopertą księżnej Dino, lub przez kuryerów jej stryja. Tą tedy drogą Kniaziewicz i Plater przy-syłali do Londynu stałe swe doniesienia.

Swobodnej prasy polskiej wówczas nigdzie nie było. Wy-chodzący w Warszawie, pod cenzurą rosyjską, *Dziennik Po-*

wszechny, dostarczał rodakom naszym w Anglii późnych wiadomości z kraju; wcześniejsze przychodziły do Londynu w gazetach niemieckich oraz w oficjalnych i nieoficjalnych listach do pani Liewen, przywożonych przez kuryerów z Petersburga. Wieści te były smutne i coraz smutniejsze — i oprócz takich, innych z Polski nie było. Wszystkie zwiastowały tylko спустoszenie, zagładę, zemstę srogiego zwycięzcy — same klęski narodowe: wyroki, wygnania na Sybir, konfiskaty i t. p.

W czasach, gdzie jeszcze kolei żelaznych ani telegrafów elektrycznych nie było, poczty szły leniwie a komunikacje były powolne, nieregularne i niepewne. Tem trndniejsze były one dla Polaków: listy noszące polskie na sobie nazwiska zbyt często ginęły, bo je przejmowano. Dla zapobieżenia temu, korespondencye nasze musiały się kryć pod kopertą osób uproszonych z cudzoziemskimi imionami, musiały uciekać się do pośrednictwa domów bankierskich, lub korzystać z przypadkowych a rzadkich zręczności wyjazdu jakiego podróżnika.

Od czasu wyjazdu z Podgórze nie miał ksiązę Adam żadnego listu od matki i od siostry z Galiacy; również i od brata z Wiednia nie odbierał żadnego znaku życia, i brak ten wszelkich wiadomości od najbliższych bardzo go dręczył i niepokoił.

Nie lada był też frasunek o to, co się stało z puławskimi zbiorami, których znaczna część podczas powstania, w miesiącu marcu do Warszawy przewieziona i tam ukryta została. Wprawdzie została przy nich stróżem księżna Anna Sapieżyna, ale czy zdołała ich ustrzedz, ochronić od zniszczenia i zaboru? Dla dowiedzenia się o ich losie, dla wydobycia ich, jeśli można, z pod szponów dwugłowego, czarnego ptaka; miał też wkrótce Sienkiewicz puścić się w drogę do kraju. Ale oddany duszą księciu, ten gorący patriota pracy żelaznej, bogaty w pomysły, znający dobrze język angielski, był to nieoceniony pomocnik w usiłowaniach londyńskich, i ksiązę Adam słusznie się turbował kimby go w razie odjazdu zastąpić.

Wobec utraty ogromnej fortuny, ocalenie i zabezpieczenie resztek mienia musiało być ważną i nagłą troską. Ale nie chcąc obecnie z Londynu odjechać, ksiązę zajęcie się tą rzeczą staraniom żony poruczał.

Strapienia i frasunki, zapory w usiłowaniach publicznych, i zmianę w całym swem życiu i osobistem położeniu, znosił on z zadziwiającym spokojem duszy.

Zaledwie stanął na ziemi wygnania, w liście z Londynu do Tadeusza Mostowskiego, powiada: »Czuję całe szczęście tego, że się oswobodziłem (wprawdzie w sposób nieco gwałtowny i kosztowny) od więzów, które mi ciążyły i pewno nie wrócę do nich, nawet za cenę, całej mej fortuny... Każdy Polak w ciągu swego życia powinien być przygotowanym na prześladowania, na więzienie lub wygnanie. Doznałeś tego sam w swoim czasie. Przyszła kolej na mnie, wprawdzie w wieku zbyt podeszłym, ale czuję się na siłach i zdrowiu znieść los mój, i znoszę go niekiedy nawet z dobrym humorem«...

Widzieliśmy, że ksiązę Adam pospieszył był do Anglii wiedziony tam wyraźnemi oświadczeniami się ministrów angielskich za koniecznością utrzymania postanowień kongresu Wiedeńskiego, tych postanowień, które wprawdzie rozbioru nie odwołały, niepodległości Polsce nie zwróciły, ale przecie warunki bytu narodowego nam zapewniały; miał im wyjaśniać i tłumaczyć znaczenie, doniosłość i międzynarodową powagę tych stypulacyj. Tymczasem przybywszy do Londynu, tych samych ministrów znajduje chłodnych, zajętych innemi sprawami i przekonywa się, że ani Anglia ani Francya, teraz już czynnego, skutecznego kroku ku ich utrzymaniu nie uczynią. Upadał tedy i ten ostatni szaniec, na którego obronę ksiązę Adam był przybiegł, i nad jego gruzami mógł być może powiedzieć sobie: na teraz niema nic do czynienia, uchylmy się na bok. Lecz w głębokiem poczuciu obowiązku, które całe jego życie cechowało, i teraz nawet nie sądził ksiązę, by się godziło ręce opuścić, — i gdy fakt przemocy obalał przyznane nam rękojmie, nie było bez wagi ocalić chociażby tylko moralną

stronę praw naszych. Nie należało przeto dopuścić, by czyn gwałtu, niedotrzymanie uroczystych zobowiązań i zadana nam krzywda, nabyła pozoru prawowitości i w tym charakterze, bez protestu, przez opinię ostatecznie przyjętą została.

Był jeszcze i drugi wzgląd, który się księciu nasuwać musiał, i który mu nie pozwalał zawrzeć się biernie w bezczynności: stan ówczesny Europy, na wielu punktach faktycznie zakłócony, krył w sobie liczne zarodki politycznych zakłóceń i konfliktów, wobec których zdawało się koniecznem nie dać usnąć sprawie polskiej, by, w razie spodziewanych ewentualności, niezapomniana jeszcze, nie zastygnięta, jakby z natury rzeczy, sama weszła na porządek dzienny.

Wyczekiwanie odmian, nadzieja na pomoc nieprzewidzianych wypadków, do którego wogóle wszyscy nieszczęśliwi, a zwłaszcza wygnańcy, szczególnie są skłonni, niestety, weszła następnie w krew czterdziestoletniej tak zwanej »polityki, emigracyjnej«, która przez to sobie i społeczeństwu tyle ułud, zawodów i goryczy zgotowała; ale w chwili, o której mówimy, t. j. w początku 1832 roku, liczenie na zwrot okoliczności było z wielu względów więcej niż kiedykolwiek usprawiedliwione: wszędzie jeszcze umysły były dziwnie rozkołysane, jakaś dziwna niepewność panowała wszędy, a sprzeczność zasad między dworami północnymi a liberalnym Zachodem, zdawała się coraz bardziej zaostrzać.

Nie inaczej jak książę Adam myślał i towarzysz jego w Londynie, Julian Ursyn. Chociaż sterany wiekiem, oddalony od opieki krewnych i pozbawiony ulubionego swego Ursynowa i tego wszystkiego, co mu schyłek dni osłodzić mogło, i on odsuwał wszelką myśl powrotu do kraju pod rządy mikołajowskie.

Obaj dawni przyjaciele, niezrażeni przykrym i niewdzięcznym trudem, nie ustępowali ze stanowiska, nie ustawali bywać na *Downing-Street*. Przy mniej ważnych sposobnościach Niemcewicz nawiedzał pana Backhouse'a, podsekretarza stanu spraw zagranicznych, który jak jemu osobiście tak i wogóle

w interesach polskich wiele uprzejmości i dobrych chęci okazywał; książkę Adam od czasu do czasu wracał konferować z Palmerstonem i nieustannie mu przypominał, by gabinet angielski ze swego zapatrywania na kongres Wiedeński nie ustępował, by mocno obstawał przy swej opinii i powtarzał ją nie tylko w Petersburgu ale i w Wiedniu i Berlinie.

Gazety: *Times*, *Morning Herald*, *Morning Chronicle*, jak wogóle cała angielska prasa, stała po naszej stronie i nie raz dzielnymi artykułami za nami występowała. Świeże wiadomości ze źródła polskiego chętnie przyjmowane były nie tylko przez dzienniki ale i przez rząd, tembardziej, że Lord Heytesbury w depe szach swoich o srogościach i okrucieństwach rosyjskich w Polsce stałe zachowywał milezenie.

Oprócz dostarczania bieżących wiadomości dziennikarstwu, książkę Adam, Niemcewicz i Sienkiewicz starali się trafiać do niektórych znakomitszych literatów angielskich i zachęcać ich do pisania o Polsce; między innemi zbierali teraz i gotowali materiały dla znanego autora p. Richa, do pracy, która wkrótce miała się ukazać w *Edinburgh-Review*, głównym przeglądzie partyi wigowskiej. Jednocześnie zajmowali się też myślą utworzenia peryodycznego pisma, dla popierania w Anglii interesu polskiego. Paka z książkami, treści odnoszącej się do Polski, jeszcze przed laty tu przez księcia Adama przysłana, została przypadkiem odnaleziona i dała powód do projektu zawiązku specjalnej kolecyi dzieł, z którychby angielscy pisarze czerpać mogli informacye o naszym kraju. Do nich nabył książkę jeszcze niektóre nowsze prace, tyczące się historyi, literatury i prawa polskiego, i zbiór ten ofiarował do Muzeum Brytańskiego.

W tem miejscu wypada nam zapisać zawiązanie się owego grona, które stało się głównem ogniskiem angielskich dla nas sympatyj, i skąd wychodziły następnie przez długie lata wszystkie czynności w Anglii na korzyść Polski podnoszone, owego wreszcie Towarzystwa, wśród którego najzarliwszy, najwytrwalszy i najszlachetniejszy nasz przyjaciel na Zachodzie

dzie, Lord Dudley Stuart, rozwijał nieustrudzoną działalność dla osłódenia gorzkiej doli tułaczy i dla obrony nieszczęśliwej i opuszczonej sprawy. Mieszkał w Londynie w tym czasie Adolf Bach, adwokat, rodem Niemiec, oddawna już w Anglii osiadły. Był to zapalony entuzysta sprawy polskiej, i on pierwszy powziął myśl utworzenia w Londynie komitetu, na podobieństwo francusko-polskiego, istniejącego w Paryżu. Obok niego najgorliwiej zamiar ten popierali pp.: Hunter Gordon, Artur White ¹⁾ i Irlandczyk Kirwan. Przybycie i wpływ ks. Adama dodało zamysłowi ich bodźca i poparcia, i wkrótce kilkunastu członków, wyłącznie Anglików, połączyło się (d. 25. lutego 1832) w grono mianujące się *Literary Association of the Friends of Poland* ²⁾. (»Stowarzyszenie literackie Przyjaciół Polski«). Pierwszym jego prezesem został Tomasz Campbell, nasz dawny i gorący zwolennik, słynny poeta, autor popularnego poematu *The Pleasures of Hope* (»Rozkosze nadziei«) zawierającego wspaniały ustęp o Kościuszcze; z niego to publiczność angielska czerpała swe uczucia dla Polski, i nie było wykształconego Anglika, któryby nie miał na ustach owych dwu wierszy, które powtarzano jakby jakie przysłowie:

Hope for a scason bade the world farewell
And Freedom shrieked when Kościuszko fell!³⁾

¹⁾ Artur White, jako agent handlowy, bywał w Puławach, i tam się ożenił; podczas powstania był zajęty przy Walewskim i Niemcewicz w Londynie. Następnie zamianowany został wice-konsulem angielskim w Memlu. Jest to ojciec znanego Sir Williama White'a, ambasadora Anglii w Stambule, zmarłego przed kilku laty.

²⁾ Oto był pierwszy skład Towarzystwa: Prezes Tom. Campbell; Wiceprezesa: hr. Camperdown, Lord Panmure, Wentworth Beaumont, Tom. Wyse; Sekretarz generalny: Adolf Bach; Członkowie rady: Pułkownik Evans, William Crawford, Montagua Gore, Hunter Gordon, J. Lambert, N. A. Mackenzie, Kapitan Norton, J. J. Sigmond, J. Scott, Dr Wade, G. Webster.

³⁾ Nadzieja na czas świata przestała być wróżką
I wolność z bólu jękała, kiedy legł Kościuszko!

Po uformowaniu się, nowe to stowarzyszenie obrało swe siedlisko w najlepszej części miasta, w lokalu zwanym *Sussex Chambers*, w domu (pod Nr 10 Duke Str. St. James') w którym niegdyś, jako protektor, mieszkał Oliwer Cromwell i jego sekretarz Milton, nieśmiertelny autor *Raju utraconego*¹⁾.

Przedmiotem, który ponad wszystkie inne zajmował teraz księcia Adama, było wniesienie sprawy naszej do parlamentu angielskiego. Głos poważny, któryby się stąd ozwał, miał wedle rozumienia księcia dostarczyć gabinetowi angielskiemu szerszej podstawy do obstawania przy dokładnem wykonaniu warunków wiedeńskich i posłużyć za przykład izbom francuskim, tudzież poruszyć opinię publiczną i wyrzucić może wpływ na usposobienie Mikołaja. Przedewszystkiem tedy trzeba było pozyskać na wystąpienie odpowiedniego mówcę, — co w danych okolicznościach łącnem nie było. Między najpożądaijszymi stawali w myśli księcia: Stanley, Mac Aulay, Graham, Fergusson i Sir. Fr. Burdett. Ten ostatni, sam wymawiając się, zalecał głównie Fergussona.

Obok trudu wynalezienia stosownej osoby, drugim zadaniem, żmudniejszem jeszcze, było przygotowanie obszernego materiału, zebranie argumentów, licznych dat i informacji niezbędnych dla oświecenia cudzoziemca, nieobeznanego bliżej z przebiegiem naszej sprawy.

Dnie i tygodnie upływały, a wciąż jeszcze inne sprawy pochłaniały uwagę kół politycznych.

Podczas powstania Campbell wydał nowy poemat o Polsce (*Poland* a poem by Thomas Campbell) zaczynający się od następujących wierszy:

And have I lived to see thee, sword in hand,
Uprise again, immortal polish Land!

¹⁾ Aż do roku 1898 *Stowarzyszenie Przyjaciół Polski* miało swe biuro, zawsze w tym samym domu. Dla względów oszczędności musiało je opuścić, ale trwa dotąd, choć w charakterze wyłącznie filantropijnym, i w rozmiarach znacznie uszczuplonych.

— Cóż mój książę! Będziemyż mieli wojnę albo pokój? — zapytywała w pewnym salonie Lady Beaufort Talleyranda.

— Ani jedno ani drugie, Milady. Przecież i konferencya chce jeszcze żyć.

Żyła też konferencya, owa konferencya belgijska, życiem długotrwałem chociaż mozolnem, bo skutkiem uporu króla holenderskiego i źle ukrytej niechęci dworów północnych, prace jej rwały się ustawicznie, jak tkanina Penelopy. Rosya umyślnie trzymała sprawę belgijską w zawieszeniu, aby zawiść i obawy wzajemne państw zachodnich pozwalały jej bezwzględnie postępować w Polsce. Wszelako, w końcu stycznia, uczyniła ona krok naprzód: między Anglią i Francją nastąpiła ratyfikacya 24 punktów, określających separacyę Belgii od Holandyi. Szansy utrzymania pokoju widocznie się podniosły.

Ale oprócz konferencyi jeszcze powszechniej zaprzętała umysły Reforma — to zadanie życia, nieledwo monomania prezesa gabinetu, starego Lorda Grey, ten cel namiętnie upragniony przez tysiące Anglików. W miarę jej dojrzewania, kwestya ta zapalała wszystkich: rząd, parlament i publiczność — wszystko dyszało Reformą. Najlepszych naszych przyjaciół niełatwo było odwieść teraz od niej do przedmiotów bliżej nas obchodzących.

Tymczasem w mieście tak drogiem jak Londyn, skromny zapas wygnańca uszczuplał się znacznie, chociaż książę z Sienkiewiczem coraz skrzętniej wydatki swe ograniczali. A jednak, w tymże samym czasie, zapamiętali epigonowie klubu Warszawskiego, przesadzeni na bruk paryski, nie zawahali się rozgłaszać po dostępnych sobie dziennikach wiadomość następującą: »Szlachetny książę Czartoryski daje teraz w Londynie wieczory i świetnymi powozami jeździ po ulicach tej stolicy; a przechodząc wieczorem przed jego pałacem, jaśniejącym od świateł, mimowolnie się mówi: I tu mieszka nieszczęśliwy Polak«. Na wiadomość o tem oszczerstwie odpowiada książę w liście do Kniaziewicza: »Źle się wybrali Kłubiści, wymawiając mi świetne wieczory i pyszne ekwipaże,

kiedy w ciemnym i dość brzydkim domu mieszkam i po błocie piechoto kłapię».

W połowie marca, gdy pora wprowadzenia sprawy polskiej przed ławy parlamentu wciąż jeszcze nie zdawała się bliską, książę postanowił na kilkanaście dni wyjechać z Londynu. Przez to oddalenie się chciał zrobić przerwę w ponawianiu swych wizyt u ministrów, chciał »na jakiś czas usunąć twarz wygnańca z przed oczu szczęśliwych ludzi« i w miejscu spokojnem ukończyć roboty do przygotowującej się mocyi.

Przed wyjazdem zajrzał książę raz jeszcze do ministrów, by im ponownie trwanie przy rzetelnem znaczeniu traktatu Wiedeńskiego polecić. Lord Brougham poprzednio już był prosił konfidencyjnie księcia, by mu wskazał w sposób praktyczny i określony, coby ministeryum angielskie »bez nadwężenia dobrych z Rosyą stosunków« mogło dla nas uczynić. Owoż książę, jakkolwiek w tym wypadku niezupełnie może ufał szczeroci kanclerza, zostawił mu memorandum, zasadzające się na tem, by Angla po przyjacielsku starała się wymóżyć na Rosyi połączenie prowincyj zabranych z Królestwem, z uwagi, że połączenie to wypływa z traktatu Wiedeńskiego i byłoby jego szerszem rozwinięciem, gwarancją jego spełnienia, a niemniej najlepszym środkiem zaspokojenia Polaków.

Popołudniu 15. marca książę opuścił Londyn, udając się do Clifton, tuż pod Bristolem, miejsca leżącego w romantycznym położeniu, na skalistych brzegach rzeki Avon. »Książę ma nadzieję — pisze Sienkiewicz do przyjaciela Błotnickiego — że się tu w Anglii coś zrobi; dla tej nadziei trzeba było nieco poczekać i trzeba było coś napisać. Otóż na to tu zawitaliśmy, bo tu spokojniej i taniej... tańsze mieszkanie i opał o połowę, i pozbyliśmy się *footman'a* (najętego sługi), który nas pensyą i rachunkami dziennymi rujnował«.

Niemcewicz pozostał sam jeden w mieście, na warcie, dla pilnowania rozpoczętych usiłowań. Ale zaledwie książę odjechał, spotkało starca zmartwienie: młodziutkie Stowa-

rzyszenie Przyjaciół Polski, we dwa tygodnie po uformowaniu się, omal że się nie rozchwiało. Dnia 14. marca odbyło się jego pierwsze posiedzenie w nowym lokalu, a po niem nastąpiła inauguracyjna uczta. Już po wyjściu z niej Niemcewicz, podczas wet i gęsto krążących flasz (*more britannico*), między zagrzanyimi winem wszczął się spór, i p. Churchill, człek z darem słowa, ale nie bardzo szanowany z charakteru, znalazł się nader uchybiająco wobec p. Kirwana i »tak się zapomniał, że chciał się z nim boxować«. Prezes Campbell chciał go natychmiast wykluczyć, ale inni członkowie wzięli jego stronę, zagroziwszy, że z Churchillem i oni wystąpią. Po dwóch dniach jednak, za wdaniem się Bacha, sprawa ta szczęśliwie zagodzoną została.

Zbliżał się nakoniec termin przyjscia Billu Reformy w Izbie Niższej, co miało otworzyć swobodniejszą drogę dla naszego interesu. Kiedy książę Adam na wsi układał materiały do mocyi, Niemcewicz gorliwiej ponawiał swe wizyty u znajomych członków Parlamentu, by ich do przemówienia za nami nakłonić. Z kolei trafił też do R. C. Fergussona, tego właśnie, którego szczególnie Sir. Fr. Burdett zalecał¹⁾. Był to członek niepodległy (*independent member*) bardzo dobrze uważany. Niemcewicz znalazł go przychylnie usposobionego i długą miał z nim rozmowę, odrazu jednak nie dał on stanowczego przyrzeczenia, lecz wzięwszy od Niemcewicza pierwszą notę o pogwałceniu układów wiedeńskich, miał naprzód naradzić się z niektórymi przyjaciółmi.

Od wyjazdu księcia z miasta, Julian Ursyn często pisywał do Clifton, donosząc o każdym swym kroku, a zarazem,

¹⁾ Był on prawnik z powołania; pochodził ze starej, szkockiej rodziny. W młodości, straciwszy zadłużony już po ojcu majątek, musiał sprzedać familijną siedzibę i potem udał się do Indyj wschodnich. Tam zasłynął szybko jako adwokat, a zebrawszy znaczną fortunę, wrócił do Anglii, odkupił rodzinną majątność i zamek, i wszedł do parlamentu. Tu jego wymowa, biegłość w prawie i znajomość stosunków międzynarodowych, zdobyły mu rychło bardzo poważaną sytuację.

jakby szukając w listownej rozmowie ulgi w osamotnieniu, w którym go nieobecność codziennych towarzyszy pozostawiła. Pojmujemy, że w owych chwilach, mimo całej jego żwałości i czerstwości, trudno było nieraz 75-letniemu starcowi, Polakowi, wygnańcowi, obronić się od napadów znękania. Zwłaszcza ponura fizygnomia Londynu w dzień 21. marca wzmaga w nim tę posepność: był to bowiem dzień publicznego, przez parlament nakazanego postu: miasto głucho, ulice puste, domy i sklepy pozamykane, wszystko co żyje na modlitwach. »I jam smutny jak post — choć tłusty jak karnawał« wołał on kończąc. »Czekam niecierpliwie powrotu W. Książęcej Mości«. Ale oto we dwa dni później promyk nieco pomyslniejszy rozjaśnił czoło czcigodnego weterana. Zrana ujrzał on u siebie p Fergussona, który przyszedł oświadczyć mu, że rozmówiwszy się z kolegami, gotów jest wnieść sprawę polską do Izby: że uczyni to już może za dni kilka, jeśli okoliczności pozwolą, i że Lord Palmerston przystał na to. Natychmiast donosi o tem Niemcewicz księciu i w liście z Clifton odbiera następującą odpowiedź:

»Odebrałem Wasz list 24. marca; podniósł on »duchy moje« wiadomością w nim zawartą. Nie wiem czy się mylę, ale pochlebiam sobie, że układ między Fergussonem a L. Palmerstonem jest może skutkiem naszego planu podanego kanclerzowi, coby nas powinno i na przyszłość cieszyć... Ja tu dokończyłem pismo osobne o Kongresie, które Wam przeszę; może się zda dla Fergussona i innych, równie jak przeszy memoar. Trzecie pismo, zbiór argumentów, kończę. Spieszyc będę z powrotem...«

Podnoszący to widok tych dwóch mężów, zbliżonych wspólnymi wspomnieniami, długoletnią przyjaźnią, ale ponad wszystko złączonych nieograniczonym przywiązaniem do sprawy ojczystej. Obaj już starcy, więc już nie zapał młodzieńczy ani nawet pewność bliskiego powodzenia i tryumfu dodaje im bodźca. Ale głęboko w duszę wrósł im bolesny, lecz tem droższy ideał ojczyzny w niedoli — i ten broni ich od znie-

chęcenia, dodaje odwagi i wytrwałości, usuwa im z przed oczu wszelkie inne, najbliższe troski. I oto mocni tylko tą siłą duchową, natchnieni spokojnym jakimś entuzjazmem, bez wszelkich najzwyczajszych materyalnych środków, ci dwaj sterrani wygnańcy, stają do walki przeciwko wpływowi potężnego mocarza i całego arsenału jego sposobów i środków.

Od chwili powziętego postanowienia, Fergusson już codzień prawie odwiedzał Niemcewicza i konferował z nim pilnie; wziął od niego memoryały księcia Adama i inne notatki, a nie odkładając rzeczy dalej, zapowiedział w Parlamencie, że niebawem, a mianowicie w piątek 30. marca, zamierza postawić zapytanie względem interesów Polski.

Zawiadomiony o tem książę, spieszenie opuszcza Clifton i wraca do Londynu. »Wczoraj tu wróciliśmy — pisze 30. marca Sienkiewicz do Paryża — bo dziś ma być mowa o nas w Izbie... Stanęliśmy ubożej (na Maddwek Str. Nr. 37), bez sługi, taniej; ja pod dachem«.

Książę Adam, po powrocie do miasta, znalazł Palmerstona ozięblejším niż kiedykolwiek; zdawał się on nie pamiętać nawet, że wniosek o Polsce miał być uczyniony i widocznie w głowie miał tylko sprawę belgijską i Orłowa, który, spodziewany oddawna, przybył nareszcie do Londynu.

Zapowiedziany przez Fergussona wniosek, sformułowany był jak następuje: Zwrócić uwagę Izby na obecny stan polityczny Polski, szczególnie ze względu na postanowienia I-go artykułu traktatu Wiedeńskiego. Owóż wniosek ten miał być wprowadzony w piątek d. 30. marca; w oczekiwaniu tego dnia, Niemcewicz miał noc niespokojną i bezseną. Od samego rana on i książę Adam wyruszyli na miasto, by mowców, którzy wniosek mieli wspierać, w ostatniej chwili zagrzać jeszcze i przynieść im ostatnie informacye. Wieczorem, gdy się zbliżała godzina otwarcia posiedzenia, posiliwszy się naprędce, pospieszyli do gmachu parlamentowego. Ale tam wyszedł do nich Fergusson

i oświadczył, że tego dnia wotowania nad żadnym artykułem podatkowym nie będzie, i że zatem wniosek jego też wprowadzonym być nie może¹⁾; dyskusya nad podatkiem została odłożona do poniedziałku, przeto i wniosku wcześniej stawić nie będzie można.

W poniedziałek (dnia 2. kwietnia) rano, nowa narada księcia i Niemcewicza z Fergussonem i — nowa zwłoka. Z jednej strony zbliżały się święta Wielkanocne i z nimi zalimitowanie Izby, rozproszenie i może ostygnięcie pozyskanych członków; a z drugiej strony zachodziła obawa, by rząd, póki zakłopotany sprawą belgijską, nie zbył wniosku zbyt suchą i nie nieznaczącą odpowiedzią.

Po rozwadze, postanowiono tedy z mocyą czekać do piątku (6. kwietnia). Talleyrand był również za zwłoką, mniemając, że Palmerston otrzymawszy podpis Rosyi na ratyfikacji belgijskiej, śmieiej będzie się mógł tłómaczyć. Ministrowie żądali od Fergussona, by »dla dobra samej rzeczy« wstrzymał się z mocyą, póki nie będą swobodniejsi. »Wszakże jedno i to samo wszyscy chcemy — mówili — ale dwóch zajęcy razem szczać nie można«. W Izbie Panów rozpoczął się teraz sam war w kwestyi Reformy; od Lorda kanclerza ksiązę Adam nie mógł doczekać się ani odpowiedzi ani audyencji. Stary Niemcewicz niecierpliwił się i zrzędził, bo i 6. kwietnia wniosek jeszcze nie nastąpił. Nadeszły wieści o zniesieniu konstytucyi i ogłoszeniu tak zwanego *Statutu organicznego*²⁾ dla Królestwa polskiego. Odłożono więc rzecz jeszcze, by dać ministrom sposób przygotowania się do odpowiedzi, co za-

¹⁾ Panuje prawidło w parlamencie angielskim, że przed każdym głosowaniem za jakimkolwiek podatkiem, członkowie mają prawo czynić zapytania lub wnioski względem czynności, usterek lub nadużyć rządowych.

²⁾ Ogłoszenie, że Królestwo Polskie wciela się jako część integralna do Cesarstwa Rosyjskiego; zniesienie koronacyi w Warszawie, wojska polskiego, magistratury; wprowadzenie urzędników rosyjskich do administracyi, i t. d.

mierzają począć wobec tego nowego wypadku. Zapowiedział tylko dnia tego Fergusson, że wniosek swój na sześć dni, t. j. do 11. kwietnia odkłada, a tymczasem do wiadomości Izby podaje, »że cesarz rosyjski wydał właśnie w Warszawie ukaz, niszczący resztki odrębności i narodowości Polaków, wbrew traktatowi Wiedeńskiemu, którego Anglia jest gwarantką«.

Choć przygnieceni tym nowym ciosem, który na kraj spadał, książę i Julian Ursyn czasu odwłoki daremnie nie tracili: nie przestawali zagrzewać pozyskanych, lub wyszukiwać nowych przyjaciół między członkami i uczyć ich o naszych sprawach; a zadanie to nie było małe i łatwe, bo nawet u najlepszych i najoświecieńszych naszych zwolenników, spotykała się co do rzeczy polskich niezmierna nieświadomość. Chętnie jednak przyjmowali informacye, przedewszystkiem żądając »faktów«, zawsze faktów; na nich bowiem nie zaś na deklamacyi i kwiatkach oratorskich, wymowa parlamentarna w Anglii od wieków zwykła się opierać. »W te dni nie mam momentu wolnego« pisał książę Adam do żony.

Wzmiankowany zamach Mikołaja z 14. (26) lutego poruszył istotnie do pewnego stopnia opinię i mogło się zdawać, że nadmierna bezwzględność postępowania Rosyi może nam stać się pomocną, wywołując głębsze oburzenie. *Times* wystąpił z artykułem ostro piętnującym zuchwałą i wzgardliwą postawę cara rosyjskiego. Palmerston i Talleyrand chłodno kiwali głową, ale przyznawali, że to »wcielenie« Polski do Rosyi, jest wręcz przeciwne woli Traktatu. To jednak oczywiście nie przeszkadzało, że w kołach dworskich i rządowych świetnie podejmowano i goszczono Orłowa, który obecnie stał się »lwem« salonów londyńskich. Lecz jednocześnie, jak dla kontrastu, ukazała się w druku i krążyła wśród publiczności ballada o księciu Romanie Sanguszce, gnany w kajdanach na Sybir ¹⁾.

¹⁾ Tis done Sanguszko fare thee well
The fatal die is cast

I 11. kwietnia wniosek polski nie doczekał się jeszcze swej kolei; Palmerston mówił, że gdy otrzyma świeże wiadomości z Petersburga, których lada dzień oczekuje, spodziewa się być w stanie lepiej odpowiedzieć; między Fergussonem a rządem umówionem tedy zostało odroczyć mocę do czwartku 18. kwietnia.

W Izbie Wyższej nadeszło drugie czytanie bilu Reformy: posiedzenie Lordów rozpoczęte wieczorem 13. kwietnia, trwało do godziny 7. rano, t. j. całych 15 godzin! Przeciwnicy z obu stron dobywali ostatnich wysień, i w końcu Whigowie przewotowali Torysów dziewięciu głosami.

Nareszcie, nareszcie — po tylu odwłokach — nadszedł przecie termin, w którym już tedy ostatecznie wniosek nasz miał być uczyniony. Była to Wielka środa, ostatni dzień posiedzeń Izby przed jej zawieszeniem. Zrana miał jeszcze książę Adam ostatnią konferencyę z Fergussonem, a potem o południu udał się do Palmerstona, by z nim mieć rozmowę o świeżym Statucie Organicznym. Szło mu o to, by utwierdzić ministra w przekonaniu, że to akt samowolny i bezprawny

Heroic Prince, a long farewell
The exile's hope is past.

Extends no hand to loose his chain?
No mercy to the Pole?
Alone, »on foot«, he drags with pain
The irons pierce his soul etc.

Stało się! — Żegnaj, żegnaj Sanguszko!
Zapadł wyrok straszliwy.
Heróiczny książę, niech Bóg Cię prowadzi
Dla wygnańca już niema nadziei.

Czy się ręka żadna nie ruszy, by ulżyć jego kajdany?
Czy dla Polaka nie znają litości!
Samotny, »pieszo«, wlecze swe kroki,
Znacząc drogę ślady krwawemi, etc.

Taka była rycerskość tego mocarza, że na najwaleczniejszych mścił się najokrutniej.

bez obowiązującej internacyjonalnej siły; że posiadanie Polski na mocy jego opiera się tylko na gwałcie i przemocy.

O wieczornej porze Izba się zebrała; część jej była się już rozjechała, więc skład jej był mniej liczny jak zwykle, ale przedniejsi członkowie byli obecni.

Przyszła kolej na naszego mowcę. Powstał Fergusson. Już sama jego postać była znaczącą. Silnej budowy, bardzo wysokiego wzrostu, miał fizyognomię wyrazistą i podniosłe czoło; a oko jedno szeroko i śmiało otwarte, drugie zaś przy-mrużone i nieco niższe, nadawało mu szczególny wyraz przenikliwości, cechujący Szkotów. Kto był kiedy świadkiem sessyi parlamentu angielskiego, wie, że zwykle zewnętrzna jego postawa nie odpowiada tej powadze, którą z oddalenia potężnemu temu areopagowi w pojęciu naszym przypisujemy. Dnia tego było jednakże inaczej kiedy przemówił Fergusson. Jakby pod wpływem tragiki sprawy, która miała być wytoczona, zapanowało milczenie i salę obleciała jakaś niezwyčajnie uroczysta atmosfera. Mowa trwała blisko półtorej godziny, a słuchano ją wciąż w ciszy i z uwagą. Mowca przejął się doskonale dostarczonymi mu materiałami i wystawił całą sprawę naszą tak dokładnie i gruntownie, jak pono nikt przed nim. Przedstawił on okrucieństwa W. księcia Konstantego jako przyczynę powstania, oburzające ukazy Mikołaja względem religii i narodowości, samowolne wcielenie Królestwa Polskiego do cesarstwa rosyjskiego, prawa nasze i obowiązek Anglii bronienia ich, jako gwarantki traktatu Wiedeńskiego.

Palmerston był nieobecny. Tego samego bowiem wieczoru odbywała się u niego ważna konferencya dyplomatyczna, na której posłowie austriacki i pruski po pięciogodzinnem pasowaniu się, przystąpili nareszcie do wymiany ratyfikacyj w sprawie belgijskiej. Na miejscu Palmerstona odpowiedział minister skarbu, zacny (*the honest*) L. Althorp; oświadczył on, że rząd nie otrzymawszy jeszcze urzędowej wiadomości o Statucie organicznym, nie może dać żadnych objaśnień, jakie są widoki jego w tej kwestyi; dodał, że on, jak i ko-

ledzy ministrowie, żywo jest przejęty nieszczęściami walecznego narodu, ale jako minister dłużej w tej materji mówić nie może. Nie skończyło się jednak na tej urzędowej odprawie. Po niej przemówiło jeszcze trzynastu członków: Dr. Lushington, chłodny i uczony sędzia proponował adres do króla, by usilnie za Polską uczyniono przełożenie; Hume wyznaje, że nigdy w żadnej okoliczności nie odebrał tyle odezw popierających jaką sprawę, jak teraz z powodu polskiej; szorstki i gburowaty Hunt, trybun ludu, gwałtownymi wyrazami wzywał przekleństwo na głowę Mikołaja; przemawiali jeszcze stary dworak i dyplomata Warrender, młody Labouchère, Lord Sandon, (krewny Lorda Dudley Stuarta), półkownikowie Fox i Evans, Courtenay, Wrangham, Forbes, Ewart, Sheil. Były to głosy wszelkich odcieni, od torysowskiego do radykalnego, a mimo to, wszystkie przedstawiały wyjątkowy w rozprawach Izby wypadek jednomyślności; bez dyskusji, bez różnicy zdań, przyznawały nam prawo i prawdę, wszystkie głosy objawiały dla nas przychylność i zapal nawet, a ani jedno słówko nie zostało wyrzeczone na tłumaczenie lub obronę postępowania Rosji.

Tej samej jeszcze nocy, na salonach u Lady Jersey, Orłów dowiedział się o tem, co zaszło w parlamencie, i tak był tą wiadomością rozdrażniony, że nie umiał zapanować nad swem wzburzeniem i ukryć swego gniewu.

Gdy nazajutrz książę Adam wstąpił do Taylleranda, ten »w podwłosniku, rozczochrany, z obwiniętą kulawą nogą« wyszedł naprzeciw niemu w niezwykłym ożywieniu. Zadowolony z przebiegu mocyi, nalegał na księcia, by nie myślał opuszczać Londynu, dowodząc, że przez korespondencyę wniosek Fergussona nigdy by się nie udał, a że w tej materji wiele uczynione zostało tylko przez wzgląd osobisty dla niego. Po raz pierwszy zdawał się mówić zupełnie otwarcie i zapowiadał, że gdy po powrocie parlamentu, wniosek nasz ponowionym zostanie, on, Tayllerand i Palmerston napiszą mocne listy do swych ambasadorów w Petersburgu za wy-

konaniem traktatu Wiedeńskiego. Następującego dnia i dzienniki ozwały się chórem z komentarzami o rozprawie z 18. i uderzone niezwykłą zgodnością głosów, podnosiły, że ani jeden głos się nie znalazł, coby się starał usprawiedliwić Mikołaja. I tym razem przemówienie *Timesa* przeciwko postawie cara odznaczało się siłą i kończyło się słowami: »Ponieważ jest Opatrzność, należy być pewnym, że Polska odzyska swe miejsce między narodami«.

Dyplomacya rosyjska była już na najlepszej drodze przekonania opinii, że cesarz Mikołaj ma po swojej stronie nie tylko tryumf przemocy; ale i sprawiedliwości. Mocya Fergussona stanęła temu na przeszkodzie, wywiesiwszy wysoko krzywdę Polski.

Śród ogólnej w Europie uległości dla polityki rosyjskiej, ten pozew silny i śmiały, rzucony z tak poważnego miejsca i po raz pierwszy piętnujący kroki dumnego samowładcy, wywarł niemałe wrażenie. Choć przez organ rzecznika obcego, był to pierwszy objaw doniosły Emigracyi protestującej. Wszelako praktycznego skutku on nie osiągnął, bo, jak widzieliśmy, oświadczenia się rządu nie wywołał. Ale sumienie przemówiło, opinia się rozbudziła i efekt moralny niezaprzeczenie został odniesiony. Wypadało z niego korzystać i wyteżyć dalsze usiłowania dla zdobycia realniejszego skutku. Chętny Fergusson, natychmiast się zgodził powtórnie wystąpić z interpelacją i, nie odkładając, już teraz obrał na to dzień 5. czerwca, w przewidywaniu, że wtenczas ministeryum nie będzie już zakłopotane i krępowane innemi względami. Gorliwy Bach, sekretarz »Towarzystwa przyjaciół Polski« zajął się tymczasem czynnie tłumaczeniem mowy z 18. kwietnia na różne języki.

Na teraz, po zawieszeniu posiedzeń Izby na ferye Wielkanocne, ludzie polityczni opuszczali miasto, i rozpierchli się na wieś, w różne strony. I Niemcewicz, w poniedziałek wielkanocny, zabrał się na dyliżans z wiernym swym Ludwikiem i wyjechał do Bristolu, by tam korporacye miejskie do pety-

cyi za nami pobudzić, z zamiarem zwiedzenia i dalszych potem miejsc, w tym samym celu. Książę Adam zaś, w kilka dni potem, poprzedzony przez Sienkiewicza, wyruszył do Paryża, gdzie go ciągnęła rodzina, dokąd go wzywali Kniaziewicz i Plater, niecierpliwie wyglądający jego przybycia.

Książę stanął w Paryżu d. 30. kwietnia. Na drugi dzień ujrzał u siebie wielu rodaków, którzy przyszli go powitać. I tą razą na nacieszenie się z żoną i rodziną nie wiele tu chwil mu zostawało. Rozmowy z rodakami, narady z Kniaziewiczem, Platerem i innymi, wizyty u ministrów pochłaniały mu prawie cały czas. O krótkim pobycie jego w Paryżu nie wiele znajdujemy śladów. Widzimy tylko, że w konferencyi z ministrem spraw wewnętrznych hr. Montalivet, starał się wyjednać, by młodzieży wychodźczej wyższe zakłady naukowe Francyi otwarte zostały. Marszałkowi Soult polecał stan wojskowych naszych, a w dwukrotnej konferencyi z hr. Sebastianim, wyłuszczał ogólne położenie polityczne sprawy naszej, i wręczył mu w tym przedmiocie obszerny memoriał; przy tej sposobności, zerwany z nim stosunek Kniaziewicza i Platera znowu nawiązał. Z zetknięcia się atoli z ministrami tymi wyniósł książę przekonanie, że się Francya żadnym krokiem nie posunie naprzód, nie będąc zapewnioną o wspólności Anglii. Z prezesem gabinetu książę Czartoryski nie mógł się widzieć, bo ten dotknięty grasującą wówczas epidemią, dogorywał na łożu śmiertelnem.

Po tygodniu książę wrócił do Londynu, w chwili, kiedy tam zaszło nagłe przesilenie gabinetowe.

T R E Ś Ć.

P o c h ó d.

- I. Koniec powstania. — Dwernicki, potem i Ramorino wchodzą do Galicji. — Wojsko polskie w Austrii. — Generał Bertoletti. — Chłapowski i Roland wchodzą do Prus. — Długa kwarantana. — Upadek Warszawy. — Demoralizacya. — Jęk Belwederczyka. — Rybiński wchodzi do Prus. — Pewien opór. — Ostatni rozkaz dzienny. — Niegodny pogrzeb oręża polskiego. — Kwarantana pod Brodnicą. — Rozmieszczenie wojska polskiego. — Pobyt jego w Prusiech. — Rzekoma amnestya rosyjska. — »Rozkaz« króla pruskiego. — Kilkanaście tysięcy żołnierzy wraca do Polski. — Większa część oficerów czyni to samo. — Druga część zwraca się ku Francji. — Ruch wychodźczy. — Bem' usiłuje wyprowadzić żołnierzy. — Przeshkody. — Zaczny Amerykanin. — Generał Rammel. — Niegodne postępowanie władz pruskich. — Fischau. — Oficerowie kolumnami odchodzą za granicę. — »Emigracya«. — Szkodliwe jej skutki. — Co ją wzmaga. — Co ją tłumaczy. — Co ją prowadzi . strona 7
- II. Mundur polski w apoteozie. — Entuzyzm w Niemczech. — Przed 50 laty, a dziś. — Sympatye prywatne w samych Prusiech. — Komitety niemiecko-polskie. — Gościnność; pomoc; zapał. — Przyjęcie w Lipsku. — Czynność komitetu lipskiego. — Urok wojaków. — Chwile uniesienia i rozrzewnienia. — Drogi od Prus. — Droga od Austrii. — Bolesna decyzya. — Z Igławy przez Czechy. — Kwarantana bawarska. — Uprzejmość w Ratysbonie. — Obojętność w Augsburgu. — Serdeczne przyjęcie w Ulm, Reutlingen, Tübingen; studenci. — Zapał we Freiburgu. — Jeszcze owacya w Mülheim i Lörrach. — Oziębła Bazylea. — Wjazd do Francji przez St. Louis strona 46

- III. Przychylne oznaki niektórych dworów. — Ks. Ernest Gothajski. — Kapral z kulą w czole. — W. księżna Wejmarska i mniemana Platerówna. — Dwór Saski najprzychylniejszy. — Drezno. — Klaudya Potocka. — Nieogłędność niektórych Polaków. — Usuwanie Polaków z Saksonii. — Jeszcze żywsza sympatya nad Renem. — Oppenheim. — Moguncya. — Worms. — Studenci w Giessen. — Hannau. — Orzeł Biały na wodach Menu. — Nieszczęśliwy pojedynek. — Zajęcie się nami w literaturze niemieckiej. — Poezye. — Spiew o »Czwartym pułku«. — Frankfurt nad Menem. — Uchwała jego Senatu. — Kronikarz frankfurtski o Polakach. — Pogrzeb porucznika Lange. — Pożar. — Ludwik Börne strona 71
- IV. Wpływ przejścia Polaków na Niemców. — Duch narodowości. — Polacy go krzewią. — Podniecenie opinii publicznej w Niemczech. — Nadzieje rozbudzone, nie ziszczone. — Rzekome posłannictwa. — *Sturmvoegel der Revolution*. — Orszak żałobny zmieniony w pochód tryumfalny. — Szlachetna postawa spółczującej Germanii. — Nie zawsze »człowiek człowiekowi wilkiem«. — Czekamy na sprawiedliwsze uznanie. — Wędrówka polska trwa jeszcze długo. — Władze niemieckie stają się surowsze. — Współczucie publiczności nie ostyga. — Towarzyszy wygnańcom aż do granicy. — Powitanie Francyi. — »Starsza siostra« odwraca się od młodszej . strona 90

Emigracya w całości.

- I. Stan Francyi po dniach lipcowych. — Złudzenie nasze. — Sympatye Francuzów. — Powszechna obawa wojny. — Ludwik Filip i Casimir Perier. — Dwuznaczność systemu »nieinterwencyi«. — Zachowanie się Prus. — Bierna postawa Francyi. — Odmowy wszelkiej pomocy. — Oświadczenie francuskie z 9. sierpnia. — Memoriał 3. września misyi polskiej. — Wiadomość o upadku Warszawy. — W *Monitorze*, w Izbie, na ulicach i teatrach. — Na prowincyi. — Po egzaltacyi, znużenie. — Izba zadowolona; giełda uspokojona. — Głos poety strona 99
- II. Komitet centralny francusko-polski. — Zwiastun Emigracyi. — Pierwsi przybyli. — Gurowski. — Komitet Niemojowskiego. — Przygotowania przyjęcia Polaków. — Zabiegi przeciw Komitetowi Niemojowskiego. — Pierwsza broszura. — Obchód rocznicy 29. listopada. — Polacy liczniej przybywają. — Klub warszawski w Paryżu. — Obalenie Komitetu Niemojowskiego. — Radykalizm klubowy zwycięża. — Komitet Lelewela. — Jego organizacya. — Grzech

- pierworodny Emigracji. — Pierwsza odezwa Komitetu Lelewela. — Wywieszenie hasła niezgody , strona 118
- III. Siedlisko komitetu Lelewela. — »Ogół« paryski. — »Taran« . — Czynności komitetu. — »Znak Tułactwa«. — Odezwy. — Rozdawnictwo funduszków. — Brak powagi. — Niezadowolenia. — Konflikt z Bemem. — Przybycie Ledochowskiego i Zaliwskiego. — Niesnaski rosną. — Zarzuty na komitet. — Oszczerstwa. — Wniosek Bronikowskiego. — Gurowski i Krępowiecki, zakałają komitetu. — Rada przyjaciół. — Komisya rozpoznawcza. — Jej wnioski. — Ogół je przyjmuje. — Ogół je odrzuca. — Burza w Taranie i wniosek Płużańskiego. — Secesya. — Narodzenie się Towarzystwa Demokratycznego. — Zapełnienie luk w komitecie. — »Interwencya tarańska«. — Antyrządowe postępowanie Lelewela. — Ubytek funduszków. — Budżet na emigrantów. — Wyjątkowe na nich prawo. — Projekt wywędrowania z Francyi. — Emigracja przynębiona nowem prawem strona 134
- IV. Legacya polska. — Zostaje w Paryżu. — Utrzymanie stosunków. — Widzenie się z ks. Adamem Czartoryskim. — Zawiązanie stałej korespondencji. — Zarodek partyi »arystokratycznej«. — Kniaziewicz i Soult. — Konferencya między nimi. — Wysłanie trzech oficerów polskich do Avignonu. — Obawa wojny zmniejsza się. — Rozmowy z ministrami. — Podanie do prezesa gabinetu. — Obojętność rządu. — Brednie Thiers'a. — Memoriał o kongresie Wiedeńskim. — Bierność gabinetu francuskiego. — Troska o dziennikarstwo. — Założenie Towarzystwa Literackiego. — Zamierzona protestacya przeciw Komitetowi. — Zepsuty stosunek z ministrem spraw zagranicznych. — Ks. Czartoryski zapowiada przybycie do Paryża strona 157
- V. Książę Adam Czartoryski w Krakowie i na Podgórzu. — W drodze; w Lipsku. — List do Niemcewicza. — Widzenie się z L. Platerem w Strassburgu. — W Manheim zjazd z żoną. — W Soissons spotkanie z Kniaziewiczem i Platerem. — Rada i zaproszenie Talleyranda. — Sytuacya w Anglii. — Księżna Liewen. — Nasi dyplomaci w Londynie. — Niemcewicz. — Przybycie do Londynu. — Pierwsza rozmowa z Talleyrandem. — Wilja Bożego Narodzenia. — Gościnni Anglicy. — Pierwsze rozmowy z Palmerstonem i Grey'em. — Gniewy księżny Liewen. — Lord Brougham. — Stałe postanowienie. — Założenie »Stowarzyszenia Przyjaciół Polski«. — Gotowanie wniosku do Parlamentu. — Reforma i konferencya belgijska. — Memorandum dla Lorda Brougham. — Wyjazd do Clif-

ton. — Zakłócenie w »Stowarzyszeniu Przyjaciół Polski«. — Fergusson. — Powrót księcia do Londynu. — Palmerston oziębły. — Odwłoka wniosku o Polsce. — Statut Organiczny. — Bill Reformy. — Nareszcie nasz wniosek. — Sesya. — Niezwykła jednomyślność. — Skutek moralny, choć nie realny. — Wyjazd z Londynu Niemcewicza i księcia Adama. — Książę Adam w Paryżu. — Powrót do Londynu strona 177



PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

DK	Gadon, Lubomir
412	Emigracya polska
.2	
G3	
1901	
t.1	

